

Wiesław Kazimierz Brodziński

11 / 2766

W drodze ...

Motto (autor nieznany)

My, z Polski dziś tułacze

Spędzeni przez los na kraj świata.

Za nami nikt nie płacze.

Nie mamy ojca, ani brata.

Piekielny mróz Północy

zamroził serca nam na głaz.

Co z nami los uczyni,

To nie obchodzi nas.

Dziś tu, a jutro tam,

Ja zawsze jestem w drodze ...

Młodzieży Kresowej Poświęc<sup>am</sup>~~one~~

Cześć pierwsza.

ZSRR 1939 - 1942 WSZY, PLUSKWI i NKWD.

Pociąg tłukł się po zwrotnicach jakiegoś węzła kolejowego.

- Czy to Szepetówka, czy może już Koziatyn?

- Chyba Szepetówka - mówię w ciemność, z której przez łoskot kół rozpedzonego pociągu dociera do mnie pytanie Olka.

- Nie ma na co czekać, losujemy kto pierwszy i skaczymy ...

Zostało nas trzech. Januszowi udało się ucieczka jeszcze w Krzemieńcu, po rozbiciu więzienia. Wszyscy wyrwaliśmy się wtedy zza krat, żeby w najgłupszy w świecie sposób wpaść prosto w łapy dobremu znajomemu - naczelnikowi krzemienieckiego NKWD, majorowi Kowalence. Rano dwudziestego szóstego czerwca Kowalenko, widząc na przedpolu więzienia niemieckie czołgi, zdecydował, że postąpi mądrze, jak się ze swojego miejsca pracy ulotni. Kazał nas dokładnie pozamykać zabrał klucze i wycofał się ze swoim wojskiem parę kilometrów za pierwszą linię frontu. Nie przyszło mu do głowy, że Armia Czerwona utrzyma front, co więcej, że kontratakami artylerii i piechoty odrzuci Niemców. Było mu z pewnością głupio wracać do miasta. Niemniej zrobił to szybko i sprawnie, nie na tyle jednak, żeby zastać więzienie w stanie nienaruszonym, a na ulicach, żeby nie spotkać jego pensjonariuszy. Nas rozpoznał z daleka. Przyczał się przy

wejściu do małej cerkiewki, koło której prowadziła nasza droga, i, do ostatniej chwili niezauważony, lufą nagana zagroził nam dalszą drogę. Próba ucieczki równała się śmierci. Obok stali żołnierze, dotąd obojętni na spaceru więźniów po mieście, którzy jednak na rozkaz Kowalenki wystrzelaliby nas w jednej chwili. Janusz szedł kilkadziesiąt metrów za nami. Kiedy zobaczył co się dzieje, prysnął w ogród przylegający do ulicy. Kowalenko w biegu wygarnął cały bęben nagana w krzaki, w których Janusz zniknął mu z oczu, po czym wpadł do ogrodu, ale najpewniej niczego ciekawego tam nie znalazł, bo ładując broń, wściekły wracał do nas.

\*

Ciemno. W wagonie jest nas czterdziestu paru. Ukraińcy, Polacy, Rosjanie, dwóch Żydów. Ci są wszędzie. Muszą być i tutaj. Front został gdzieś za nami. Błyski artylerii i rakiet, przed godziną wyraźnie widoczne przez szczeliny wentylatora wagonu, nie rozświetlają już nocy. Pociąg zanurzył się w półmrok ukraińskiego stepu, podąża na wschód, torując sobie drogę urywanymi gwizdami lokomotywy.

- Może nie warto próbować ucieczki? - Jurek ma wątpliwości.

- Strach cię obleciał? - Odekteż się boi, ale nie daje tego poznać po sobie - nie marudź i daj zapałki. Kto wyciągnie całą wygrzywę, skacze pierwszy, bez łepka -

drugi, połówka - trzeci. Nie ma innego wyjścia, musimy ryzykować.

Czy naprawdę nasza sytuacja jest aż taka zła? Nie wiemy. Jest już pewno po północy drugiego lipca 1941 roku. Dwunasty dzień wojny z Niemcami.

Nie naszej. Tak to przynajmniej wygląda. Z Rosjanami mamy teraz wspólnego wroga - Niemców. Niemcy o tym wiedzą. Ale co myśleć o tych Rosjanach, którzy z bronią gotową do strzału konwojują nasz transport, i o tych, którzy po przeczytaniu naszych akt wydadzą wyrok? Jaki? .. W tym wagonie, a może i w całym pociągu jesteśmy pierwszymi kandydatami do sprawdzenia, czy życie pozagrobowe naprawdę istnieje. Nasze akta śledcze dotarły nie byle gdzie: Tuż przed wybuchem wojny decyzją wojskowego sądu w Stanisławowie nasza sprawa została przekazana do rozpatrzenia przez Specjalny Trybunał Wojskowy Okręgu Kijowskiego. Podpisując zawiadomienie, zapytałem głupio, co to za sąd.

- Nie wiesz? - zdziwił się korytarzowy, że ktoś może nie wiedzieć, co to za sąd.

- Wyrok przyšla telefonogramem i rozstrzelają jak sobakę - powiedział przyjaźnie.

Uśmiechnąłem się niewyraźnie. Inni mieszkańcy celi, czytając papierek, którego kopię dostałem na własność, kręcili głowami z niedowierzaniem.

Zaczęli mnie wyróżniać. Zupa, którą dzielił dyżurny celi, trafiała mi się od tego czasu gęsta, z samego dnia kotła.

\*

Dusžno i smrodliwie. Jedziemy w towarowym krytym wagonie, prowizorycznie przystosowanym do przewozu więźniów. Wybita na wylot dziura w podłodze ma nam służyć za ubikację. Rozsuwane drzwi wagonu są zaryglowane od zewnątrz. Wentylatory zabite gwoździami. Nasza nadzieja w tym, że pod naciskiem gwoździe puszczą, i trzeba będzie tylko kolejno wydostać się przez otwór wentylatora, zawisnąć na rękach, odbić się od ściany wagonu i wyskoczyć z pociągu w biegu. Leżymy na deskach, którymi wagon jest podzielony na dwa poziomy. Jesteśmy na górze po prawej stronie, zajmujemy miejsce koło wentylatora. Odkupiliśmy to miejsce od Ukraińców za pięćdziesiąt papierosów Krasnyj Prapor. Ci są przekonani, że wojna skończy się za dwa, trzy tygodnie. Niemcy zwyciężą i dadzą im w prezencie Wielką Ukrainę od Sanu po Ural. Na ucieczce im nie zależy, dlatego, domyślając się w czym rzecz, odsprzedali nam miejsce przy wentylatorze tak niedrogo. My jesteśmy w innej sytuacji - dla nas wojna może się skończyć tylko klęską Niemców. To, że Niemcy wojnę przegrają, jest dla nas oczywiste, ale kiedy to nastąpi, nie bardzo wiemy. Pociąg pozostawia za sobą małe, zaciemnione przystanki, mija z hałasem wojskowe transporty zdążające w przeciwnym kierunku - na Zachód.

- Ciągnijcie...

Olek przygotował zapalki. Biorę środkową jest długa,

ale nie ma łepka. Jurek ma złamaną, czyli że Olek wylosował najlepiej; skacze pierwszy. Jest podniecony, mówi stłumionym głosem.

- Wiesiek, kiedy zawisnę na rękach, nie czekaj, aż skoczę, wychodź. Ty, Jurek, też nie czekaj. Wszyscy powinniśmy zmieścić się w dwudziestu sekundach.

- Spokojnie, chłopcy - Jurek nie zdradza zdenerwowania, pewnie dlatego, że ma skakać trzeci i powątpiewa, że to w ogóle będzie możliwe.

- Najpierw spróbujmy się z tą pieprzoną klapą - mówi - może ją umocowali lepiej niż nam się zdaje.

- Musi puścić. - Olek jest tego pewny.

Braliśmy pod uwagę, że konwój może być rozlokowany na dachach i w brekach wagonów, że wartownicy jadący na dachach będą mniej groźni, bardziej niebezpieczni będą ci drudzy. Nie wiedzieliśmy, czy nad sobą mamy straż, czy nie. Ale jeżeli nawet ktoś był na dachu naszego wagonu, to ten ktoś nie powinien zauważyć ucieczki wcześniej niż po skoku Olka. W Jampolu w czasie ładowania transportu myśleliśmy tylko o jednym, żeby nas nie rozdzielili. Wagonowi nikt z nas się nie przyjrzał.

Pociąg jakby przyspieszył.

- Jurek - Olek nagle ochrypił, mówi nie swoim głosem - po skoku dołączymy do Wieśka. Ja idę do przodu, ty się cofasz.

- Wiesiek, czekaj, gdyby nikt do ciebie nie dołączył, idź sam na Zachód, nocami...

Wiem co mam robić. Trzęsą nami nerwy, czekanie staje

się nieznośnie.

Dość tego, bierzmy się za wywalenie tej cholерnej klapy. No, razem chłopcy.

Naciskamy raz, drugi, mocniej, jeszcze, odgina się, wylatuje, wisi na zawiasach, droga wolna.

Olek czeka. Nie ma alarmu. Chyba nie zauważyli.

- Wychodź - ponaglam go szeptem. Ale to niepotrzebne. Już przerzucił nogi opuszcza się na rękach. Teraz kolej na mnie. Wychylam głowę, uderza mnie w twarz chłodny strumień powietrza i naraz! - parzący, oślepiający błysk. Huku nie słyszę.

Na zewnątrz krzyki.

- Utit! Ubit!

Nie wiem, kiedy Jurek wciąga mnie do środka, pochyla się nade mną, pyta roztrzęsionym głosem.

- Czy jesteś ranny?

- Żyje, nie wiem...

- Co z Olkiem?

- Do mnie strzelał chyba z breku. Lepiej zamknij tę cholerną klapę i udawaj, że nie wiesz, o co chodzi.

Leżymy koło siebie w milczeniu. Stuk kół natarczywie powtarza.


Czyżby zginał? Zginał, zginał...

Zostało nas dwóch.



Krzemieniec był miastem powiatowym w województwie łuckim i nie miał nic wspólnego z Kamieńcem Podolskim, z którym jest często mylony. Kiedyś Kamieniec był twierdzą warowną na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej. Krzemieniec dla odmiany spełniał podobną co do ważności rolę na polu oświaty i kultury.

W broszurach dla turystów Krzemieniec z okolicą był określany jako "Szwajcaria Wołyńska". Nie bez racji. Wprawdzie podróżny zstępujący na peron stacji kolejowej naszego miasta nie spostrzegł tu niczego, co by kojarzył ze Szwajcarią, z wyjątkiem może owiec, które trafiały się na pobliskich polach, ale dość było krótkiej przejażdżki dwukonną dorożką, aby natychmiast przyznać rację autorom przewodnika. Na wstępie jednak widział obskurny budynek stacji kolejowej z napisem Krzemieniec, biały z zewnątrz i, dalej wzdłuż torów obrotnicę lokomotyw i jakiś znak ostrzegający maszynistów, żeby się nie rozpędzali, bo tory się tutaj kończą. Rozejrzawszy się, dostrzegał w sąsiedztwie nieliczne zabudowania i szosę prowadzącą na wschód, w kierunku odległych o parę kilometrów zalesionych wzgórz, wyraźnie odcinających się od rozlanej wokoło równiny. Na granicy wzgórz szosa prowadziła w ciągnąc się kilometrami ulicę zmieniającą co jakiś czas nazwy. Prowadziła ona między wzniesieniami, środkiem przestronnego wąwozu, w którym rozpościerało się miasto. U podnóża wzgórz, na skraju zabudowy miejskiej przyciągał

wzrok przybysza rozległy, parterowy budynek. Kiedyś za carskich czasów był to szpital, potem przebudowano go na więzienie, na czym zresztą tylko zyskał,  jego brzydotę zasłaniał teraz wysoki mur.

Dalej, wzdłuż drogi stały luźno parterowe domki i kamieniczki, przeważnie stare i nijakie, skąpo oszklone, ale do przesady wybielone wapnem. Wolną przestrzeń wypełniały ogrody i sady owocowe. Latem było tu kolorowo.

Właściwe miasto zaczynało się od cerkwi Bazylikańskiej, która, jeśli szło się od stacji, była drugą wyróżniającą się budowlą, po więzieniu. Od tego miejsca ulica przybierała nazwę Szerokiej i ciągnęła się wzdłuż miasta wąską, brukowaną jezdnią na dalekie, przeciwległe przedmieście. Nad miastem wznosiła się Góra Królowej Bony z ruinami zamku na szczycie. W zabudowie miejskiej dominował masyw kościoła i zespołu budynków Liceum Krzemienieckiego.

Proporcje narodowościowe mieszkańców miasta nie uległy większej zmianie od czasów wojen kozackich. Było tu kilkanaście tysięcy Żydów, głównie drobnych sklepikarzy, tyłuż Ukraińców i czterotysięczna kolonia polska. Żydzi handlowali, Ukraińcy politykowali, Polacy zarządzili.

Krzemieniec pozostałby zapewne kresową ukraińsko-żydowsko-polską zapowietrzoną mięsciną, gdyby Tadeusz Czacki nie założył tutaj w 1805 roku liceum, które stało się sławnym ośrodkiem oświaty i kultury polskiej na Wschodzie. Liceum, zamknięte podczas powstania listopadowego w 1831 roku i wskrzeszone w 1919 roku,

przetrwało do wybuchu drugiej wojny światowej. Po 1939 roku przeszło do historii mało znanej, ale mnie nie obcej.

W murach liceum stałem się człowiekiem i trudno było o lepszą szkołę. Ucząca się młodzież stanowiła narodowościowy i społeczny zlepek. Toteż niezależnie od nauki na poziomie wyższym od przeciętnego wymagano tutaj z naciskiem wzajemnego zrozumienia i poszanowania. Nie było miejsca dla protegowanych nieuków, nie było Polaków, Ukraińców i Żydów, byli uczniowie, którym zależało na nauce w tej właśnie, a nie innej szkole. Ukraińskiej i żydowskiej młodzieży, która, bywało, sięgała połowy ogółu uczniów, nikt nie starał się w Liceum wynaradawiać. Uczęszczali do polskiej szkoły; więc uczyli się w języku polskim przedmiotów ścisłych, polskiej historii i literatury. I na tym sprawa się kończyła. Żydzi nie tracili nic, Ukraińcy niewiele. Literatury ukraińskiej uczyli się na lekcjach języka ukraińskiego, który był obowiązkowy dla wszystkich. Jedni i drudzy uzupełniali swoje potrzeby duchowe na lekcjach religii. Pop, ksiądz i rabin opłacani przez władze licealne głosili swoje prawdy każdy jak umiał najlepiej. Pop nie marnował czasu i, prowadząc wykłady, starał się służyć zarówno Bogu, jak i Ojczyźnie, toteż niekiedy jego święci do złudzenia przypominali atamanów siczowych, dość luźno związanych z kościołem prawosławnym. Żydzi zamykali się z rabinem w osobnej klasie na końcu korytarza i studiowali mędrców talmudu, których, jak głosiły plotki, uzupełniali dziełami Karola Marksa. Ksiądz był najbardziej jednostronny i uczył

wyłącznie historii Kościoła Katolickiego. Ci trzej pasterze byli marginesem zespołu profesorskiego, który ~~jedn~~czył wszystkich wokół nauk pozytywnych.

I przyszła wojna, którą mało który z naszych wychowawców przeżył. Większość już na początku zginęła pod salwami plutonu egzekucyjnego Feld Gestapo w lipcu 1941 roku. Za co? Czyżby za to, że byli ludźmi światłymi, którzy innym nieśli zapowiedź lepszego jutra? A więc tak, za to, i straszne było "wczoraj"...

Słoneczny sierpień sprzyjał naszym wyprawom nad rzekę. W odległych o siedem kilometrów Młynowcach, małej ukraińsko-polskiej wsi, do której droga, malowniczo urozmaicona wiodła przez najwyższe okoliczne wzniesienia ze wzgarz na równinę, z lasów na pszeniczne pola. Ikwa tworzyła spore rozlewisko, oddzielone od koryta rzeki śluzą. O kilkadziesiąt metrów dalej, przy grobli, stał wodny młyn. Rozlewisko było głębokie, miejscami do sześciu metrów i służyło nie żydowskiej ludności Krzemieńca za pływalnię. Mieszkańcy wyznania mojżeszowego mieli swoje osobne kąpielisko, położone o kilometr dalej z biegiem rzeki. W sierpniu 1939 roku nikt z Żydów nie podejrzewał, że ten podział wkrótce się skończy, i nikt nie wiedział, że wydarzenia, które niebawem nadejdą, doświadczą ich tak tragicznie, że starosta miasta, odpowiedzialny za wyznaczenie osobnych miejsc do kąpeli, wyda im się łagodnym jagnięciem, a nie wilkiem, za jakiego go wtedy mieli.

Ostatni dzień sierpnia był upalny. Wieczorem, kiedy całą paczką wracaliśmy z Ikwy, złapała nas ulewna burza z piorunami. Przemoczony i przygnębiony myślą, że to już koniec lata i wakacji, później niż zwykle dotarłem do domu.

- Co się stało? - krzająca się przy kuchni mama była zaniepokojona. - Już myślałam, żeś się utopił. Pamiętasz, co mówiła Cyganka? Że masz się wystrzegać wody, od której

grozi ci śmierć - moja mama była przesadna i wierzyła wróżbom.

Uśmiechnąłem się lekceważąco.

- Pamiętam Cyganke, ale ona mówiła, że śmierć grozi mi od wielkiej wody, a tę w Młynowcach przepływam trzydzieści razy i mógłbym więcej. - W powiecie byłem wtedy wschodząca gwiazda w pływaniu na sto metrów stylem dowolnym, trenowałem pilnie i widziałem się w przyszłości na olimpijskim podium.

O tym, że następnego dnia rozpoczyna się rok szkolny, pomyślałem tylko przez moment i zasnąłem jak noworodek, nic nie wiedzący jeszcze o ciężarze oczekującego życia. Jak zwykle nic mi się nie śniło.

Obudziłem się od czyjś szarpnięcia.

- Wiesiek, słuchałeś radia? Wojna, bracie, wojna!

Poderwałem się z łóżka. Nade mną stał Jurek i uśmiechał się jak ktoś, komu się coś udało.

- Wojna? Jesteś pewny? - zapytałem z nadzieją, że Jurkowi się nic nie pokręciło.

- Frajerze - powiedział z pobłażliwą wyższością kogoś lepiej poinformowanego. Jest oficjalne potwierdzenie. Walki toczą się wzdłuż całej zachodniej granicy, radio bez przerwy nadaje zaszyfrowane komunikaty. Ubieraj się szybko i chodź. Pomyślimy co robić.

- A co ze szkołą? - zapytałem naiwnie.

- Wariat - usłyszałem w odpowiedzi - z jaką szkołą? Chyba, że po wojnie...

Do Krzemieńca Niemcy mieli daleko, zbyt daleko, żeby w

pierwszych dniach wojny zakłócić spokój jego mieszkańcom. Zresztą w mieście i okolicy nie było obiektów wojskowych, z wyjątkiem odległej o siedem kilometrów Białokrynicy, gdzie stacjonował 12 Pułk Ułanów Podolskich, który odszedł na front drugiego września, żegnany przez Polaków i Żydów. Poza tym nic się nie działo. Odgłosy wojny docierały do nas przez radio i gazety, jak przez watę. Mieliśmy wrażenie, że walki toczą się nie w naszym kraju, ale gdzieś daleko, może - w Abisynii, w której, nie wiadomo dlaczego, nazwy miejscowości pozmieniano na polskie.

Do szkoły nie poszliśmy, jak się okazało, słusznie, bo tych najpilniejszych, którzy się stawili, odesłano do domów. O tym, że ta wojna trwa rzeczywiście i jest na serio, świadczył tylko bezwzględny nakaz zaciemnienia miasta.

Było nadal ciepło i pogodnie. Siostra, która przyjechała na wakacje i teraz nie mogła wrócić do swojego gimnazjum w Łowiczu, wstała wcześniej i poszła do koleżanki. Mama przed wyjściem do pracy zostawiła mi śniadanie, po którym przyszło mi do głowy, że marnuję czas: Nie chodzę do szkoły, to mogę trenować. Straciłem już przez tę wojnę dwa dni pływania i nie ma żadnego powodu, abym miał stracić trzeci. Wstąpiłem do Jurka, ale ani jego, ani żadnego z jego dwóch braci nie namówiłem na spacer do Młynowców. Moja propozycja wydała się im dziwaczna. Trochę racji mieli, bo na pływalni nie było żywego ducha, a stary pastuch, który zostawił swoją krowę i przybiegł z batem, żeby mi się bliżej przyjrzeć, jak

wychodziłem z wody, zachowywał się podejrzanie.

- Czego tak stoicie nade mną? - zapytałem ostro.

Widocznie bał się jeszcze polifonji, bo wymamrotał coś po ukraińsku, odszedł do krowy i batem wyładował na niej swoją złość. Wieczorem pewnie pochwalił się sąsiadowi opowieścią, w której rolę niczemu nie winnej krowy pełniłem ja ...

Do domu wróciłem wczesnym popołudniem. Nie było nikogo. Na stole leżała urzędowa koperta z pieczętką PKU, zaadresowana do mnie. Powiatowa Komenda Uzupełnień wzywała mnie do stawienia się w dniu czwartego września o ósmej rano.

A więc zaczynam żołnierski szlak. Wcześniej, bo mam dopiero szesnaście lat. Brawo! Tylko, zaraz... czy to aby nie jakaś pomyłka? Przebiegam wzrokiem kopertę, żeby się upewnić. Nie! Pismo jest zaadresowane wyraźnie do mnie: W.P. Wiesław Brodziński. Chce mi się śmiać z tego W.P. Ale co mieli napisać? Szeregowy?.. Przecież to już jest stopień wojskowy, w mojej sytuacji prawie szarża. Mam tylko brązową odznakę strzelecką. Rekrut? Tu dyskwalifikuje mnie mój wiek. Zresztą brzmi to jakoś po chamsku. A może w tym PKU nie widzą, ile mam lat? Jeżeli tak, to świetnie. Skłamię, że osiemnaście, wyglądam na więcej niż mam. Pomyślą, że dodałem sobie tylko rok i dadzą karabin.

Spojrzałem w Isutro i zadowolony z tego, co w nim zobaczyłem, schowałem pismo do kieszeni i wyszedłem. Byłem ciekawy, czy Jurek i jego bracia też dostali wezwanie. W



szkołach - oni chodzili do Samorządówki, ja do Czackiego - byliśmy w jednej klasie, ale tylko Zbyszek, o którym w rodzinie wyrażano się jako o jedynym normalnym spośród trzech braci, był moim rówieśnikiem. Bliźniacy Jurek i Janusz byli starsi ode mnie o dwa lata. W nauce byli mocno opóźnieni, ale się tym nie przejmowali, nie byli przecież dziećmi stróża, lecz miejscowego notariusza, który pomimo ponawianych gróźb nie mógł sobie pozwolić na oddanie ich w termin do szewca.

W drodze do Jurka stałem się podejrzliwy. Przyszło mi do głowy, że może w PKU chcą zrobić ze mnie jakiegoś gońca. Bez munduru i broni, albo tylko w mundurze. W takim razie nic z tego - postanowiłem - mój warunek, to karabin w garści. Chcą pętaka na posyłki, to niech szukają kogoś innego, nie ze mną sprawa.

Duża nowoczesna willa, w której mieszkali moi przyjaciele, nie była własnością ich ojca. Została przez niego w całości odnajęta od kogoś, komu starczyło pieniędzy na budowę domu, ale zabrakło na zamieszkanie w nim. Otoczona owocowym sadem i krzewami kwiatów, sąsiadowała przez niewielką dolinkę z pokrytym młodymi świerkami wzniesieniem, nazwanym Górą Krzyżową, od krzyża, który stał na jego szczycie. Była to piękna dzielnica miasta, a jej jedyną wadą było to, że składała się z zaledwie kilkunastu domów.

Wchodząc do obszernego hallu, pogłaskałem w kieszeni swoje pismo i skierowałem kroki do salonu, gdzie włączone radio zgromadziło domowników.

- Dzień dobry - rozejrzałem się po obecnych.

- Dzień dobry - odpowiedział senior rodziny,

zaciągając się cygarem, z nieczęstym u niego uśmiechem.

Był z czegoś zadowolony. Cygara palił jeszcze rzadziej niż się uśmiechał.

Stanąłem trochę głupio na środku salonu.

- Część - powiedział Janusz - czego tak stoisz, jakbyś był pierwszy raz w tym domu. Siadaj, i tak spóźniłeś się... już po wszystkim...

- Jak to po wszystkim?

- Klops - Janusz, z trójki braci najbardziej kochany przez matkę i przeznaczony przez nią do kawalerii, był ponury - Stało się, Anglia i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom... w tej hecy my już udziału nie weźmiemy.

- Nie gadaj - powiedziałem, zawiedziony tym co usłyszałem. Po chwili dodałem bez przekonania - ale może to nawet lepiej...

- Co lepiej? - Janusz nie miał złudzeń: - Wojna skończy się za parę tygodni i wrócisz do szkoły. Co lepiej, frajerze?

- Szkoda - wtrącił się ojciec - wojny są po to, żeby nie przybywało, lecz ubywało idiotów. Byłoby o dwóch mniej

...

Najwyraźniej nas miał na myśli. Janusz powstrzymał się przed splunięciem na błyszczący parkiet i powiedział znudzony.

- Chodźmy stąd...

Wyszliśmy. Rozbawiony senior rodu pożegnał nas

niedbałym ruchem ręki. On wiedział swoje, a my swoje. Jurek dołączył do nas, Zbyszek, ten umiarkowany, późniejszy żołnierz powstańczej Starówki, został przy ojcu.

- Macie wezwanie do wojska? - zapytałem w ogrodzie.

- Jakie?

- Dostałem pismo, przeczytajcie...

- Cholera - Janusz nie był z siebie zadowolony - kiedy to dostałeś?

- Dzisiaj.

- Przez listonosza?

- Tak, przyniósł.

- A mnie, cholera, nie przyniósł!

- To przyniesie...

Wezwania dostaliśmy wszyscy. Ubrali nas w zielone drelichy i uzbroili w karabiny typu Lebell, stare bo stare, nawet bardzo stare, ale z ostrą amunicją. Buty, które dostaliśmy, były na gwoździach i pamiętały lata pierwszej wojny światowej. Miały swój zapach, który jest bo jest.

Kiedy przyszedłem do domu, mama obraziła mnie.

- Synu, jak ty paskudnie śmierdzisz.

Nie zobaczyła we mnie bohatera i powiedziała, że skoro jestem taki uzbrojony, to może pójde do piekarni i przyniosę chleb, bo w domu nie ma co jeść.

Poszedłem zły na matkę i wbrew swojej łagodnej naturze napadłem na Żyda, właściciela piekarni. Rąbnąłem kolbą Lebella w podłogę i warknąłem.

- Bochenek chleba!

Stary i mądry Żyd zignorował mnie.

- Dla pana, panie żołnierzu, oczywiście...

Zaniosłem chleb do domu bez satysfakcji.

Następny dzień był piątym dniem wojny. Dla mnie już w mundurze, ale bez jakichkolwiek osiągnięć. Nie udało mi się wystrzelić ani razu. Mój udział w wojnie pozostawał dla Niemców bezkarny. Postawiono mnie przy drodze prowadzącej przez miasto na południe i nakazano kontrolowanie pojazdów.

- Jesteście do pomocy i macie polecenie sprawdzania dokumentów wszystkich samochodów. Niezależnie od tego, kto w nich siedzi. Generał, czy jakiś tam cywil. Ważny jest rozkaz wyjazdu. Opornych skierujecie na górkę do mnie. Jesteście przydzielony do pana wachmistrza i macie robić to, co on wam nakaze. Jak wam powie, że macie strzelać, to strzelajcie. Ale nic na własną rękę. Dość tego, że jest wojna i że na służbę powołano takich gówniarzy, jak wy.

Major jakiejś tam wojskowej służby porządkowej nie był zachwycony mną, a ja nim.

Stary wachmistrz, pamiętający wojnę rosyjsko-japońską, powiedział:

- Kolego, idźcie do przodu jakieś pięćdziesiąt metrów, zatrzymujcie wszystkie samochody i informujcie, że za kilkadziesiąt metrów będzie kontrola dokumentów. Jak się któryś skurwysyn przy was nie zatrzyma, to ja go załatwię.

Ale zatrzymywali się. Już przy mnie. Wojskowi i cywile. Niektórzy sięgali do kieszeni po dokumenty, na

których ja się nie znałem i zawiedzeni, że moja zgoda na dalszą jazdę, to jeszcze nie wszystko, podjeżdżali do wachmistrza. Mieli dokumenty, prawdziwe lub sfałszowane. Mój wachmistrz nie znał się na falsyfikatach.

Dwunastego, września Niemcy zbombardowali Krzemieniec. Obrony przeciwlotniczej nie było. Wybrali to niewielkie miasto dlatego, że w tym dniu gościło ono bez mała cały korpus dyplomatyczny.

Dyplomatom nic się nie stało. Bomby spadły na miejski rynek, wypełniony ludźmi, którzy z dyplomacją nie mieli nic wspólnego. Ten, chyba nie zamierzony, wyczyn Luftwaffe przemieszania krwi ze śmietaną, został skwitowany przekleństwami w języku ukraińskim i polskim.

Ruch na drodze do Zaleszczyk przybierał na sile. Już nie pojedyncze samochody, ale całe transporty przejeżdżały przez miasto. Nie wyglądało to najlepiej. Może z wyjątkiem niektórych samochodów, w których siedziały wytworne damy, jakich można było pozazdrościć tym, którzy je wieźli. Ku mojemu zgorszeniu wachmistrz kłaniał się takim w pas i niedbale przeglądał dokumenty.

Kapitan lotnictwa, który prowadził kolumnę ciężarówek załadowanych swoim wojskiem, zatrzymany przeze mnie i zapytany: - Skąd ta wycieczka? - warknął:

- Smarkaczu - ty lepiej uważaj na to co mówisz. Dali ci karabin, a zapomniałeś, że jest wojna. Kapralu - zwrócił się do kierowcy, patrząc na mnie z obrzydzeniem - jedziemy. Co za gówniarz - mruknął jeszcze do siebie, Samochód ruszył.

Kiedy, znacznie później, dotarłem do lotnictwa, tego kapitana na szczęście nie spotkałem. Może by mnie zresztą nie poznał. Pojechał chyba ze swoim wojskiem do Rumunii i dalej. Mojego wachmistrza przydzielili gdzieś indziej a mnie przenieśli z zachodniej na wschodnią roгатkę miasta.

Niebo było wygwieżdżone, nocą z szesnastego na siedemnastego września. Razem z Januszem pilnowaliśmy rowu przeciwczołgowego. Nad nim przerzucono drewniany mostek, pod nim, jak teatralne rekwizyty - leżały wiechcie słomy, smoła i butelka z benzyną. Droga prowadząca na wschód była uczepiona zbocza góry i naszego rowu nie można było objechać. Mostek, jak przewidywał rozkaz - w wypadku pojawienia się niemieckich czołgów mieliśmy podpalić w kolejności: benzyna, słoma, smoła i ogniem swoich lebelli powstrzymać wroga przed próbami zasypania przeszkody. Dlaczego niemieckie czołgi miałyby pojawić się właśnie od wschodu - tego nam nikt nie tłumaczył. Do granicy było trzydzieści kilometrów, ale przecież nie niemieckiej.

A jednak około północy, zamigotały od wschodu światła, które trudno było wziąć za cokolwiek innego niż zmierzającą w stronę naszego mostka kolumnę pojazdów. Światła były przyćmione, ale wyraźne i zbliżały się do nas szybciej niż mogliśmy sobie tego życzyć.

Zarepetowaliśmy broń, Janusz zaklął.

- Cholera, podpalamy!

Benzyna, słoma, smoła - przeszło mi przez głowę.

- Ja ciebie ubezpieczam, ty podpalaj.

Janusz wprawdzie nie siedział na koniu, ale chyba

poczuł się jak Koziętulski pod Samosierrą. Zglupiały, namacałem zapałki w kieszeni, upewniłem się, że je mam i... już było za późno.

Porucznik KOP-u, który prowadził kolumnę, wychylił się z łazika i patrząc na nas ze zdziwieniem rozkazał:

- Bolszewicy przerwali granicę, zwijajcie posterunek...

Ale źle trafił.

- Fanie poruczniku - odezwał się Janusz - nas z posterunku może zwolnić tylko ten, kto nas tutaj postawił, a pan, jak pan chce, to niech pan wieje.

- Ja bym ciebie nauczył, smarkaczu - powiedział z rozpędu porucznik, potem zawahał się, myśląc, jak by tu uratować nadszarpnięty honor, ale ostatecznie zrezygnował i uśmiechnął się do nas.

- No to trzymajcie się chłopcy.

Kolumna przejechała. Zostaliśmy sami ze swoim mostkiem. Przed nami do granicy nie było już nikogo.

- Ty, i co dalej? - powiedziałem, żeby coś powiedzieć.  
- Co robimy?

Janusz na szczęście odznaczał się niezbyt wybujałą wyobraźnią, która wielu ludziom komplikuje życie.

- Jak to co? Jak się pokażą bolszewicy, to damy im w dupę!

Ta dupa w dziwny sposób skojarzyła mi się z cmentarzem, ale nie mogłem stchórzyć, to było jasne.

- Dobrze, idę na mostek i nie dam się zaskoczyć, cokolwiek się pokaże na drodze, podpalam, a ty nie wiesz.

- Nie bój się, stoję za tobą i nie zwieję.

Nie zwialiśmy, ale następnego dnia nas rozbroili. Mój znajomy wachmistrz, którego nie widziałem od tygodnia, odebrał od nas Lebelle. Armia Czerowna obeszła miasto od zachodu i na rozkaz jeszcze istniejących władz polskich musieliśmy oddać broń. Oficerowie podchodzili do dużej skrzyni i wrzucali do niej swoją krótką broń. Wachmistrz pisał coś na kartce papieru. Czego w tej skrzyni nie było: wisy, mauzery, parabelki, belgijki... Staliśmy z Januszem parę kroków od tej skrzyni jak wkopani. Stopniowo upodabnialiśmy się do dwóch głodnych psów czatujących przed jatką. Porwanie broni i szybka ucieczka - to było rozwiązanie najprostsze, ale nie najlepsze. Fewno nikt by do nas nie strzelał, ale mało prawdopodobne, aby udało nam się uciec dalej niż do bramy, przy której porządku pilnował uzbrojony żołnierz. Polak, ale nieznanomy. Janusz wyciągnął z kieszeni ledwie napoczętą paczkę Egipskich Specjalnych, która zginęła z biurka jego ojca.

- Masz, zapal.

Zapaliliśmy. Na razie osiągnęliśmy tyle, że utraciliśmy podobieństwo do psów pod jatką, bo, jak wiadomo, psy nie palą papierosów. Nie palą, ale i nie myślą, a człowieka od zwierzęcia odróżnia podobno to, że czasami myśli. Mnie też zaczął chodzić po głowie niejasny zamiar.

- Janusz - powiedziałem - odczekamy, aż przy wachmistrzu nikogo nie będzie i podejdziemy do niego. Ustawimy go tyłem do skrzyni ze spluwami i ty poczęstujesz



go papierosem, a potem zobaczymy.

Wachmistrz ożywił się.

- Egipski Specjalny - zaciągnął się dymem - takich sie teraz nie będzie palić. To dobre papierosy, tylko nie na moją kieszeń.

- Niech się pan nie krępuje, panie wachmistrzu - Janusz skwapliwie sięgnął do kieszeni - Proszę, niech pan weźmie całą paczkę, ona mnie nic nie kosztowała, a sam prawie nie palę. Niech pan nam powie, co będzie dalej?

- A kto to wie - Odpowiedział wachmistrz, zapinając kieszeń munduru, do której włożył podarowane papierosy - Rozbrajamy wojsko, ewidencjonujemy broń i wszystko przekazemy władzom bolszewickim, jak tutaj przyjdą, a co dalej będzie, sam Bóg raczy wiedzieć. Rozkaz jest, żeby oddać wszystko w największym porządku.

- Wszystko? - wtrąciłem się - a te koce, które leżą pod ścianą, też?

- Kocę też, ale nikt ich nie będzie liczył.

- To mogę sobie jeden wziąć?

- Proszę, niech pan bierze, nawet dwa, dla siebie i kolegi.

O to chodziło. Janusz podtrzymywał rozmowę, a ja wziąłem dwa koce, w których dobry schowek znalazły jeden vis i jeden mauzer. Ten z mauzerem wręczyłem Januszowi.

- Ładny koc wybrałeś - mrugnął do mnie - przyda się na różne okazje.

- Szkoda, że nie mogę panom w niczym pomóc. Z tych koców można uszyć niezłe płaszcze - pożegnał nas

wachmistrz.

Było wcześniej rano osiemnastego września. Ulica była prawie pusta. Nie widać było Żydów, którzy normalnie o tej porze otwierali swoje sklepy. Nieliczni przechodnie, na widok mundurów, przyglądali się nam z zaciekawieniem, sprawdzali, co mamy na furazerkach, orzełki czy pięcioramienne gwiazdy. Bo żołnierz z daleka niewiele się jeden od drugiego różni. Dopiero z bliska, każdy śmierdzi inaczej.

W powietrzu rozległ się warkot motoru i wzdłuż ulicy nadleciał dwupłat z czerwonymi gwiazdami, pamiętający jeszcze wczesne lata dwudzieste. Siedzący za pilotem pasażer wysypywał ulotki. Podnieśliśmy kilka. Nieznany autor w imieniu dowództwa Armii Czerwonej żargonem z Nalewek wzywał polskich żołnierzy, żeby zabijali swoich oficerów i generałów, bo rząd Polski burżuazyjnej ich zdradził i uciekł. Wszystkim, którzy się poddadzą Armii Czerwonej, ulotka gwarantowała wolność i wszechstronną pomoc w powrocie do rodzin.

Janusz miał porachunku z polskimi oficerami. Był taki Stefan, starszy od nas o parę lat, który po promocji, w mundurze podporucznika lotnictwa przyjechał na urlop i w jednej chwili odbił mu sympatię, śmiał się przy tym z niego wtedy jak z gówniarza. Janusz odgrażał się, że go zastrzeli, ale nie miał z czego. Teraz miał, ale nie było wiadomo, gdzie tego Stefana szukać, a poza tym po przeczytaniu ulotki już po prostu nie wypadało.

- Gdzie schowamy broń? - zapytałem.

- Na razie tak, żeby nikt z rodziny nie wiedział, że w ogóle coś mamy, a później coś wymyślimy.

Jurek, rozdzielony z nami parę dni wcześniej i przydzielony do ochrony poczty przed Ukraińcami, nie przyniósł do domu nic poza wiadomością, że w naszej szkole kwateruje kilkunastu oficerów, którzy wymieniają broń na cywilne łachy. Z okazji skorzystaliśmy zaraz po południu. Ale kiedy z uszczerbkiem garderoby ojca Jurka, zaopatrzeni w belgijkę i visa przechodziliśmy przez bramę szkoły zostaliśmy niespodziewanie zatrzymani. Sigał, nie pierwszej młodości obywatel polski narodowości żydowskiej, nasz dobry znajomy, właściciel kiosku ze słodyczami, teraz z karabinem i czerwoną opaską na ramieniu, powiedział:

- Ja muszę was zrewidować, wy stamtąd wychodzicie, możecie mieć broń!

Spojrzeliliśmy po sobie zaskoczeni. Jurek, który u Sigała w kiosku miał zawsze kredyt, odezwał się pierwszy:

- Pani Sigał, pan taki porządny kupiec, co pan?

- Stójcie, bo będę strzelał!

Sigał stał z czerwoną opaską i karabinem, ale wyglądał niezbyt groźnie.

- Jak pan umie, to niech pan strzela - powiedział Jurek. - Idziemy - dodał.

Sigał nie wystrzelił. Może rzeczywiście nie umiał, a może było mu głupio strzelać do swoich dobrych klientów, dość na tym, że nasz stan posiadania urósł do czterech sztuk doborowej broni.

W połowie października wróciliśmy do szkoły. Dziesięciolatki z polskim językiem nauczania. Ze zmienionym programem, ale w większości mieli wykładać nasi przedwojenni profesorowie. Matematyka została ta sama, podobnie fizyka i inne nauki ścisłe. Ale na tym kończyły się podobieństwa. Ksiądz stracił posadę, to samo spotkało rabina i popa, a na lekcjach historii słuchaliśmy wykładów z "krótkiego kursu WKP (b)".

Do mojej dziewiątej klasy przybył parę dni po otwarciu szkoły uciekinier z Torunia - Olek. Był bardzo przystojny, ale mógł się podobać nie tylko dziewczynom. Był typem, o którym się mówi "pistolet". Już na wstępie wkupił się w nasze dwa visy, parabelkę i belgijkę swoją opowieścią. Olek był źle notowany przez polską dwójkę i jeszcze gorzej przez Niemców. Miał przeszłość zamachowca. Jeszcze przed wojną dokonał zamachu bombowego na konsulát niemiecki w Toruniu.

Słuchaliśmy go z zapartym tchem:

- Rodzice pojechali w sierpniu na urlop. Zostałem w domu sam ze swoim wyżłem. W powietrzu coś wisiało. O wojnie dużo się mówiło, ale tak naprawdę mało kto w nią wierzył. Mnie zastanawiało to, że toruńskie Szwaby o których dotąd wiedziałem, że w ogóle są, nagle zaczęli być widoczni. Mój kolega ze szkoły, o niemieckim nazwisku powiedział, że skoro nazywam się Miakutin, to pewno jestem Rosjaninem, a nie Polakiem, bo on jest Kufeld i jest

Niemcem. Zdenerwował mnie i musiałem się czymś uspokoić. Wziąłem do spółki Gienka, który zresztą też miał niemieckie nazwisko, ale zawsze wiedział kim jest. Zapytani przez aptekarza, po co nam siarka, powiedzieliśmy, że dla chorego psa, w innej aptece kupiliśmy kali do płukania gardła, sproszkowany magnez Gienek przyniósł z włamania do szkolnej pracowni chemicznej i mieliśmy wszystko. Lont sporządzony z powiązanych główkami zapalek sztormowych, który nie gasi na największym wietrze, obliczony na minutę, przymocowaliśmy do blaszanej puszki z mieszanką, wzięliśmy kij, żeby bombę na miejscu przywiązać do niego drutem i około dziesiątej wieczorem w sobotę poszliśmy zobaczyć, jak się szwaby bawią. W sobotę wieczorem konsul zwykle miał gości. Nie chcieliśmy zabić konsula, ale życzyliśmy jemu, jego żonie i gościom, żeby pryskające szkło pokiereszowało im dupy. Podłożenie tej zabawki pod konsulát nie było wcale proste. Przed budynkiem stał policjant z bronią załadowaną ostrą amunicją. Nasz, polski, ale dla nas w tym momencie wróg. Policjant miał swój posterunek przy furtce kilkanaście kroków od głównego wejścia. Teren mieliśmy rozpoznany i chodziło o to, żeby przeskoczyć parkan od tyłu konsulatu, obejść budynek i podłożyć bombę od frontu pod oknami, pod którymi rosły krzaki i kwiaty, dające niezłą osłonę przed wartownikiem. Wszystko poszło jak przewidzieliśmy. Zmontowaliśmy bombę, podpaliliśmy lont i spokojnie wycofaliśmy się tą samą drogą, którą przyszliliśmy. Już na ulicy, zaniepokojeni, że

nic się nie dzieje, stanęliśmy. Mówię do Gienka, że jak zaraz nie wybuchnie, to wracam sprawdzić co się stało, ostatecznie zabiorę zabawkę. Ale nie trzeba było. Nagle błysk jak cholera, huk, brzęk pryskającego szkła, krzyki, strzały policjanta w powietrze. Na więcej nie liczyliśmy, więc nie było na co czekać.

Przez dwa dni był spokój. Trzeciego dnia siedzimy z Gienkiem w moim mieszkaniu, wtem dzwoni ktoś do drzwi. Nikogo się nie spodziewałem, toteż zaintrygowany, nic jednak nie podejrzewając, otwieram.

Pan Miakutin? - pyta jeden z dwóch ugrzeczniczonych facetów i wyjmuje jakąś legitymację - Proszę z nami, pana kolega również.

Na legitymację nawet nie spojrzałem. Gienek też zgłupiał. Jak dwa barany daliśmy się zawieźć do gmachu policji. Posadzili nas w jakimś korytarzu, po chwili jeden z tych, którzy nas przywieźli, wrócił i w dalszym ciągu bardzo grzecznie poprosił, żebyśmy szli za nim. Otworzył drzwi, zaprosił nas do środka i sam się ulotnił. Znaleźliśmy się w gabinecie, całym w skórkach i dywanach. Zza wielkiego dębowego biurka uśmiechał się do nas przyjaźnie siwy, dystyngowany cywil.

- Siadajcie, chłopcy - wskazał na dwa fotele. Budził drań zaufanie. Mówił do nas jak wyrozumiały ojciec do niedobrych, ale kochanych przez siebie synów. Stary lis.

Chłopcy, ja rozumiem waszą niechęć do Niemców, sam nie czuję do nich najmniejszej sympatii, ale to, co zrobiliście, było zupełnie nieprzemyślane, żeby nie

powiedzieć, że głupie i karygodne. Czy wy wiecie, że ten wasz sobotni wyczyn jest przedmiotem ostrych protestów na szczeblu państwowym - spoważniał - że Niemcy mówią teraz o polskim terroryźmie i, co gorsza, mają do tego prawo.

My przez cały czas milczeliśmy ze spuszczoneymi głowami, a ten nasz rzekomy przyjaciel ciągnął swój monolog.

- Pozostała jedna możliwość - powiedział, nagle łagodniejąc. Znowu uśmiechał się przyjaźnie. Cholerny aktor. - Musicie podpisać oświadczenie, że swoją bombę chcieliście dla żartu podłożyć koledze, który mieszka o dom dalej, i pomyliliście adres. Nikt w takie tłumaczenie nie uwierzy, sami to rozumiecie, ale nic lepszego nie przyszło nam do głowy. Mam przygotowany tekst waszego oświadczenia, w którym przepaszacie konsula i wyjaśniacie nieporozumienie. Proszę, podpiszcie.

No i nie wypadliśmy z roli baranów do końca. Podpisaliśmy.

- Możecie iść, ale nie wolno wam opuszczać miasta.

Pozegnał się z nami przez podanie ręki. Przy drzwiach jednak nas zatrzymał.

Jeszcze jedno, chłopcy - śmiał się teraz, szczerze rozbawiony - Ja nie wiedziałem, kto podłożył tę bombę, podejrzanych było więcej, ale skoro wy podpisaliście oświadczenie, to sprawa się wyjaśniła - możecie iść... - śmiał się, a my wyszliśmy od tego spryciarza jak dwa sponiewierane kundle.

- Na przyjście Niemców, jak sami rozumiecie -

zakończył opowiadanie Olek - nie miałem co czekać.

Rzeczywiście, nie miał, bo zanim by wytłumaczył gestapo, że z tą bombą to był tylko kawał, nie mógłby z pewnością paznokci, a może i uszu. A tak, cały i zdrow chodził do szkoły i nie był podejrzany o żadną działalność wywrotową. Miało do tego dojść później.

Na razie jednak była druga połowa października 1939 roku, rozpoczęliśmy naukę, jakby życie toczyło się normalnie i kraj nie był ogarnięty wojną. Nasi przedwojenni wychowawcy gubili się w nowym programie, kto był kim i co jest czym, ale na ogół szło im nieźle. Dowiedziałem się wkrótce, że radio wynalazł Popow, że w 1920 roku my napadliśmy na Rosję Sowiecką, a nie oni na nas, że wszystko sensowne w świecie uosabia sobą Związek Radziecki, a poza nim istnieje wyłącznie zło i zgnilizna. Tak mnie uczyli teraz moi przedwojenni wychowawcy i nie mam im tego za złe. Wykładali wszystkie te mądrości z przymrużeniem oka i za to zachowałem dla nich szacunek.

Dyrektorem szkoły został szewc, komunista, z nazwiska Ukrainiec, z pochodzenia Żyd. Intelktem nie błyszczał, ale starał się jak najlepiej pełnić swoją rolę administratora. Nie wiem, jak się ów Pinczuk czuł, kiedy wykładowca języka rosyjskiego dr Lehrer tytułował go "towarzyszem dyrektorem". Na pewno głupio. Bo Pinczuk chyba czułby się lepiej, gdyby doktor Lehrer do niego przyszedł i zamówił kamazę.

Lehrer, też z pochodzenia Żyd, był światłym intelektualistą i humanistą. Przed wojną pełnił jakąś



funkcję w konsulacie ZSRR w Warszawie, teraz władza, której służył, oddała go pod zwierzchnictwo Pinczuka. Ten zasłużył się głównie tym, że spędził dwa lata w więzieniu za komunizm, o którym wiedział, że jest dobry, ale nie umiał wytłumaczyć dlaczego. Lehrer, uosobienie kultury, został później zamordowany w getcie krzemienieckim przez tych, którzy przystąpili do pełnienia swojej "misji cywilizacyjnej na Wschodzie". To był parszywy czas dla mądrych świątłych ludzi. Polski nie było i nikt nie wiedział jak potoczą się wypadki. Mówiono nam, że Niemcy prowadzą imperialistyczną wojnę z Anglią i Francją, a Związek Radziecki nieugięcie walczy o pokój. Na razie chcąc ten pokój obronić, pomagał Niemcom. Przez San i Bug szły na zachód zamaskowane transporty paliw i zboża, a przepędzane przez granicę gęsi, krowy i świnie dowodziły naocznie, że Józef Stalin sprawę obrony pokoju traktuje poważnie. Było to dla nas irytujące i postanowiliśmy, że podejmiemy próbę skłócenia tych dziwnych przyjaciół.

Okazja nadarzyła się niebawem. W końcu listopada dowiedzieliśmy się, że w mieście zaczęła urzędowanie niemiecka misja, której zadaniem było przeprowadzenie repatriacji dawnych obywateli narodowości niemieckiej z rejonu Krzemieńca i okolic do Trzeciej Rzeszy. Urząd ten rzeczywiście zajmował się repatriacją Niemców, ale jednocześnie, czego nietrudno się było domyśleć, był agenturą niemieckiego wywiadu. Toteż - jak przystało między przyjaciółmi - pozostawał pod ochroną NKWD. W naradzie, jak dokonać zamachu, pierwszy zabrał głos

Janusz. Był zwolennikiem najprostszego rozwiązania.

- Trzeba podejść od ulicy i od podwórka, ostrzelać okna, wrzucić do środka butelki z benzyną, podpalić i zwać.

- I to wszystko? - zapytał Olek.

- Wszystko, a co, uważasz, że za mało?

- Za dużo, frajerze. - Olek pokazał Januszowi, żeby się puknął w czoło. - Zapomniałeś kto pilnuje budynku? Wartownikami są Rosjanie, rozumiesz? i muszą wyjść z tej hecy bez jednego zadraśnięcia. Wystarczającym pretekstem dla szwabów, do podniesienia wrzasku będzie to, że Rosjanie lekceważą sobie ochronę ich urzędu, bo napad się odbył, szyby poleciały, a wartownicy nie wystrzelili i wyszli z awantury bez szwanku. Rozumiesz?

- Gadasz jak dyplomata, a nie jak dywersant - wtraciłem się do rozmowy.

- Ja do Rosjan nie będę strzelał, chyba że oni zaczną. Poza tym, że tutaj przyszli nie proszeni, wyzwolili nas jak Chrystus Żydów i wiedzą najlepiej co dla nas dobre, nic mi nie zrobili. Czy strzelałbyś do księdza za to tylko, że wlaź na cudzą ambone i gada głupstwa?

- Klawo, tylko pamiętaj o tym, co Żydzi zrobili ze swoim wybawcą.

- Pospieszili się i źle na tym wyszli. Ty się nie spiesz.

- Panowie - przerwał nam Olek - tu chodzi o poważną sprawę, a wy mędzicie jak na wiecu politycznym, do rzeczy!

Ustaliliśmy, że bomba ma działać na podmuch, czyli że

ma być w cienkiej powłoce i zawierać dużo materiału wybuchowego. Olek miał się zająć jej zrobieniem z amunicji, którą we wrześniu kiedy nas rozbrajano nikt się nie interesował i którą wzięliśmy wtedy bez wyraźnego celu w przeczuciu, że na wojnie wszystko co wybucha może się przydać. Siedziba misji mieściła się w willi, w sąsiedztwie zalesionego wzgórza, co ułatwiało odwrót. Była pilnowana przez dwóch żołnierzy. Jeden z wartowników stał przed furtką od ulicy, drugi patrolował tył domu od ogrodu. Willa była otoczona niskim parkanem i krzakami, które dawały słabą osłonę, na tyle jednak dobrą, że można było w nich ukryć bombę z palącym się lontem. W czasie narady ustaliliśmy, że ja podłożę bombę, a Jurek z Olkiem odwrócą uwagę wartownika. Janusz, który upierał się przy tym, żeby wziąć ze sobą broń, został wyłączony z napadu. Nie miało to zresztą znaczenia, bo, jak się następnego dnia przyznał, siedział ze swoim visem pod sosenką kilkadziesiąt kroków od szwabskiej misji i ubezpieczał nas, nieuzbrojonych idiotów.

Noc była mglista i ciemna. Rozdzieliliśmy się. Moje zadanie było proste. Miałem przejść z bombą między ogrodami pod parkan ogradzający willę, przykucnąć na rogu ogrodzenia w miejscu niewidocznym dla wartownika i czekać na Olka i Jurka, którzy mieli nadejść ulicą, ominąć wartownika, odwrócić jego uwagę zapaleniem papierosów i pójść dalej. Czas, w którym uwaga wartownika będzie zwrócona na nich miałem wykorzystać na przejście przez parkan, podłożenie ładunku i odwrót. Plan był dobry.

Dotarłem pod parkan bez przeszkód, przez nikogo nie zauważony. Uzbroiłem naszą bombę i czekałem. Czas mi się dłużył, bo nic się nie działo. Kiedy już zacząłem się wahać, czy by tak nie podpalić bomby po zewnętrznej stronie parkanu, po czym zwać, usłyszałem kroki i znajome głosy. Byli zdenerwowani, bo, przechodząc koło mnie, odwrócili głowy w moją stronę, tak jakby chcieli pokazać wartownikowi miejsce gdzie siedzę. Przeszli. Przeskoczyłem parkan, ciągle jeszcze pozostając poza polem widzenia wartownika. Oni już zapalali papierosy. Wychyliłem się zza ściany domu. Wartownik stał przy furtce tyłem do mnie, oddalony o kilkanaście kroków. Jak przewidzieliśmy, był zainteresowany tym, co działo się na ulicy. Pozbyłem się bomby pod krzakiem, pociągnąłem lont draską z pudełka zapalek i wycofałem się za ścianę domu i za parkan. Bez paniki. Oddaliłem się o kilkadziesiąt kroków, kiedy nastąpił wybuch. Huk podziałał na mnie jak wystrzał startera na sprinterów. Nikt mnie nie widział, toteż żwawym klusem dobiegłem do domu.

Janusz, który w swoim ukryciu wytrzymał aż do przybycia samochodów NKWD, opowiadał, że było na co popatrzeć. Szyby wyleciały z okien, a za nim wysypali się mieszkańcy domu w nocnej bieliźnie. Wartownik krzyczał coś do nich po rosyjsku, oni do niego po niemiecku, on, że to chuligani, oni, że bandyci, krótko mówiąc, awantura się udała.

Był listopad i mieszkańcy willi mogli się przeziębć, toteż nie czekano z oszkleniem okien. Następnego dnia

pracę szklarzy oglądaliśmy z bezpiecznej odległości, podziwiając psa NKWD, który obwachiwał dom z zawodową wprawą, ale bezskutecznie. Nie zarobił sobie na dodatkową porcję mięsa do kaszy, a my nie mieliśmy powodu, żeby się tym martwić.

Był to okres, kiedy wojna była dziwna, a szkoła, do której uczęszczaliśmy też nie była normalna. W naszej klasie przysługiwał nam przywilej zwracania się do wykładowców per "towarzyszu profesorze". Kiedy na próbę odezwałem się tak do naszego matematyka, który nie bez kozery nazywał się Biczek, obyło się bez odpowiedzi, ale z jego oczu wyczytałem, co sobie myśli. Był też inny wykładowca. Nazywał się Wesełowski, od weseło, czyli po polsku wesoło, wykładał język ukraiński i jak większość nacjonalistów, nie miał poczucia humoru. Zamiast uczyć nas literatury ukraińskiej snuł na lekcjach ponure opowieści o tym, jak to jezuici gnębili jego naród. W swoim życiu zdążyłem być ministrantem. Farę lat wcześniej imponowały mi zapalone świece, kadzidło i kościelna łacina, ale mi to przeszło i nie miałbym nic przeciw niechęci Wesełowskiego do jezuitów, gdyby w podtekście nie myślał o Polakach. Ten to Wesełowski, kiedy przerywał swój wykład z literatury ukraińskiej wstawką o haniebnym roli jezuitów w historii swojego narodu, miał zwyczaj patrzenia na ławkę, w której siedziałem z Olkiem. W toruńskim gimnazjum Olek nie uczył się języka ukraińskiego i niewiele z tego gadania rozumiał. Ja byłem w gorszej sytuacji, bo rozumiałem wszystko. Kiedy któregoś dnia w grudniu Wesełowski zaczął

opowiadać o tym, czym mogłaby być literatura ukraińska, gdyby nie było na świecie polskich obszarników i Jezuitów ni) wytrzymałem i zacząłem się głośno śmiać. Wesełowski zbladł z wściekłości, zaczął machać rękami, jakby za chwilę miał go szlag trafić i wyszedł z klasy. Nietrudno było się domyśleć, że poszedł do Finczuka na skargę. Wzięliśmy z niego przykład i wkrótce już staliśmy pod drzwiami gabinetu dyrektora. Wesełowski krzyczał, że jesteśmy polskimi nacjonalistami, którzy uniemożliwiają mu prowadzenie lekcji, że takich jak my należy traktować jak zarazę. Finczuk coś mi tłumaczył. Kiedy Wesełowski wyszedł z gabinetu był bardzo spłoszony naszą obecnością pod drzwiami. Najwyraźniej bał się, że z miejsca dostanie po łbie. Bo do jakiejś tam winy się poczuwał. Przeszedł obok nas, przyspieszył kroku i uciekł do pokoju nauczycielskiego. Finczuk był zaniepokojony.

- Co się stało, towarzysze?

- Panie dyrektorze - zacząłem śmiało - czy pan potwierdza, że w Związku Radzieckim wszystkie narodowości mają równe prawa?

- Towarzyszu, o czym wy mówicie, przecież...

Przerwałem mu.

- To w takim razie dlaczego profesor Wesełowski wykorzystuje lekcje języka ukraińskiego jako pretekst do antypolskich wystąpień?

Finczuk wyglądał na przestraszonego, ale nie byłem u niego w gabinecie po to, żeby mu współczuć.

Panie dyrektorze - odezwałem się ostro - jeżeli to się

nie skończy, to ja zamelduję o tym w NKWD - wymieniłem nazwę tej instytucji, jakbym był z nią za pan brat.

- Towarzyszu, co wy mówicie, wy się zastanówcie, po co zaraz NKWD, nie ma potrzeby. Ja sam to załatwię. Towarzysz Wesełowski jest trochę nerwowy. Ja też nie zawsze go rozumiem. Wy to zostawcie mnie...

Zostawiliśmy z dobrym skutkiem. Od tego czasu Wesełowski jakby zapomniał o swoich urazach do nas, a my z Olkiem, niezależnie od czynionych postępów, z jego przedmiotu otrzymaliśmy zawsze ocenę dobrą. Trwało to tak aż do naszego aresztowania, z którego Wesełowski - czemu nie należy się dziwić - był raczej zadowolony.

Zima zapowiadała się mroźna. Ojciec moich przyjaciół już dawno przeszedł z Egipskich Specjalnych na machorkę i wymienił któryś z rzędu garnitur na słoninę, kiedy zyskał ciekawych sublokatorów. Byli to kobieta i mężczyzna - uciekinierzy z Łodzi. Ani ich wygląd, ani bagaż nie zdradzały, aby mieli za sobą jakąkolwiek poniewierkę. Wyglądali dostatnio, a i humory mieli nie najgorsze. O władzy radzieckiej wyrażali się przychylnie, że to dobra władza, a swój pokój, w którym zgromadzili parę waliz, zamykali na klucz. Wkrótce po sprowadzeniu się pojechali do Lwowa, skąd wrócili z paroma ciężkimi walizami.

Nie obchodziło nas, kim byli i czym się trudnili przybysze z Łodzi, ale byliśmy ciekawi, co mają w tych walizach.

- Wiesiek - powiedział Jurek - ci nasi sublokatorzy wciąż coś żrą i proszą tylko o herbatę.

- Co mogą zjeść, jeśli nic nie ma? - zapytałem nie od rzeczy.

- Cholera ich wie, ale warto by sprawdzić - też nie od rzeczy powiedział Jurek.

Najmniejsza walizka nie zawierała niczego, co mogłoby wydać się nam interesujące. Pod damską bielizną były w niej dolary, angielskie funty, franki szwajcarskie w dużych ilościach, ale nic poza tym. Za to lwowskie pakunki były ciekawe, zawierały to, czego szukaliśmy: konserwy mięsne i rybne, czekoladę, powidła... Zapachniało dobrym sklepem kolonialnym.

Wzięliśmy dwie puszki konserw. Rozpetało się z tego powodu piekło. Do głowy nam nie przyszło, że Łódzcy uciekinierzy, ignorując fakt, że przebywali w domu szanowanego miejscowego notariusza, liczą te konserwy i doliczą się takiej drobnej straty, jak marne dwie puszki. Ojciec Jurka, niezupełnie pewny czy działa w słusznej sprawie, zwrócił Łódzianom ruble za zapłacony z góry dwutygodniowy pobyt i wypchnął ich za drzwi razem z dobytkiem. Było to posunięcie ryzykowne, ale sublokatorzy okazali się w sumie nienajgorsi, bo nie złożyli na niego donosu do miejscowych władz z oskarżeniem o antysemityzm. Szkoda, bo to by nas serdecznie rozbawiło, jako że zawsze uchodził on w mieście za liberała, o którym niektórzy mówili, że w swojej sympatii do Żydów posuwa się za daleko.

Zima była mroźna, święta przeszły nam przy opiatku, pustych talerzach i nadziei, że następne będziemy



obchodzili w wolnej Polsce. We Francji generał Sikorski organizował polską armię, która z bronią w rękę nigdy nie miała dotrzeć do kraju. Rosjanie i Niemcy obserwowali się wzajemnie przez zamarznięty Bug i mieli kłopoty z odróżnianiem uciekinierów od przemytników i szpiegów. Bywało, że Bogu ducha winien zbiegły Żyd tłumaczył się przed innym Żydem z NKWD, że nie jest niemieckim szpiegiem. Biada mu, jeśli znał przy tym język niemiecki, co wykształconym ludziom się zdarza. Z gazet trudno było cokolwiek wywnioskować, naszym łącznikiem z zewnętrznym światem były audycje radiowe nadawane w języku polskim przez Tuluzę i Londyn. Nowe władze oficjalnie nie wzbraniały słuchania tych audycji, zagłuszały je co prawda, nie na tyle jednak, żeby zupełnie zniechęcić amatorów kręcenia gaikami aparatów.

- Na wiosnę alianci się ruszą - mawiał ojciec Jurka, kiedy wstawał od radia, z dnia na dzień coraz bardziej zawiedziony komunikatami o działalności patroli na froncie zachodnim, tak cichym i spokojnym, jakby po obu stronach siedziały tam szydełkujące stare ciotki, a nie uzbrojeni żołnierze.

Ale jednak zanim na Zachodzie ruszyli się Niemcy, nie alianci, tu Rosjanie ze znanych sobie powodów, być może z chęci do podtrzymania carskich tradycji przystąpili do przesiedlania polskiej ludności w głąb swego kraju. Rodziny policjantów, wojskowych, leśników, urzędników państwowych i wszelkie inne osoby uznane za niebezpieczny element w składzie narodowościowym Zachodniej Ukrainy i

Białorusi, wywożono na wschód w warunkach często gorszych od tych, w których później odbywali podobną drogę niemieccy jeńcy. Nas zignorowan<sup>o</sup> jako ewentualnych kandydatów na przymusowych turystów, czym byliśmy zawiedzeni, uważaliśmy się bowiem za element prawdziwie niebezpieczny.

Pod koniec zimy zaczęliśmy planować ucieczkę przez Karpaty na Węgry. Rozpatrywaliśmy dwie możliwości. Olek doradzał jazdę pociągiem, skok w biegu przed stacją graniczną Skole i pieszo na Węgry parę kilometrów na wschód od tej miejscowości. Uważał, że na samej stacji nie ma się co pokazywać, bo tam tylko czekają na takich podróżnych jak my. Janusz był zdania, że należy zdobyć samochód i z bronią w rękę przebijać się do granicy. Ten plan był bardzo śmiały i tylko pozornie głupi. Na przejazd z Krzemieńca do granicy potrzebowaliśmy około siedmiu godzin, czyli połowę zimowej nocy. Samo przejście na węgierską stronę w wypadku konieczności użycia broni wyliczyliśmy na pięć godzin, a więc na całą operację wystarczała nam jedna noc. Innych samochodów niż radzieckich na drogach wtedy nie było i kontrola skupiała się prawie wyłącznie na pieszych. To zmniejszało ryzyko związane z ucieczką. Na początku marca włamaliśmy się z Januszem do garażu milicji skąd wyieśliśmy pięćdziesiąt litrów benzyny, którą zakopaliśmy u niego w ogrodzie. Kierowcą miał być Olek, który chwalił się, że przed wybuchem wojny jeździł Skodą swoich rodziców i że na samochodach zna się nie najgorzej. Tak mówił. Żeby to

sprawdzić włamaliśmy się którejs nocy do zaparkowanego Fiata, zarekwirowanego we wrześniu i należącego obecnie do jakiejś ważnej osobistości mieszkającej w pobliżu domu Jurka i poprosiliśmy Olka, żeby zajął miejsce przy kierownicy. Z biegłością, której by się nie powstydział średniej klasy złodziej samochodów Olek rozmontował scyzorykiem stacyjkę, podłączył przewody, silnik zaskoczył i pojechaliśmy. Parę ulic dalej zostawiliśmy zdobycz. Mieliśmy teraz benzynę, mapy, broń i wypróbowanego kierowcę; pozostawał jeszcze samochód. Z kilkudziesięciu, które krążyły po mieście, większość nie nadawała się. Były małe albo stare i z rachitycznymi silnikami, a nam był potrzebny pojazd pewny i szybki. ZIM parkowany na noc na stromej i skąpo oświetlonej ulicy, którym był odwożony do domu naczelnik komisariatu milicji, spełniał nasze warunki. Po zwolnieniu ręcznego hamulca można nim było bez włączania silnika odjechać dwieście metrów w dół ulicy, co dawało gwarancję nie zbudzenia prawowitego użytkownika. We własnym interesie życzyliśmy mu jak najlepszego snu.

Kiedy byliśmy już gotowi do ucieczki parszywym zrzędzeniem losu Olek zachorował na zapalenie płuc. W kwietniu z wolna dochodził do siebie, ale był za słaby, żeby podjąć się swojej roli w tej przecież nie niedzielnej przejażdżce.

Tymczasem Niemcy, zajęli bez jednego wystrzału Danię i rozgrzani sukcesem szukali ochłody dalej na północy, w Norwegii. Nikt ich tam nie przyjmował chlebem i solą, ale ich było wielu, a gospodarzy zbyt mało i mężnie broniąca

się Norwegia padła.

Pod koniec kwietnia Olek czuł się już dobrze i można było pomyśleć o jakiejś następnej bombie. Z bomby prochowej po krótkiej naradzie zrodziła się bomba taka na choinkę, ale z innym przeznaczeniem. Rosjanie kochają się w portretach swoich przywódców, może nawet bardziej niż w nich samych, żeby więc sobie dogodzić powiesili wielką podobiznę Józefa Stalina na bocznym skrzydle fasady kościoła licealnego - dawnej kolegiaty ojców jezuitów. Przed olejnym malowidłem był spory plac i właśnie tam miał się odbyć wiec pierwszomajowy. Postanowiliśmy, że skoro nie możemy się porwać na rozpedzenie wiecu, to chociaż nie dopuścimy, aby malowidło patronowało zgromadzonym. Jurek zaproponował wydmuszki z jajek napełnione atramentem, ja wpadłem na pomysł bomb choinkowych zawierających pokost zmieszany z olejną farbą. Atrament mogli przecież zmyć, a pokostu nie, poza tym jajka są małe, bombki różne. Od słów przeszliśmy do czynów i późnym wieczorem 30 kwietnia zrobiliśmy to, co później określono jako "unicztożenie portreta towarzysza Stalina". O tym, że portret jest pilnowany, nie wiedzieliśmy aż do chwili, kiedy wartownik zaczął strzelać. Na szczęście nie trafił. Janusza przy tym nie było, uznał bowiem, że z tym portretem to sztubackie żarty, a nie prawdziwa dywersja.

Następnego dnia rano mieliśmy okazję do oglądania psów NKWD. Obwąchiwały portret i skorupki bombek z biurokratyczną dokładnością, jaka przystała ich stanowisku.

Wiec się odbył przed sporządzonym naprędce portretem, znacznie mniejszym jednak od poprzedniego. Czekaliśmy na dalszy ciąg wojny.

- Teraz sobie połamię zęby - powiedział ojciec Jurka, kiedy z Londynu nadano pierwszy komunikat o ataku Niemców na Belgię i Holandię. Niestety, zęby Niemców miały jeszcze pozostać zdrowe. Zajęli Paryż, tak jakby to był Milanówek pod Warszawą. Została już tylko Anglia. Wiedzieliśmy, że Niemcy dalecy są od wodowstrętu, wierzyliśmy jednak, że nie przepłyną kanału bez zezwolenia gospodarzy, a na to wcale się nie zanosilo. Nareszcie...

Z zapartym tchem zaczęliśmy słuchać komunikatów z Londynu o obronie wyspy. Że tyle a tyle samolotów niemieckich zostało zestrzelonych, przy takich a takich stratach własnych, że Anglia się nie podda, będzie prowadziła wojnę z własnego czy jakiegokolwiek innego terytorium aż do zwycięstwa.

Postanowiliśmy, że należy wesprzeć Anglię podłożeniem kolejnej bomby. Wybór padł na Królowę Bonę, to jest nie na nią sama, ale na górę nazwaną jej imieniem, która mieszkańcy miasta znali, a przybysze nie mogli nie zauważyć. Magnezowa bomba wybuchła jak najlepszy fajerwerek sporządzony przez zawodowych pirotechników. Tym razem poszło łatwo, nikt do nas nie strzelał.

Ucieczka do Francji przez Węgry na razie straciła sens, a Anglia przegrodzona kanałem od reszty Europy była dla nas jak na księżycu.

Mieliśmy wciąż nowe i coraz lepsze pomysły, kiedy trwającą od roku dobrą passę przerwało nam NKWD. W przeddzień rocznicy Rewolucji Październikowej tuż przed północą dom, w którym mieszkałem został otoczony. Rewizja nic nie dała, a mama powiedziała, że teraz rozumiem moje późne powroty do domu, z których nie chciałem się tłumaczyć.

Mój pies zawarczał na spóźnionych przybyszów, ale bez skutku i chwilę po tym usłyszałem zaklęcie, które odtąd miało mi towarzyszyć przez wiele długich miesięcy: - "Szag w lewo, szag w prawo, konwój podnimajet orużje biez prieduprieżdzenia".

Fachniały zgniłe liście, które dozorczy domów zmiatali z chodników. Udawali, że człowiek prowadzony przez innych ludzi z karabinami opuszczonymi i gotowymi do strzału, to nic nadzwyczajnego, i niedługo potem usłyszałem za sobą zgrzyt zamykanego zamka celi. W głowie miałem pustkę.

Cela tak śmierdziała, że samym zapachem mogła przestraszyć większego przestępcę niż ja. W kącie stał dawno nie opróżniany blaszany kibel, dwie trzecie wąskiego pomieszczenia zajmowała goła drewniana prycza z wyrytymi napisami, że taki a taki Iwan czy Jan siedział tu od do. Ściany były brudne i też pokryte wydrapanymi w murze różnymi napisami i pionowymi kreskami, z których co siódma była przekreślona jako niedziela. Na niektórych kalendarzach tych kresek było po trzydzieści parę... Gnieździły się tutaj z pewnością wszelkie możliwe insekty, na które w pewnym stopniu odstraszała wyłącznie

pałaca się na okrągło pod sufitem zakratowana żarówka. Wystrój celi dopełniały drzwi pozbawione klamki, judasz i zamykanie z zewnątrz małe okienko, na tyle duże, żeby zmieściła się przez nie miska z jedzeniem, w żadnym razie jednak człowiek.

Byłem sam, z pozostałej trójki nie było nikogo. To było denerwujące. Zacząłem szukać w pamięci czegoś, co zrobiłem na własną rękę, w czym Olek i reszta mi nie towarzyszyli. Znalazłem. W czerwcu Jurek Kaznowiecki zaproponował wstąpienie do tajnej organizacji. Rozmowa odbyła się w cztery oczy. Po upewnieniu się, że jestem chętny zapowiedział, że niedługo zwróci się do mnie ktoś, kogo znam poda hasło "przychodzę do Romana" i że ten ktoś wprowadzi mnie do konspiracji. Tym kimś okazał się mój profesor gimnazjalny Targoński. Szanowałem go zawsze, ale kiedy zaczął mnie wypytywać czy mam broń i czy przypadkiem nie wiem, kto w mieście podkłada różne bomby, powiedziałem, że broni nie mam i że te bomby podkłada pewnie jego organizacja.

Targoński odpowiedział się nie zraził i powiedział, że moim pierwszym zadaniem będzie przewiezienie poczty do Lwowa i doręczenie pod wskazany adres. Nigdy z tą pocztą nie pojechałem, bo nikt mi jej nie doręczył, ale teraz, siedząc na więziennej pryczy zastanawiałem się, dlaczego jestem tutaj sam. Zacząłem już tracić nadzieję, że będę miał towarzystwo, kiedy około drugiej nad ranem usłyszałem na korytarzu kroki i znajomy głos.

- Gdzie mam iść?

- Idi priamo, sukinsyn!

To był Janusz, Po chwili wprowadzili Jurka. Trzy z czterech celi podręcznej aresztu NKWD były już zajęte. Olka przyprowadzili około piątej nad ranem.

Następnego dnia było święto rocznicy rewolucji i nikt się nami nie interesował.

Pierwszą noc na pryczy i pierwszą więzienną miszkę z jedzeniem potraktowałem jako zabawę. Było trochę nudno. Rozmawiać ze sobą nie mogliśmy, bo wartownik siedzący w korytarzu pilnował, abyśmy się z sobą nie komunikowali.

NKWD świętowało dwa dni. Późnym wieczorem ósmego listopada drzwi mojej celi energicznie otworzono.

- Wychodicie.

Wyszedłem i zostałem zaprowadzony do młodego blondyna w stopniu lejtenanta NKWD, który niczego ode mnie nie chciał z wyjątkiem podpisu na piśmie mówiącym, że zostałem zatrzymany z paragrafu 54 ustęp 8. Nie wiedziałem o co chodzi w tym paragrafie, ale blondyn wydał mi się sympatyczny i pismo podpisałem bez oporu.

Podróż z aresztu do więzienia odbyliśmy półciągarówką razem, ale przegrodzeni trzema wartownikami, którzy sami nie byli rozmowni i nam nie pozwolili rozmawiać. Po tym nas rozłączono.

Zaspany więzienny fryzjer maszynką, która kiedyś, gdy była nowa, nadawała się być może do strzyżenia włosów, a teraz je boleśnie wrywała, zadbał o to, żebym nie odróżniał się wyglądem od reszty towarzystwa, z którym miałem przebywać. Jego kolega trzymający pek kluczy



spojrzał na mój obszarpany czerep z zadowoleniem i powiedział:

- Nu charaszo, idiom...

Gdzie pójdziemy nie wiedziałem. On wiedział. Przerwał nocną ciszę więziennego korytarza zgrzytem otwieranego zamka celi numer czternaście, wepchnął mnie do środka i zatrzasnął drzwi.

W środku nie było gdzie stanąć. Na podłodze pokodem leżeli ludzie o niezdrowym wyglądzie, pochrapując i pojękując. Najbliższy od drzwi jegomość w trzecim rzędzie otworzył oczy i zaprosił mnie gestem ręki do położenia się koło niego. Był to człowiek w średnim wieku, potężnej postury, zupełnie łysy, spełniający swoim wyglądem wszystkie warunki na prawdziwego bandytę. Nazywał się Maksymiuk, ksywa Szparaga i miał za sobą piętnaście lat odsiadki na Świętym Krzyżu. W latach dwudziestych przez granicę polsko-radziecką, nie najgorzej przecież strzeżoną, chadzał w jedną i drugą stronę, jak przez miedzę do sąsiada. Zajmował się przemytem i był podwójnym szpiegiem. Powiedział mi o tym później, kiedy zawarliśmy przyjaźń.

Ta noc była dla mnie krótka. Rozmyślałem co mnie czeka i nie zmrzyłem oka. Szparaga spał dobrze. Rano dowiedziałem się, z kim dziele celę. Było tu paru wojskowych wziętych we wrześniu do niewoli i trzymany w więzieniu, paru urzędników, grupka Ukraińców i dwóch czy trzech Żydów spekulantów.

- Co z Anglią?

- Broni się i chyba odeprze Niemców.

Pułkownik Polkowski, były lekarz "Cebuli", którego podopieczni siedzieli teraz za sterami Spitfirerów i Huricanów i którym serdecznie tego zazdrościłem, powiedział:

- Pan taki młody, za co pana aresztowali?

- A czy ja wiem?

- Podpisywał pan coś?

- Tak, pismo, że zostałem zatrzymany z paragrafu 54 .  
ustęp 8.

- Co to jest?

- Nie wiem.

Nikt nie wiedział z wyjątkiem sztabkapitana carskiej armii Iwanowa, którego za jakieś stare grzechy też trzymali w tej celi.

- To jest paragraf za zamachy terrorystyczne - powiedział z wyraźnym zadowoleniem, że sprawa nie dotyczy jego.

Pułkownik spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

- To co pan takiego zrobił?

- Nic nie zrobiłem. Chodziłem do szkoły. Redagowałem szkolną gazetkę. Może coś napisałem.

Z okazji rocznicy rewolucji rzeczywiście napisałem o tym, jak to Związek Radziecki na tym głupim świecie rządzonym przez wilki stara się być owcą przez te wilki nie zjedzoną. Naszej szkolnej władzy ta moja pisanina się nawet spodobała, choć napisana była nieszczerze.

Pułkownik uśmiechnął się.

- Nie musi pan nic mówić, może zagramy w szachy, bo widzę, że jest pan zdenerwowany.

Szachy były zrobione z chleba. Pierwszą partię udało mi się wygrać. W ciągu dnia, chcąc nie chcąc, pozyskałem sobie niedobrą sławę więźnia numer 1 celi.

Wieczorem drzwi celi szczęknęły, wartownik wyczytał moje nazwisko, imię i imię ojca. Pojechałem na przesłuchanie do znanego mi już aresztu NKWD na drugi koniec miasta.

Wprowadzono mnie do pokoju. Za biurkiem siedział też blondyn, ale już inny. Był w randze kapitana. Pokazał ręką na stołek i nie tyle poprosił, ile rozkazał mi na nim usiąść. Bez słowa zapalił Kazbeka, splunął na podłogę i podniósł słuchawkę telefonu.

- Zojka, ty na mnie dzisiaj nie czekaj. Mam tu takiego polskiego pana i my ze sobą porozmawiamy trochę dłużej. Idź spać. Po tym wstępie spojrzał na mnie groźnie, jakby chciał dać mi do zrozumienia, ile wyrzeczeń go kosztuje, urzędowo upewnił się jak się nazywam i jak miał na imię mój ojciec, po czym powiedział:

- A teraz opowiedz o swojej wrogiej działalności. Do jakiej organizacji należałeś?

Milczałem, gorączkowo zastanawiając się, jak dużo on wie.

- Targońskiego znasz?

Przecież wiedział, że go znam.

- Tak - potwierdziłem - to mój profesor.

- A co was łączyło?

- Nic poza szkołą i sportem. Targoński uczył mnie gimnastyki.

- A kontrrewolucja to wy razem zajmowaliście się? Jurczenko, bo tak nazywał się ten kapitan, wszedł w swoją rolę ostro.

- A dlaczego on tobie powiedział "przychodzę od Romana"? Kto to jest ten Roman?

Otworzył szufladę swojego biurka.

- To jest pałka, którą zostawiła polska policja, a to nahaj, też nie mój, a teraz, to ty mów prawdę. Masz trzy minuty do namysłu...

Musiałem pierwsze zaskoczenie przetrzymać.

- Nie wiem o czym pan mówi.

- Nie wiesz - odezwał się Jurczenko jadowicie - to ja już tobie przypomnę.

Przypomniał z pomocą dwóch swoich kolegów, którzy nie szczędzili mi wyzwisk od polskich panów i różnych tam świni przeciwnych władzy radzieckiej, i w zapale - co w innej sytuacji byłoby zabawne - mieszał z błotem cara, carycę i Rasputina. Na swoje szczęście brałem już w życiu po pysku w rękawicach bokserkich i dzięki temu łatwiej mi było przetrzymać tę obróbkę. Nie wiem, jak spała Zojka, żona kapitana Jurczenki tej nocy, ja nie spałem wcale. Od kapitana Jurczenki wyniesiono mnie nad ranem i odtransportowano do celi. Czułem się znacznie gorzej niż Max Schmelling po sławnej przegranej walce z Joe Luisem.

- Dzielnie się pan trzymał, ale niech pan uważa, oni pana zabiją - usłyszałem od nowego towarzysza w celi,

zanoszącego się kaszlem.

Zawsze bałem się bardziej szpitala niż więzienia, więc zapytałem:

- Czy pan jest przeziębiony?

- Nie, mam gruźlicę. Byłem na śledztwie w sąsiednim pokoju i słyszałem, co oni z panem wyrabiali. Pan to pewno ma jakąś poważną sprawę?

Nie wiedziałem czy Jurczenko wsadził do mojej celi tego typa rozmyślnie, ale jeżeli tak, to trafił najlepiej jak mógł. Kiedy tamtego trzęsły kolejne napady kaszlu, ja z wolna coraz bardziej traciłem nadzieję, abym kiedykolwiek miał znaleźć się na podium olimpijskim czy też w samolocie nad Niemcami. Trzy dni w jednej celi z tym typem i zje mnie gruźlica - pomyślałem.

- Mnie to chyba zwolnią - typ ze świstem w płucach łapał powietrze i brudną chustką przecierał nos i oczy - A pan to jaka ma sprawę?

- Mnie też zwolnią, a pana za co zatrzymali?

- Pomówienie o nielegalny handel.

- A czym pan handlował, bronią?

- Co też pan mówi, przechodziłem granicę z G.G. z igłami do maszyn do szycia.

- To dlaczego aresztowało pana NKWD, a nie milicja?

- Byłem na milicji, ale im było mało, że przyznałem się do tych igieł, przekazali mnie do NKWD jako podejrzanego o szpiegostwo.

Rozplakał się. Zrobiło mi się go żal.

- Po jaką cholere przy swoim zdrowiu bawił się pan w

szmugiel?

- Panie, to moja sprawa, niech pan nie będzie za ciekawy. Ja już siedzę od kwietnia, a jak pan posiedzi parę miesięcy, to też pan straci swoje rumieńce na buzi.

Mówił to, popłakując jak skrzywdzone dziecko. Nie budził już mojego współczucia.

Prycza była jedna, położyć się na niej razem z nim nie mogłem. Lepiej bym się czuł obok trupa zmarłego śmiercią naturalną.

- Niech się pan kładzie, ja sobie posiedzę na podłodze, do rana już niedaleko - powiedziałem.

Była chyba dziewiąta, kiedy mnie ponownie postawiono przed kapitanem Jurczenką. Miał na ustach uśmiech hieny, która znalazła padlinę.

- O, przyszedł nasz hujowy parień - od tego czasu zawsze mnie tak nazywał - jak się spało?

Powiedziałem, że bardzo dobrze.

- Ty prawdę mówisz?

- Tak.

- To mnie cieszy, bo ja mam zamiar przetrzymać ciebie tutaj dłużej, może kilkanaście dni, może parę tygodni - zaciągnął się Kazbkiem - siadaj. Wczoraj nie byłeś bardzo rozmowny, może nie lubisz mówić, no to dzisiaj nam tutaj trochę napiszesz.

Podał mi papier i pióro, przysunął kałamarz z atramentem.

- Pisz swój życiorys.

Polecenie Jurczenki wydało mi się dziwaczne.

- Ale ja mogę tylko po polsku - powiedziałem, żeby go zniechęcić.

- Dobrze, pisz po polsku, tylko niczego nie opuszczaj: swojej organizacji, bomby pod misją niemiecką, kradzieży benzyny z garażu milicji, zniszczenia portretu towarzysza Stalina - tu zrobił znaczącą pauzę - bomby na górze, wiesz której, swoich kontaktów z Targońskim i przynależności do jego organizacji, wszystko dokładnie. Teraz ja ciebie zostawię i przyjdę po obiedzie. Daję tobie dużo czasu, po to, abyś się nie spieszył i o niczym nie zapomniał.

Pierwszą moją myślą było, jak tylko wyszedł, żeby stąd zwać. Okno było zakratowane, za uchylonymi drzwiami stał żołnierz, główne wyjście z budynku było pilnowane, pozostawała jeszcze brama wyjazdowa z budką wartowniczą. Sporo tego było. Za dużo na ucieczkę i w sam raz na samobójstwo.

Spojrzałem na papier, pióro i kałamarz. Papier był podaniowy w kratkę, drewniana i obgryziona obsadka pióra była zakończona rondówką, w kałamarzu atramentu nie brakowało. Jurczenko zadbał o wszystko. Musiałem coś napisać. Ale co? Po godzinie zapisałem połowę arkusza, że urodziłem się wtedy a wtedy, tam i tam, i że chodziłem do szkół takich a takich. Na tym zatrzymałem się. Co dalej? Targoński... Nie wiedziałem czy został aresztowany, ale powodowany prześliskiem, jaki daje wyważona porcja alkoholu albo poczucie zagrożenia, umoczyłem pióro w atramencie. Uzupełniłem zyciorys tym, że profesor rzeczywiście podał mi hasło "przychodzę od Romana", że

pytał o broń, której nie posiadałem, o głośnie w mieście bomby, o których nic nie wiedziałem, i kiedy się ostatecznie upewnił, że nie mam z tym wszystkim nic wspólnego, powiedział:

- To dobrze. Pamiętaj, że jesteśmy w wojnie z Niemcami, nie Rosjanami, i że ja jako twój profesor i wychowawca zabraniam tobie wrogiej działalności przeciwko obecnym władzom.

Napisałem jeszcze, że Targoński wydał mi się podejrzany, nie byłem pewny, czy nie jest prowokatorem, i że od tego czasu nie miałem z nim kontaktu, który mógłby zainteresować władzę, to znaczy Jurczenkę. Nic lepszego do głowy mi nie przyszło. To co napisałem nie obciążało profesora. Ile ta jego organizacja była warta - nie miałem pojęcia. Miał jakieś powiązania z kimś we Lwowie, skoro chciał mnie tam wysłać, ale jakie, z kim i po co, tego nie wiedziałem. Musiałem kryć własną organizację, nie cudzą, tym bardziej, że tamci wymieniali między sobą spalone hasła, a my podkładaliśmy bomby.

Jurczenko przyszedł jak zapowiedział. Dzień był mglisty i żołnierz, który czuwał za drzwiami wcześniej zapalił światło. Jurczenko przebiegł wzrokiem kratkowany arkusz papieru zapisany w trzech czwartych i wrzasnął:

- To wszystko? Nic więcej nie pamiętasz?

Pamiętałem, nawet teraz, pamiętam po tylu latach ale co miałem wtedy powiedzieć?

- Nie...

Jurczenko zarechotał.



- Ty jesteś głupi. Targoński i twoi koledzy wszyscy się przyznali, a tobie się wydaje, że się nie przyznasz?

• - Przyznam się do tego, co zrobiłem.

- No więc słucham.

- Co miałem do powiedzenia napisałem.

- Napisałeś mało, ale powiesz dużo więcej.

Jurczenko kazał mi wstać ze stołka, na którym siedziałem, postawił na nim nogę tak, że spod jego buta wystawał tylko mały narożny skrawek i powiedział:

- Siadaj.

Spojrzałem, nic nie rozumiejąc i zapytałem:

- Gdzie? na czym?

Jurczenko roześmiał się.

- Tutaj.

Zrozumiałem i usiadłem. Na żalösnej końcówce kości ogonowej.

Po dwóch godzinach Jurczenko oderwał się od gazety.

- No więc jak, będziesz mówił?

- Co, obywatelu naczelniku?

Właściwe tytułowanie ludzi, którzy coś znaczą, jest w życiu bardzo ważne. Ja się na pierwszym śledztwie wygłupiłem. Z niewiedzy zwróciłem się do Jurczenki per towarzyszu kapitanie. Ten roześmiał się jak z dobrego żartu, i zaraz zawarczał:

- Kąkej ja dla ciebie towarzyszcz, czy to ja z tobą razem zajmowałem się kontrrewolucją, ty nieobykowniennaja swołocz. Ja jestem dla ciebie grażdananin naczalnik.

Nie zapomniałem lekcji.

- Nie wiesz, to siedź dalej i nie poprawiaj się.

Stołek był przyśrubowany do podłogi. Z wolna zaczął mi drętwieć kręgosłup. Żebym to ja był małpa - myślałem - i mógł sobie położyć ogon... Po czterech godzinach udałem, że mdleję i spadłem ze stołka na podłogę. Jurczenko kopnął mnie w potłuczone zębra, wezwał żołnierza, kazał mnie podnieść i odprowadzić do celi. Na pożegnanie powiedział:

- Jutro będziesz miał konfrontację, a to, czy złożysz zeznania, czy nie, nie będzie miało znaczenia.

Z ulgą stwierdziłem, że w celi jestem sam. Nie byłem głodny, ale cholernie chciało mi się pić. Zapukałem do drzwi celi i po chwili usłyszałem kroki wartownika.

- Paczemu ty tam szumisz?

- Można trochę wody?

Nad czymś myślał. Oddalił się i wrócił.

- Nu, niczewo, połuczaj.

To nie była ta cela, z której rano mnie wyprowadzono i w której siedziałem z kaszlącym przemytnikiem igieł do szycia. Pokrzepiony kubkiem wody i tym, że prątki Kocha zostały w innej celi zasnąłem spokojnie, w miarę gryziony przez wszy i pluskwy.

Następnego dnia rano Jurczenko po wesołym przywitaniu:

- O, zdies obratno nasz hujowyj parień - zapowiedział konfrontację z Olkiem. O Targońskim zapomniał.

A może tobie wystarczy przeczytanie zeznań, które on podpisał?

Instynkt podpowiedział mi, że Jurczenko nie blefuje.

- Wystarczy.

Chciałem się spotkać z Olkiem, ale nie teraz i nie tutaj.

- To czytaj.

Jurczenko podał mi napisany przez siebie protokół podpisany przez Olka. Protokół był datowany siódmego listopada, a to oznaczało, że Olek zaraz po aresztowaniu był przesłuchiwany i nie poszło mu wtedy najlepiej.

- No więc jak?

- Dalszy opór tracił sens. Targoński może był spalony, może nie, ale nasza grupa, cała pod kluczem, spalona była na pewno.

- Proszę, niech pan pisze, co pan uważa.

Jurczenko za "pana" się nie obrażał.

- Nie, nie tak. Ty mi opowiesz o swojej kontrrewolucyjnej działalności, ja napiszę co powiedziałeś i ty to podpiszesz. Żeby później nie było między nami nieporozumień, że ty mówiłeś jedno, a ja napisałem drugie. Atramentu mam dużo, ale czasu mało. Nie jesteś tu sam. Na początek opowiedz o zamachu, jakiego dokonaliście na misje niemiecką.

Opowiedziałem.

- A teraz podpisz.

Protokół przesłuchania kończył się słowami: "ja wioł barbu protiv Sowieckowo Sajuza, patamu, czto ja jawlajus polskim patriotom, nacjonalistom, kontrrewolucjonistom". Podpisałem. Jurczenko był zadowolony. Ja miałem wątpliwości czy go oszukałem, podpisując to, że jestem nacjonalistą i kontrrewolucjonistą, bo polskim patriotą

chyba byłem.

Niedługo potem, wstrząsany w więziennej samochodowej karetce toczącej się po bruku ulicy Szerokiej, jechałem do więzienia, albo jak to się wtedy mówiło: z NKWD do domu. Korytarzowy spojrzał na moje popodbijane oczy, poobrywane uszy i rozbity nos z zaciekawieniem, i otworzył drzwi celi numer czternaście. Stałem w drzwiach oszołomiony. Tyle ludzi. Przez ostatnie dwa dni byłem sam, nie licząc kilkugodzinnego towarzystwa kaszłającego przemytnika igieł do maszyn do szycia. Tutaj życie toczyło się swoim trybem.

Swym wyglądem wzbudziłem małą sensację. Pierwszy podszedł do mnie Szparaga:

- Pobili ciebie, synok?

On był bandytą i wiedział co to bicie.

- Trochę, ale to głupstwo...

- Chodź, siądziemy razem. Głodny jesteś?

Byłem głodny.

- Tak.

Spojrzał na mnie z przychylnym uśmiechem.

- Widzisz tego wsiowego polityka? - pokazał kogo ma na myśli. - Dzisiaj przyszedł do celi i siedzi na worku. A wiesz co on w tym worku ma? Coś dla nas. Chleb, słoninę i papierosy. Idź do niego i powiedz, że mam nam dać pół chleba, słoninę i 50 papierosów.

Szparaga mówił to wszystko z wyraźnym rozbawieniem.

Właściciel worka oburzył się.

- Szczo ty, ja tebe...

- Panie - przerwałem mu - to nie dla mnie... ten

pan...

Szparaga, widząc że mam trudności podniósł się i ze spojrzeniem, które było warte więcej niż słonina i chleb, szedł mi na pomoc. Miał spojrzenie, które przerażało nawet jego najbliższych przyjaciół. Ponadto miał ręce zwisające do kolan i łysą czaszkę. Znał swoją wartość. Nie musiał iść daleko. Po chwili jedliśmy chleb ze słoniną, A Szparaga patrzył na mnie jak ojciec na syna.

- Kto jest twoim śledczym?

- Jurczenko...

- Ta wesz. Znam go. Mamy tego samego. On jest od poważnych spraw. Zakuli ciebie na śledztwie?

- Nie.

- Mnie zakuli.

Jedliśmy, a Szparaga opowiadał.

- Jak ten Jurczenko do mnie, job twoju mać, to ja do niego, mać twoju job. On mówi - Szparaga, przyznaj się, a ja mówię - obywatelu naczelniku, wam się przyznałem jeszcze w Winnicy. Polakom w Tarnopolu, wy mieliście coś z tego, a ja ot tu jestem i nie wiem za co.

Opowiadał:

- Od wojny do wojny tylko pięć lat byłem na wolności, siedziałem przy granicy w ziemiankach i chodziłem ze swoimi raz na jedną stronę, raz na drugą. Zarobek był niezły, to chodziło się. Najpierw było NKWD. Złapali mnie i mówią: - Utłuczemy ciebie, Szparaga, bo zasłużyłeś. Ale jak ty tak chodzisz przez granicę jak do sąsiada przez miedzę to możesz nam się przydać... Przydałem się. Potem

wdepnąłem w polską defę i ta sama rozmowa. A mnie co tam, jedni dobrzy i drudzy dobrzy. Zacząłem chodzić przez granicę jakby jej wcale nie było. Nosiłem papierki dla jednych i drugich, a sam też nie narzekałem. Miałem złoto, dolary i dobrych kompanów. Wpadłem przez zdradę. Aresztowała mnie defa. Powiedzieli, że mam za dużo przyjaciół, w każdym razie o jednego za dużo i dostałem piętnaście lat. Na Świętym Krzyżu. Przyszła wojna i skutych poprowadzili nas na wschód. Po dwóch. Pod Kowlem dostaliśmy się pod bomby. Policja uciekła, my też daliśmy nogę. Ja z kolegą trafiłem do kowala. Rozkuł nas. Trzeba było coś robić ... Zrobiliśmy zasadzkę na polski transport złota i pieniędzy. Uciekali do Rumunii. Miejsce wybraliśmy dobre, w lesie za zakrętem drogi. Ale co z tego, kiedy w tym konwoju na każdy gram złota wypadała jedna lufa. Zaczniij tylko, złota nie zobaczysz, a będziesz miał w brzuchu z pół kilo ołowiu. Nas było kilkunastu. Podjeżdża transport, mój współnik mówi:

- Szparaga, zaczynamy.

A ja do niego:

- Stój, durniu, to złoto nie dla nas i tobie to mówi

Szparaga.

I ten zrezygnował.

Szparaga też zrezygnował. Po ogłoszeniu wyroku śmierci, zapytany czy napisze do towarzysza Stalina prośbę o ulaskawienie, odmówił. Miał swoją bandycką dumę i był konsekwentny do końca, do wykonania wyroku.

Następnego dnia pułkownik Polkowski spojrział na mnie i

powiedział:

- Chciałem wczoraj z panem porozmawiać, ale uprzedził mnie ten pana przyjaciel. To dziwne, ale ten człowiek z nikim do tej pory nie zamienił słowa i wszyscy go się tutaj boją. Wygląda strasznie. Co to za jeden?

- Bandyta, szpieg i przemytnik, wszystko naraz. Ale nie taki straszny.

- No tak, pan najwyraźniej przypadł mu do gustu. Ale niech go cholera, nie chciałbym spotkać się z takim w ciemnej ulicy. Zagra pan w brydża?

- Owszem.

- Mamy tutaj karty zrobione z pudełek od zapalek. Proponuję parę roberków do obiadu.

Z brydża niewiele wyszło, przed obiadem byłem ponownie na śledztwie.

Jurczenko z papierosem w zębach siedział za biurkiem. Gestem ręki odprawił wartownika który mnie przyprowadził i bez słowa wskazał mi miejsce na stołku. Po chwili podniósł się z krzesła, stanął za mną i niespodziewanie palnął mnie pięścią w skron. Spadłem na podłogę i w oczekiwaniu na kopniaki zasłoniłem ręką twarz.

- Wstań! - rozkazał i wrócił za biurko. Stanął obok stołka. On wypluł niedopałek Kazbeka na podłogę, wyjął z szuflady papier i spojrzał na mnie z obrzydzeniem.

- Siadaj! - warknął.

Kiedy usiadłem zaczął mi się przyglądać jak unikalnemu okazowi z ogrodu zoologicznego z niedowierzaniem, że taki mógł się uchować.

- Swołocz - wycedził ze złością i domieszka  
rozbawienia - broda ci jeszcze nie urosła a rzuciłeś się  
na samego towarzysza Stalina!

Sponiewieranie tego wodza nie było dla mnie  
pierwszą. W szkole wyróżniłem się pomysłem żeby  
ubikację nazwać jego imieniem, od którego czasu między  
wtajemniczonymi mówiło się "idę do Stalina".

Na moje szczęście Jurczenko o tym nie wiedział, a  
teraz dociekał sprawy ważniejszej.

- Dzisiaj - zaczął - opowiesz mi jak to było ze  
zniszczeniem portretu towarzysza Stalina. Kto z was  
sukinsynów pierwszy powiedział, że portret nada  
uniecztożyć.

- Ja! - wyrwałem się chełpliwie. W rzeczywistości  
pomysł był Olka.

- Kłamiesz, Bylica mówi, że on, Miakutin że on.  
Więc jak było naprawdę?

- Pomysł był mój - upierałem się.

- Jak chcesz - powiedział maczając pióro w kałamarzu -  
za udział w tym przestępstwie sąd da tobie 15 lat, za  
pomysł i przewodnictwo karę śmierci. Namysł się jeszcze  
... Jurczenko był w kłopotcie. Musiał przedłożyć  
prokuratorowi trzy zeznania w których wszyscy oskarżeni  
przypisują sobie winę w gardłowej sprawie. Jurczenko  
wiedział jak z tego kłopotu wybrnąć bo zwawo zapisywał  
kolejne kartki protokołu z przesłuchania.

- Masz - powiedział kiedy skończył - przeczytaj i  
podpisz.



Podpisałem, że jestem polskim patriotą, nacionalistą i kontrrewolucjonistą i że właśnie dlatego ja pierwszy wpadłem na pomysł zniszczenia portretu towarzysza Stalina. Ciekawe co by Jurczenko powiedział, gdyby mógł już wtedy wiedzieć, że dwa lata później powstanie w Moskwie Związek Patriotów Polskich...

- Wyprowadzić aresztowanego!

Zostałem odwieziony do więzienia. Przez parę następných dni nic się nie zdarzyło. W celu było duszno, co nie przeszkadzało większości jej mieszkańców, nawykłych do zaduchu wiejskich chałup. Z Polaków oprócz doktora Polskowskiego było tu jeszcze trzech oficerów rezerwy i chorąży Szulc, który podkreślał, że od 1918 roku jest zupakiem i że wróci jeszcze do swojego wojskowego kotła, bo więzienny mu nie odpowiada. Byli też dwaj urzędnicy Grabowski i Stączyński, oraz lwowski policjant Gornostaj. Wszyscy oczekiwali na wyroki administracyjne i wywózkę na tak zwane białe niedźwiedzie. Gornostaj był świetnym gawędziarzem skracał mi czas opowiadaniem o swoich potyczkach z lwowskimi kurwami, które, choć zahartowane prześladowaniami ze strony polskiej policji, nie dały sobie jednak rady z milicją radziecką i wszystkie razem zostały przesiedlone z macierzystego Lwowa gdzieś na wschód.

W grudniu do celi przybył Szawłowski, wileński wróżbita i hipnotyzer. Mnie sobie wybrał na medium, ale podczas zaimprovizowanego seansu uśpił nie mnie, lecz Grabowskiego, który siedział obok mnie. Kiedy ten w

odpowiedzi na pytania Szawłowskiego zaczął nagle coś bełkotać i dusić się, Szawłowski natychmiast przerwał doświadczenie i nie dowiedzieliśmy się, co nas czeka.

Na moją prośbę Szparaga zaczął regularnie wietrzyć celę.

- On jest młody - powiedział - i musi mieć świeże powietrze. Jak komu szkodzi świeże powietrze, to niech wsadzi łeb w kibel i tam trzyma, aż zamknę okno.

Sprzeciwów nie było. Wszyscy mieszkańcy celi ochoczo potwierdzili, że świeże powietrze jest lepsze dla nich niż smród i zaduch. Niektórzy nieśmiało wyrażali protest, pokasłując i pokichując.

Przed świętami Jurczenko przypomniał sobie o mnie. Siedział za swoim biurkiem wygolony i odświeżony. Obok niego palił papierosa sam naczelnik krzemienieckiego NKWD major Kowalenko.

Jurczenko odezwał się pierwszy:

- Dobrze wyglądasz.

Pomyślałem sobie, że on też dobrze wygląda i że dłuższe przerwy w spotkaniach służą i jemu, i mnie.

- Po górach nie biegasz, kontrrewolucja się nie zajmujesz i dobrze ci to robi - powiedział. Roześmieli się obydwaj.

Rzeczywiście wyglądałem lepiej niż w dniu, w którym Jurczenko przesłuchiwał mnie pierwszy raz. Szparaga wietrzył celę, a w więzieniu nie było wtedy głodu.

Kowalenko zwrócił się do mnie po imieniu.

- Wiesław, na co ty liczysz. Czekasz na Francuzów i

Anglików? Oni tutaj nigdy nie przyjdą.

Fewno miał rację. Pomimo szczerych chęci nie umiałem sobie wyobrazić wojsk francuskich i angielskich wkraczających do Krzemieńca.

- Pomyśl sam, Francja użę pizdoj nakryłas - wyraził się nieelegancko - Anglia ledwie dycha, wasz rząd uciekł, armia się poddała. Na co ty czekasz?

- Polska armia się nie poddała i walczy w Anglii.

- To ty na Polaków czekasz? - roześmiał się.

Naprawdę to czekałem na wojnę Niemców ze Związkiem Radzieckim i na to, co z tego wyniknie. Ale tego nie mogłem powiedzieć.

- Tak.

- Za mała ta wasza armia.

- Nie wiem, może i za mała.

- To ja tobie coś poradzę. Ty przyznaj się do swoich prawdziwych kontaktów z Targońskim, bo na razie napisałeś jakieś głupstwa, a ja się postaram, żeby sąd przy wydawaniu wyroku wziął pod uwagę twój młody wiek i szczerść... Ot i wyślą ciebie na kilka lat do łagra, tam ciebia pieriewospitajut.

Kowalenko zrobił krótką przerwę, zaciągnął się papierosem i spojrzał na mnie nieomal przyjaźnie.

- i... pustiat na wolu, ot tak. U nas możesz mieć jeszcze przyszłość. Kto wie, może jeszcze kiedyś usiądziesz na moim miejscu?

Do sprawy Targońskiego nic nie mogłem dodać, a z

Kowalenką na miejsca chętnie bym się zamienił, bo moje było gorsze niż to, na którym on siedział.

- Kiedy ja naprawdę wszystko napisałem.

Kowalenko przeszył mnie złym wzrokiem. Miał czarne, demoniczne oczy.

To ty, Wiesław, chcesz, żebym ja uwierzył, że Targoński był naszym agentem i że ja go do ciebie posłałem, żeby tobie powiedział, że przychodzi od jakiegoś tam Romana?

- No nie, ale on zrobił na mnie takie wrażenie.

Kowalenko pokręcił głową.

- Targoński miał kontakty we Lwowie. Co o nich wiesz?

Że miał, to wiedziałem. Ale nic poza tym i musiałem się jakoś z tego wyplatać. W śledztwie jak w życiu, dasz palec - złapią całą rękę.

O kontaktach Targońskiego nic nie wiem.

- Towarzyszu Jurczenko, zostawiam wam więźnia do jutra.

Zgasił papierosa i wyszedł.

To "do jutra" nie spodobało mi się. Było dopiero wczesne popołudnie. Jurczenko posadził mnie na rogu stołka. Siedziałem pilnowany na dwie zmiany przez Jurczenkę i jego kolegę i rozmyślałem nad organizacją Targońskiego. Musiała być rozgałęziona na kilka województw z ekspozyturą we Lwowie, ale jakie były jej cele, gdzie i na kim się kończyła, czy jej nici prowadziły do Warszawy, czy wprost do Londynu, czy jeszcze gdzie indziej, było dla mnie zupełną zagadką. Po północy półprzytomny spadłem ze

stołka, zostałem skopany i odprowadzony do celi. Miałem za sobą trudny dzień. Po jaką cholere Targoński przyszedł właśnie do mnie ze swoim spalonym hasłem, pomyślałem i zasnąłem.

Jeszcze przed świtem zbudzi mnie zgrzyt otwieranego zamka.

- Dawaj zdies - powiedział wartownik do kogoś stojącego na korytarzu. W pierwszej chwili nie poznałem nowo przybyłego. Usiadł na pryczy tyłem do mnie i milczał. Potem odezwał się.

- Ja ciebie znam... nie poznajesz mnie?

- Skąd mnie znasz?

- Ze szkoły, z Liceum.

Ciągle nie wiedziałem kim jest. Głos miał zachrypnięty, był ubrany w starą jesionkę, której podniesiony kołnierz zakrywał mu uszy. Odwrócił się. Teraz go poznałem. Było dwóch braci, starszy nazywał się Krawiec i był hufcowym harcerstwa, młodszy z ukraińska Kraweć, i chodził ze mną do szkoły. Kraweć uczył się dobrze, był stypendystą Liceum, wierzył, że w przyszłości w wolnej Ukrainie zostanie atamanem. Widocznie nie realizował swojego programu z założonymi rękami, skoro się tutaj znalazł.

- Za co ciebie aresztowali?

- A czy ja wiem?

Tak należało tutaj mówić, więc dalszych pytań nie miałem. Przesiedzieliśmy dwie, może trzy godziny, prawie nie rozmawiając. Dowiedziałem się tylko, że Kraweć został

zatrzymany na jakiejś wsi niedaleko Wiśniowca i że był już przesłuchiwany.

Dyżurny wartownik <sup>A</sup>odał nam przez okienko w drzwiach chleb i kawę, zaraz potem zgrzytnął kluczem i wywołał mnie na przesłuchanie.

- Jadłeś śniadanie? - przywitał mnie Jurczenko.

- Nie.

- Jak to, nie przynieśli ci?

- Przynieśli, ale zanim zdążyłem coś przełknąć, już mnie tutaj przyprowadzili.

- To cię źle traktują, a ja kazałem dobrze się z tobą obchodzić. Idź do celi i dokończ swoje śniadanie, wezwę cię później. Dyżurny, odprowadzić więźnia.

Krawiec spojrział na mnie zdziwiony.

- Co, już po śledztwie?

- Nie, mój śledczy kazał mi zjeść śniadanie. Wezwie mnie później.

- Później?

- Tak powiedział.

Krawiec uśmiechnął się zdawkowo.

- Wsadzili nas razem, czy on wie, że się znamy?

- Cholera to wie ale wątpię.

- A o mnie nie pytał się? - Był natretnie dociekliwy, ale nie wydało mi się to podejrzane.

- Gdyby się spytał powiedziałbym ci. Nie wiem dlaczego wezwał mnie i od progu odesłał do celi. Zwykle na przywitanie dostaje od niego fangę w nos, a potem sadza mnie na rogu stołka.

- Na rogu stołka, po co?

- Posiedzisz zobaczysz... Najpierw będzie ci tylko nie wygodnie, potem przyjdzie ból i na koniec odrętwienie. Przedtem dobrze udać zemdlenie i spaść ze stołka.

- Pomoże to coś?

- Tak, śledczy podniesie ciebie kopniakiem i jak będzie w dobrym humorze, to przez chwilę pozwoli tobie posiedzieć na całej dupie, jak będziesz miał pecha to przywoła swoich kolegów i razem tak ciebie skopią, że niczego nie będziesz musiał udawać. Ale z powrotem do celi nie będziesz miał kłopotów, odniosą ciebie.

- Ciebie odnosili?

- Odnosili.

Kraweć uśmiechnął się wrednie z niedowierzaniem.

- Ty mnie nie strasz, bo pomyślę, że nieprzypadkowo wsadzili nad razem...

Ten dureń wyraził się jasno, wziął mnie za szpicla.

Zaskoczony przez moment przyjrzałem mu się. Na odległość śmierzdział strachem. Jego rozbiegane szkliste oczy trawione gorączką przysiągłbym, że właśnie ze strachu, wzbudziły we mnie agresję. Ogarnięty furia doskoczyłem do niego z zaciśniętymi pięściami. Zasłonił twarz rękami, skulony, jakby o głowę krótszy, wyglądał załóżnie.

- Ty co? Ja tylko żartowałem! - zaskrzeczał piskliwie.

Szczeniak napadnięty przez dorosłego psa, kładzie się na grzbiecie odsłaniając brzuch na znak, że nie przyjmuje walki. Kraweć przyjął postawę takiego szczeniaka i nie

zdobyłem się na obicie mu pyska.

- Ja też tylko żartowałem - skłamałem.

Byłem od niego silniejszy i w szkole miałem opinię zabijaki, co trochę usprawiedliwiało tchórzostwo tego kandydata na atamana przesadnie wrażliwego na bicie. Po wymianie tych mętnych żartów, usiadłem na pryczy tyłem do niego i nie odzywałem się. Złość stopniowo wyparowała ze mnie i godzinę potem wyprowadzony na śledztwo odezwałem się pojednawczo.

- Trzymaj się i nie zapominaj o kolegach. Co złego to nie ja. Zbył mnie milczeniem.

Poleciłem się pamięci Krawcia bardzo niefortunnie, o czym dowiedziałem się po wojnie. Krawiec nie zapomniał o mnie. Od tego wydarzenia upłynęło osiem lat. Kilka dni po powrocie do kraju moja mama wtrąciła do rozmowy pytanie czym to takim naraziłem się Ukraińcom. Piliśmy herbatę wspominając Krzemieniec. Nic nie przyszło mi do głowy. Incydent z Krawciem dawno wymazałem z pamięci. I wtedy okazało się jaki byłem naiwny. Mama powiedziała, że zaraz po wkroczeniu Niemców poszukiwało mnie Feld Gestapo, dwukrotnie przyprowadzani przez Ukraińców przeszukali dom i ogród. Ci sojusznicy z piekła rodem nie złapali mnie ponieważ po rozbiciu więzienia, wcześniej zrobił to ich konkurent z NKWD major Kowalenko, o czym nie wiedzieli. Mieli ze sobą listę Polaków przeznaczonych do likwidacji sporządzoną przez Ukraińców. Obejmowała ona wszystkich profesorów Liceum Krzemienieckiego, rozstrzelanych nazajutrz w dniu 2-go lipca 1941 roku. Z poręki Krawcia



miałem być między nimi. Los chciał inaczej. Przeżyłem wojnę, a Kraweć nie doczekał egzekucji swoich wychowawców. Z wyroku doraźnego sądu wojskowego, z grupą którą wyspał na śledztwie, został rozstrzelany w marcu tego roku. Wtedy w celi więziennej przyjąłem tę wiadomość z przykrością. Wyszło na to, że niepotrzebnie.

Prowadzony na śledztwo do reszty otrząsałem się z awantury w celi. Jurczenko zapytał czy zjadłem śniadanie, kazał mi usiąść i przypomnieć sobie, jak było z bombą podłożoną na Górze Bony, i zaczął przeglądać gazetę. Po złym początku dzień nie zapowiadał się najgorzej. Siedziałem na stołku normalnie, Jurczenko czego się obawiałem, nie wrócił do sprawy Targońskiego. Upieranie się, że o bombie pierwszy raz słyszę nie miało sensu. Sprawa nie dotyczyła nikogo z zewnątrz, byłem pewny, że moi współnicy przyznali się. Bombę odpaliliśmy na stoku góry w nocy. Błysnęła potężnie i była w mieście przedmiotem rozmów i plotek przez kilka dni. Wymyślił ją Olek na wzór tej z Torunia.

- Jurczenko odłożył gazetę i zapalił papierosa.
- Więc jak?
- Tak. My podłożyliśmy tą bombę.
- Kto był z Tobą?
- Miakutin i Bylica.
- Który Bylica?
- Jerzy...
- Aczyj to był pomysł?
- Mój.

Jurczenko przez chwilę myślał i roześmiał się tak, że papieros który trzymał w zębach, wypadł mu na podłogę.

- Jak to twój? Bylica i Miakutin mówią, że ich. Więc czyj?

- Dobrze nie pamiętam.

Przyszło mi do głowy, że Janusz był w głupiej sytuacji bo nie brał udziału w niczym poza kradzieżą benzyny i że mógł być przez sąd uznany za zwykłego złodzieja.

- Przypomnij sobie.

- Naprawdę nie pamiętam, ale może to był Janusz Bylica.

- Przecież jego wtedy nie było z wami.

- Nie.

- No więc jak? Janusz Bylica powiedział, że trzeba wejść na tę górę i podłożyć bombę, a sam stchórzył i nie poszedł z wami?

Nie mogłem z Janusza zrobić tchórza. Przecież on dlatego nie przyłączał się do naszych wypadów, bo uważał to co robiliśmy za zabawę na poziomie podchodów harcerskich.

- Nie pamiętam...

- Kręcisz, ale to nieważne. Mam was już dość i sam rozsądzę jak podzielić między wami sukinsynami odpowiedzialność za "rukowoditelstwo".

Tak podzielił, że Janusz zakończył śledztwo jako pospolity złodziej mienia państwowego. Żeby to nadrobić, w czasie okupacji przez trzy lata walki w partyzantce AK Fchał się wszędzie gdzie było najgorecej i miał szczęście

do szwabów, a oni do niego nie mieli. Wielu utłukił, a sam wyszedł z wojny bez zadraśnięcia. Po wojnie miał kłopoty ze spaniem w łóżku, najchętniej uł<sup>a</sup> koc i kładł się pod najbliższym drzewem. Jeździł jakiś czas taksówką w Warszawie, aż w końcu został leśnikiem.

Jurczenko zapalił nowego Kazbeka, zaciągnął się parokrotnie, zdmuchnął popiół z biurka, wstał i zaczął spacerować po pokoju. Zatrzymał się, popatrzył przez okno, coś go zainteresowało na chwilę, potem odwrócił się do mnie, rzucił niedopałek na podłogę i przydeptując go butem powiedział:

- Powiedz, co z tobą robić? Ja bym ciebie nawet wypuścił na wolność... ale to nie byłoby w twoim interesie. Po tym co zrobiłeś z portretem towarzysza Stalina naród, gdyby się dowiedział, rozerwałby ciebie na kawałki - teatralnym gestem rozłożył ręce - sam rozumiesz, że nie mogę...

Nie byłem o tym aż tak bardzo przekonany, ale nie mogłem Jurczenko zaproponować zwolnienia mnie na własne ryzyko.

Nieoczekiwanie Jurczenko ruszył do okna w moją stronę, pozbywając się po drodze maski dobrego wuja. Syknął:

- A kradzież benzyny i próba kradzieży samochodu, to czyja sprawa?

Benzynę skradzioną w garażu milicji znaleźli pies NKWD podczas przekopywania ogrodu Byliców w poszukiwaniu broni. Benzynę znaleźli, ale na wykrycie broni nie wystarczyło mu węchu.

- Nie moja - odpowiedziałem.

- Pytam - po co skradliście benzynę?

Milczałem. Przeszedł mnie od tyłu.

- Ostatni raz pytam, swółocz! Czyja to sprawa?

- Nie moja - uparłem się.

- Bylica przyznał się i powiedział, że ty z nim byłeś!

- To kłamał...

Wrzasnął coś czego nie dosłyszałem, bo jednocześnie palnął mnie pięścią w głowę tak, że spadłem ze stołka.

- Wstań i usiądź - krzyknął ze szpetnym uśmieszkiem, trzymając nogę na stołku, tak że dla mnie pozostawał skrawek miejsca na samym cholernym rogu. Sam wrócił do swojego krzesła za biurkiem. Rozsiadł się, wyjął paczkę Kazbeków i złagodniał. Mówił teraz jak przyjaciel.

- Posłuchaj mnie, Wiesław, i przyznaj się. Przy innych twoich sprawkach ta nie ma znaczenia. Możesz mi zaufać...

Był przekonujący jak dobry aktor na scenie. Nie wycofałem się.

- Nie mogę - powiedziałem z niewinną miną, - przecież obywatel naczelnik kazał mi mówić prawdę.

Jurczenko wyciągnął z paczki papierosa i znudzony obracał go w palcach. Patrzym w okno i zachowywał się tak, jakby był sam. Po paru minutach ożywił się.

Nie chcesz posłuchać mojej rady, nie słuchaj, i tak za kradzież mienia państwowego będziesz odpowiadał z paragrafu 196. A dlaczego ukradliście benzynę wiem bez ciebie...

Domyślał się, ale nie całej prawdy. Benzynę po

rezygnacji z ucieczki na Węgry przeznaczaliśmy na inny, nie mniej pożyteczny cel. Mieliśmy się nią posłużyć do spalenia w rocznicę rewolucji dwumetrowej wysokości szczelnego ogrodzenia z desek okalających siedzibę jego instytucji. Patrzył na nie przed chwilą przez okno. Niestety mieliśmy pecha i trafiliśmy pod klucz o jeden dzień za wcześnie.

Do pokoju obok wprowadzono kogoś. Po chwili tego kogoś uderzono raz i drugi, chyba spadł ze stołka, był podnoszony i pewnie zaczął mówić, bo zapanowała względna cisza. Jurczenko wstał, przywołał do mnie wartownika, nacisnął kłamekę i wyszedł. Przez uchylone na moment drzwi sąsiedniego pokoju usłyszałem głos Krawca. Wymieniał jakieś nazwiska. Musiało ich być dużo, bo Jurczenko wrócił, kiedy już ściemniało. Spojrzał na mnie uśmiechnięty, ale i jakby z wyrzutem, że niby to on ma ze mną takie ciężkie życie, a jego kolegom wiedzie się lepiej. Zapalił kolejnego papierosa i kazał mnie wyprowadzić. Wyglądało na to, że Krawiec był nietuzinkowym członkiem jakiejś ukraińskiej organizacji, której celem było pozbawienie Związku Radzieckiego przy pomocy Niemców sporej połacy kraju nadającej się pod uprawę pszenicy.

Zostałem odwiedziony do więzienia.

- Co słychać?

Tonia Oprzański był Ukraińcem, absolwentem Warszawskiej Wyższej Szkoły Dziennikarskiej i do celi numer 14 trafił nie za to, co zrobił, ale za to, co mógł zrobić. Opowiadał, że bardzo lubi dziewczyny, a że

porządne były dla niego, początkującego dziennikarza, za kosztowne, radził sobie zdobywając miłość kurew za listy, które pisał w ich imieniu do wybranych, przebywających chwilowo za kratkami.

- Niedługo będziesz miał towarzystwo...

Powiedziałem mu, co widziałem i czego się domyślałem. Tonia pokręcił wąsy, rzadkie, jasnorude, noszone z kozacka. Spojrzał na mnie i powiedział, że się mylę, w każdym razie taką miał nadzieję. Ale niedługo potem przywieziono ich. Do naszej celi weszło kilku, z workami na plecach, ze słoniną i butną miną do pierwszego przesłuchania.

Wprowadzili też do celi generała Mogilnickiego. Pułkownika Polkowskiego już zabrali i generał, który liczył sobie siedemdziesiąt kilka lat był w celi najstarszy rangą i wiekiem. Ten sędziwy pan w 1920 roku uległ pokusie odzyskania swoich rozległych włości na Podolu i Ukrainie i odbył przejażdżkę do Kijowa w towarzystwie jeszcze dwadzieścia lat później bardzo źle notowanym przez NKWD. Innych grzechów sobie nie przypominał. Był tylko raz na przesłuchaniu, którego celem było ustalenie tożsamości, teraz oczekiwał na wyrok. Podeszły wiek nie zeszpecił sylwetki generała. Był wysoki, nosił się prosto, wzrok zachował niezgorszy, taki, który pozwalał mu na wybieranie wszy z kalesonów i koszuli na odległość wyciągniętych ramion. Kiedy powiedziano mu, że za swoje przestępstwa będzie musiał przebywać w odosobnieniu przez pięć lat, po którym to czasie z

pewnością zmieni swoje poglądy obszarnika i generała,  
powiedział:

- Dziękuję panom, nie wiedziałem, że będą tak długo żyli.

Czas mijał. Zaczął się rok 1941. W styczniu i w lutym znów byłem na przesłuchaniach, które nie wniosły nic nowego do śledztwa i na początku marca Jurczenko dał mi do podpisania protokołów o zakończeniu dochodzenia, naszpikowany paragrafami, których nie powstydziliby się sam Sawinkow. Potem dwukrotnie jeszcze wywoływano mnie z celi na korytarz więzienny i podpisywałem kolejno zawiadomienie, że miejscowy prokurator sprawę przekazał swemu zwierzchnikowi do Tarnopola, a ten koledze ze stanisławowskiej prokuratury wojskowej. Szparagi już nie było, został stracony. Tonia Oprzański też już nie miał towarzystwa. Śledztwo w sprawie organizacji Krawcia postępowało błyskawicznie, w marcu wprost z sali sądowej większość oskarżonych udała się na wieczny odpoczynek. A zza krat do naszej celi przedzierała się wiosna i słońce.

Pewnej kwietniowej nocy korytarzowy otworzył drzwi i wepchnął do celi Iysawego człowieka w bryczesach i cywilnej marynarce. Przybyły usiadł na skrawku wolnego miejsca przy ścianie i zasnął. Następnego dnia rano został wyprowadzony i nie było go trzy dni. Wrócił blady i milczący. Po paru dniach podszedł do mnie pierwszy.

- Dawno pan tutaj?

- Parę miesięcy...

- Za co?

- Trzymają mnie. A czego chcą od pana?

- Bzdura. Przed wojną byłem oficerem kawalerii, teraz handlowałem końmi. Przypadkiem zrobili obłaj we wsi, gdzie kupowałem konie, no i jestem tu.

- To nie ma się pan czym martwić. Nie jest pan tu sam. W celu jest kilku spekulantów. Mąka, mięso... ale pana przez te konie mogą zaliczyć do politycznych.

- Dlaczego?

- Kawalerzysta i konie, to może się im wydać podejrzane.

Nie wyglądał na spekulanta i trudno było się dziwić zawodowcom z NKWD, że nie chcieli mu uwierzyć. Po następnym pobycie w areszcie śledczym wrócił bardzo przygnębiony.

- Jak stąd zwać?

Nie byłem zdziwiony, każdy więzień myśli o ucieczce.

- Nie wiem, ale te konie, którymi pan handlował...

Nie dał mi dokończyć.

- Panie - powiedział - my jedziemy na jednym wózku. Jak pan myśli, zdążą nas stąd wywieźć?

Wyczułem, że Kańczuga, bo tak się przedstawił przy pierwszej rozmowie, coś wie. Coś bardzo ważnego, ale nie domyślałem się o co mu chodzi.

- Jak to, czy zdążą? Co jakiś czas wywożą... A dlaczego mieliby nie zdążyć.

Kańczuga nachylił się do mnie i powiedział ściszym głosem to, co bardzo chciałby usłyszeć od niego jego śledczy.



- W czerwcu rozpocznie się wojna. Na Krzemieńcu kończy się linia kolejowa. Stąd komunikacja kolejowa na wschód jest możliwa tylko przez Dołbunów albo Krasne. Więc co pan myśli?

Z wrażenia oniemiałem.

- Jak pan uważa, zdążą? - Kańczuga ponowił pytanie. Gdzieś poza murami więzienia miał na pewno lepszych konsultantów, tutaj z ich braku podzielił się swoimi wątpliwościami ze mną.

- Cholera wie. Pewno zdążą, Niemcy do Krzemieńca mają ze dwieście kilometrów.

- To nie tak dużo jak się wydaje. Mogą nie zdążyć. To co pan usłyszał niech pan zachowa wyłącznie dla siebie. Nie muszę panu tłumaczyć dlaczego.

Jeszcze nic się nie stało. Kańczuga mógł się okazać blagierem, ale ja ponownie w wyobraźni poczułem się żołnierzem w mundurze, z bronią i w dupie miałem wszystkie swoje paragrafy i cały ten burdel, w którym tkwiłem.

- Mówi pan, że w czerwcu? To już nie długo.

- Tak, w czerwcu, nie później. Dla mnie może być za późno, dla pana też.

Kim był naprawdę Kańczuga nigdy się nie dowiedziałem. Swoją tajemnicę zabrał do grobu. Najprawdopodobniej był oficerem kawalerii i polskiego wywiadu, ale za czyje pieniądze kupował konie po wsiach ukraińskich w przeddzień wybuchu wojny, po co to robił, wiedział on sam. Na pewno nie nazywał się Kańczuga. Odszedł tak jak przyszedł, cicho i bezimiennie. Którejś majowej nocy wyprowadzono go z celi

i więcej go nie widziałem.

Dzień dwudziesty drugi czerwca rozpoczął się jak każdy inny gwizdkami korytarzowych o czwartej trzydzieści rano. Kiedy o piątej wracaliśmy z latryny przez dziedziniec więzienny niebo było czyste, słońce już na dobre wyrzało zza gór, było pogodnie i bezwietrznie, tylko gdzieś z daleka narastał i zanikał słaby, falujący pomruk dużej formacji ciężkich samolotów. W okolicy Rosjanie zbudowali szkolne lotnisko i hałas samolotów nad więzieniem nie był niczym godnym uwagi, ale ten był przeciągły, i jakiś inny. Mógł oznaczać zmasowane ćwiczenia albo wojnę.

Tonia Oprzański, którego swoimi opowiadaniem o polskich Karasiach, Kosiach, Żubrach, Jastrzębiach i Wilkach utwierdziłem w mylnym przekonaniu, że znam się na lotnictwie, przysiadł się do mnie zaraz po powrocie do celi.

- Co to było?

- Nie wiem, ale gdzieś coś leciało i było tego dużo.

- Myślisz, że to były bombowce?

- Chyba tak.

- Czyje?

- Tego ci nie powiem, wiem tyle co ty...

Tonia zawiedziony rozmową podszedł do grupy kilku niedawno przybyłych do celi Ukraińców, którzy mieli jakąś poważną sprawę, byli często wywoływani na przesłuchania i nie kryli się z tym, że jak przyjdą Niemcy, to oni zrobią porządek z Polakami i z Żydami. Jednemu z nich o nazwisku Hryciuk naraziłem się paskudnie. W czasie rozmowy, kiedy

Hryciuk przeciwstawił złych i podstępnych Polaków szczerze przyjaznym i oddanym Ukrainie Niemcom, nazwałem go wsiowym jełopem i napomknąłem o widłach i gnoju jako granicy jego możliwości życiowych. Hryciuk wściekł się i zaprzysięgł mi zemstę. Jaka, z tym się nie zdradził, ale nie chodziło tutaj tylko o wybicie paru zębów. Hryciuk zajmował się polityką i miał do tego kwalifikacje. W przeciwieństwie do wielu swoich kolegów, też polityków, był piśmienny.

Podczas porannego mycia rozległ się warkot samolotów i zaraz potem zaterkotały serie karabinów maszynowych.

- Co to było? - Tonia nie krył swojego podniecenia.

Jako domniemany znawca lotnictwa tym razem byłem na pewnym gruncie.

- Myśliwce, ostrzelały z broni pokładowej lotnisko.

- Niemieckie myśliwce?

- Chyba tak.

- Dlaczego chyba?

- Bo widzisz - powiedziałem - jeżeli wcześniejszy przelot należał do ćwiczeń Rosjan, to myśliwce mogły brać w nich udział i ostrzelać sztuczne cele koło lotniska. Ale to mało prawdopodobne.

A więc wojna?

- Na to wygląda...

Tego dnia kawę i chleb przynieśli później niż zwykle. Strażnicy w korytarzu byli uzbrojeni. I to był koniec wątpliwości. W południe jakiś cywil przy otwartych drzwiach, w których stał uzbrojony strażnik wymierzył okno celi i przed wieczorem przyniósł gotową zasłonę.

Pierwszy raz od czasu aresztowania poczułem się samotny. Z Jurkiem, Olkiem i Januszem nie widziałem się od chwili wspólnego przejazdu z aresztu śledczego do więzienia, czyli od listopada. Byłem teraz najstarszym stażem więźniem w celi. Kolejne transporty pozbawiły mnie towarzystwa tych, z którymi zdążyłem się zaprzyjaźnić. Zostałem sam. W celi było kilku Polaków, ale nie miałem ochoty na rozmowy z nimi. Tej nocy nie spałem. Nie dlatego, że uszczelnione blindą okno nie przepuszczało powietrza i nie z powodu, że raziło mnie światło wiszącej pod sufitem zapalanej żarówki. Czekałem na tę wojnę i zawsze wiedziałem po czyjej stronie wezmę w niej udział, ale teraz najzwyczajniej bałem się, czy zdążę kiedykolwiek za życia włożyć mundur.

Na początku czerwca zostałem poinformowany, że moja sprawa przekazano do rozpatrzenia przez Specjalny Trybunał Wojskowy Okręgu Kijowskiego. Nie była to dobra wiadomość. Ten sąd nawet w czasie pokoju nie wydawał wyroków mniejszych niż dwucyfrowe, a w czasie wojny niezmiennie wpisywał sędzonych na listę przyjęć do Świętego Piotra. Czułem się tak, jak bym już był odnotowany na tej liście

jako chwilowo nieobecny.

Drugi dzień wojny upłynął spokojnie. Śniadanie, obiad i kolację dostaliśmy o czasie, blinde na oknie kazali nam rano zdjąć, a wieczorem założyć. W powietrzu była cisza, nie licząc przelotu paru myśliwców w kierunku frontu, tym razem pewnie radzieckich. Co ja bym wtedy dał, żeby siedzieć za sterami jednego z tych myśliwców. Ale do rzeczy. Noc miała być zła. Pierwszy raz zgrzytnęli kluczem przed północą. Było ich trzech. Znany mi strażnik i dwaj obcy.

- Na literę "B".

- Brodziński Wiesław Antonowicz - zgłosiłem się pierwszy.

- Kto jeszcze?

Odetchnąłem, ale serce ze strachu wyrwało mi się z piersi.

- Bobryk Stiepan, syn kogoś tam...

- Wychaditje!

Zapamiętałem tego Bobryka. Nie wzięli go przecież za mnie, ale zapamiętałem. Zabrali trzech. Inne cele też były otwierane. Nad ranem przyszli po Hryciuka. Trafika do nieba nabierała rozpędu.

Następny dzień dwudziesty czwarty czerwca też zaczął się spokojnie. Ale był to spokój pozorny. Napięcie rosło.

- Po co wzięli tych w nocy - Tonia, który był mi teraz najbliższy w celi, miał przekrwione z bezsenności oczy - jak myślisz?

- To jakaś niedobra sprawa - powiedziałem bez

przekonania, że mówię do końca to, co naprawdę myślę.

- Może ich wzięli na wywózkę?

- Mała szansa, bardzo mała. <sup>A</sup>Ma teraz inne kłopoty.

Zresztą, czy ja wiem - pocieszyłem sam siebie - może na wywózkę...

Wieczorem, kiedy nadszedł czas spania i cela uciszyła się, przez okno coraz wyraźniej zaczęły dochodzić odgłosy frontu. Tak, to był front, strzelała artyleria. Daleko, bo daleko, ale zarazem niewiarygodnie blisko jak na trzeci dzień wojny.

Niemcom szło dobrze. Nie zmrzyłem oka. Niepotrzebnie. Dwa razy drzwi naszej celi były otwierane i dwa razy nie chodziło o nikogo z nazwiskiem zaczynającym się na literę "B".

Dwudziesty piąty czerwca przybliżył front na tyle, że walki rozgorzały w bezpośrednim sąsiedztwie naszego więzienia. Niemcy zdobywali teren i w grzmot artylerii wdarł się teraz terkot karabinów maszynowych. Pod wieczór wojna ucichła i do rana nic się nie wydarzyło.

Dwudziesty szósty czerwca do dziś pamiętam z taką wyrazistością, jakby działo się to wczoraj. Zaraz po wschodzie słońca rozpoczęła się kanonada. Niemcy atakują od zachodu, od równiny. Pozycje rosyjskiej artylerii mamy za sobą na wzgórzach. Wąwóz, w którym rozprzestrzenia się miasto, jest jakby brama wjazdową z Wołynia na Podole. Więzienie stoi u wlotu do wąwozu na przedpolu wzgórz. Niemcy próbują wstrzelać się w stanowiska Rosjan ogniem swoich dział. W środku wybuchów, od których ziemia gotuje

się jak kasza w garnku, jesteśmy my, zamknięci w celi numer 14. Z blindą w oknie. Spudłowane pociski Niemców i Rosjan rwą się po uprzednim wibrującym świcie w pobliżu. Sypie się tynk z sufitu. Gaśnie żarówka oświetlająca cele. Widocznie Niemcy rąbneli w elektrownię. Robi się ciemno jak w grobowcu. Tego już za wiele. Ktoś nie wytrzymał i zerwał blinde. Do celi wdziera się dzień. Ktoś inny wspiął się na okno, żeby zobaczyć co dzieje się na zewnątrz. Przekrzykuje kanonadę:

- Czołgi z krzyżami paraset metrów od nas, niektóre pala się!

Atak trwa i wzmagą się. Naokoło idą w ruch karabiny maszynowe, a ogień rosyjskich baterii zaczyna zlewać się w jeden nie mający końca grzmot. Nasze więzienie, mimo murów bez mała metrowej grubości, chwieje się w posadach. Bitwa osiąga swój szczyt i zaczyna słabnąć. Nawała artyleryjska ustępuje miejsca pojedynczym salwom i nieregularnym strzałom z dział mniejszego kalibru. Chwile ciszy wypełnia teraz warkot motorów i chrzest gasienic. Dochodziło południe, kiedy zapanował względny spokój, przerywany seriami broni maszynowej i pukaniem z karabinów. Front odszedł, ale nie wiedzieliśmy czy na zachód, czy na wschód i nie mieliśmy pojęcia, kto jest w mieście - Niemcy czy Rosjanie. Siedzieliśmy pod ścianami celi pokryci wapiennym pyłem, ale żywi i cali. Więzienia mają to do siebie, że w czasie wojen rzadko kiedy ulegają zniszczeniu. Pewno dlatego, że przydają się wszystkim władzom. Nasze chyba też nie bardzo ucierpiało.

Zbliżała się pora obiadu, a my nie dostaliśmy jeszcze śniadania. Korytarz więzienny wydawał się martwy.

Trwaliśmy w pełnym napięcia wyczekiwaniu, choć sami przed sobą baliśmy się przyznać, na co.

- Ratujcie się, NKWD uciekło!

Ten głos zza muru więziennego poderwał nas na nogi. Tonia nakazał wszystkim ciszę, sam podszedł do drzwi, przyłożył ucho, przymknął oczy i cały zamieniła się w słuch. Nic nie usłyszał.

- Tam chyba nikogo nie ma - powiedział.

Cela napełniła się gwarem głosów. Ktoś starał się przekonywać, że to prowokacja i że wystrzelają nas zaraz na korytarzu. Instynkt podpowiada mi, że to nie jest prowokacja, że teraz albo nigdy. Nikt mnie nie musi zachęcać do tego, żebym stąd uciekał, ale jak to zrobić? Grube, dębowe drzwi celi, okute żelazem, są bardzo solidne, korytarz od dziedzińca przedziela masywna na dwa palce krata, zaopatrzona w średniowiecznej wielkości zamek, pozostaje jeszcze pięciometrowej wysokości mur i dalej ogród więzienny z zasiekami z drutu kolczastego. Dopiero po sforsowaniu tego wszystkiego czeka wolność. Nawet amerykański film "Zbieg z Jawy", który obejrzałem przed wojną za pięćdziesiąt groszy nie przewidywał takich trudności dla głównego bohatera.

- Jak myślisz, kto jest w mieście, Niemcy? - pyta Tonia.

Ukraińcy, których w celi jest najwięcej, widzą w nim swojego przywódcę i czekają na to co powie, a <sup>on</sup> zwrócił się



do mnie, niczym jeden baran do drugiego barana, po poradę, jak przepędzić wilka, który pustoszy stado.

- Nie wiem...

O dalszym rozwoju wypadków zadecydowała złodziejska cela numer 16. Oni tam nie bawili się w dyskusje i w jednej chwili więzienie napełniło się hukami taranowanych drzwi ich celi. Teraz wszystko stało się jasne, wywalić drzwi... Było czym, ciężka drewniana skrzynia służąca do przechowywania więziennej zastawy stołowej, czyli naszych glinianych misek, miała się teraz albo rozlecieć, albo otworzyć nam drogę na korytarz. Wzięliśmy skrzynię na ramiona i w drzwi. Sypie się z sufitu nadwyreżony przez artylerię tynk. Po którymś uderzeniu drzwi drgnęły, po którymś następnym wyleciały na korytarz razem ze skrzynią i tymi, co mieli ją na barkach. Teraz dalej, do krat i na dziedziniec. Na korytarzu tłok. Kilka cel już się uwolniło. Są też tacy, którzy rozbijają drzwi celi kobiecej od zewnątrz. Ruszam przed siebie. Już jest krata. Ale co to? Stoi pod ścianą wyjęta z zawiasów. A taka była na pozór nie do pokonania. Aż śmiech bierze. Strzały, za murem, czy gdzieś bliżej. Droga na dziedziniec stoi otworem. Pierwszy wypada Cziczko, bandyta, który wyłgał się od śmierci i dostał piętnaście lat; jak widać wyraźnie nie ma ochoty ich odsiedzieć. Biegnę za nim. Cziczko zmierza do rusztowań budowanej w narożniku dziedzińca nowej więziennej łaźni. Od rusztowań do muru jest niedaleko, na długość deski, którą razem przerzucamy. Cziczko przez chwilę balansuje po desce jak cyrkowiec i

zaraz znika po drugiej stronie muru. Idę jak w transie jego śladem. Przede mną przepaść, ale świat kul nie daje czasu do namysłu czy pięć metrów to wysoko, czy nisko, lecę w dół na jakieś krzaki. Wstaję. Wiem, że skaleczyłem sobie o krzaki rękę. Teraz druty, trochę na prawo przeorane przez artylerię. Nura w tę dziurę i do następnych krzaków. Niedaleko stąd mieszka Irka, moja koleżanka ze szkoły. Muszę zboczyć na prawo do drogi, przy której mieszka. Tam dowiem się; kto jest w mieście - Rosjanie czy Niemcy. Pochylony przekradam się między krzakami, jeszcze parę metrów i... już wiem, kto jest w mieście...

- A ty kuda?

- Stoi przede mną żołnierz z czerwoną gwiazdą i karabinem skierowanym w moją stronę, jest nie mniej ode mnie zdziwiony tym spotkaniem.

- Do domu. - mówię ni w pięć, ni w dziesięć.

- A skąd?

- Z więzienia. - kłamstwo na nic by się zdało. Byłem ostrzyżony na zero a cerę miałem błądą jak na czerwiec.

- Uciekłeś?

- Uciekłem.

- Długo siedziałeś?

- Kilka miesięcy.

- To długo nie byłeś w domu - mówi niby to ze współczuciem, ale cholera wie, co myśli.

- Od jesieni - spieszę się z podtrzymaniem rozmowy, bo wydaje mi się, że cisza działa na moją niekorzyść. On

zastanawia się na czymś, waha przez chwilę i zarzuca karabin na ramię.

- No dobrze, mnie nic do tego, idź w swoją stronę.

Nie musi mi tego powtarzać. Miałem szczęście, ale teraz zwalням tempo ucieczki w obawie, że natknę się na jakiegoś komsomolca, który pociągnie za cyngiel. Posuwam się dalej skokami, od krzaka do krzaka. Przystaje, rozglądam się... drogą, na którą wychodzę pojedynczo i grupami rwie potok więźniów. Obok drogi stoją i biwakuja żołnierze, których to nie obchodzi. Cały ten tłum uwolnił Cziczko. On nie uciekał przed siebie, tak jak ja. Pobiegł pod bramę więzienia i kowalskim młotem, który gdzieś znalazł rozwalił przeszkodę. Słabe protesty żołnierzy były bez dyplomacji: "poszli k czertowej matieri, ja uwalniam swoich towarzyszy".

Przed domem Irki stoją dwie, znajome panie, matki moich przyjaciół. Wyświeżone i opalone, w kolorowych letnich sukienkach, przespacerowały się z drugiego końca miasta pod więzienie, zupełnie, jakby nie było wojny i frontu o kilometr dalej.

- Gdzie są chłopcy? - dopytują się.

Rozpalony ucieczką, patrzę na nie z niedowierzaniem. Ich przyście pod więzienie jest czymś nie tylko nieoczekiwanym, ale wręcz niedorzecznym, nie jesteśmy przecież dziećmi, które z freblówki trzeba odprowadzić do domu.

- Są, nie widziałem się z nimi od listopada, ale na pewno są, zaraz powinni nadejść...

Z góry rąbneła salwa artyleryjska z tym jedynie skutkiem, że jedna z pań zaczęła pudrować sobie nos. Poczujęm się w tym towarzystwie jakoś głupio, a moja ucieczka z więzienia, w której przedtem widziałem siebie jako bohatera, wydała mi się śmieszna i nieważna.

Kilka grup więźniów przeszło. Nasze oczekiwanie przedłużało się.

- My podejźmy bliżej bramy, a ty na nas tutaj poczekaj, nie odchodź nigdzie sam - powiedziała matka Jurka i obie ruszyły pod więzienie, odprowadzane zdziwionymi spojrzeniami więźniów idących w przeciwnym kierunku. Zostałem sam, do reszty ogłupiały. W tym wszystkim było coś, co mi się nie podobało i pewno poszedłbym przed siebie, gdyby nie nadszedł Lubodziecki, mój kolega ze szkoły. Nie wiedziałem, że też siedział.

- Gdzie się tak spieszysz? - zapytałem.

- Cholera jasna, co ty tutaj robisz?

- Zostań ze mną, pójdziemy razem, czekam na resztę swoich.

O damskiej eskorcie nie wspomniałem, bo pewnie by uciekł.

Lubodziecki należał do jakiegoś odgałęzienia organizacji Targońskiego.

- Idiotyczne miejsce wybrałeś na czekanie. Tu niezbyt bezpiecznie, lepiej chodźmy stąd.

- Masz rację - zgodziłem się, ale właśnie nadeszli moi współnicy w towarzystwie rozpromienionych rodzicielek.

- Cześć...cześć...

Uścisnęliśmy się. Mamy patrzyły na nas rozczulone.

- Oleczku, źle wyglądasz, jesteś bardzo wymizerowany. Jurek <sup>A</sup>wgląda lepiej, Wiesław, gdzie tak podrapałeś sobie rękę?..

Lubodziecki niecierpliwił się. Janusz robił wrażenie charta trzymanego na smyczy, który zobaczył zajaca.

- To nie jest miejsce na spotkania rodzinne. Idziemy - powiedział. Mamy nie dały odebrać sobie przywództwa.

- Janusz, jaki ty jesteś niecierpliwy. Ty w ogóle nie wiesz, co się dzieje w mieście. Gdzie chcesz iść? Posłuchajcie, chłopcy...

Daliśmy się przekonać, że najbezpieczniejsza droga wypada nam przez miasto, bo nie mamy dokumentów, a złapanych bez dokumentów w górach wojsko z miejsca stawia pod najbliższe drzewo, bez sprawdzania, czy zatrzymany jest, czy nie jest niemieckim szpiegiem. To samo wojsko w mieście nie zwraca uwagi na cywilnych przechodniów, nawet o podejrzanym wyglądzie, czyli takich jak my, ostrzyżonych, bladych i na odległość tracących więzieniem.

Poszliśmy szykiem przypominającym marsz ubezpieczony piechoty. W szpicy Lubodziecki, Jurek i ja, za nami w odległości pięćdziesięciu kroków Olek ze swoją matką, rozciągnięty pochód zamykał Janusz ze swoją. Było słoneczne popołudnie. W przylegających do ulicy ogrodach biwakowały luźne grupy żołnierzy poobwieszanych różnym uzbrojeniem. Po bruku jezdni z warkotem motorów i chrzęstem gąsienic mknęły tankietki, samochody pancerne i ambulanse. Jedni wycofywali się na wschód, inni podążali w

kierunku frontu, teraz wyciszonego do rozlegających się co jakiś czas pohukiwań radzieckich baterii. Było nam wesoło, bo żyliśmy, byliśmy wolni, a także, bo wojna potoczyła się po naszej myśli, mieliśmy teraz o jednego wroga mniej. Może jeszcze nie przyjaciela, ale już nie wroga. Mijani żołnierze, którzy domyślali się kim jesteśmy, uśmiechali się do nas, zdając się to potwierdzać. Sielanka trwała.

Dochodziliśmy do miejsca, gdzie zaczynała się zwarta zabudowa i właściwe miasto. Po naszej lewej stronie w odległości kilkudziesięciu kroków stała na niewysokiej skarpie, cofnięta od ulicy mała, otoczona zielenią unicka cerkiewka. Z chodnika prowadził do niej podest z kamiennych schodków ogrodzonych od ulicy murem. Można było obejść cerkiewkę jezdnią, albo przejść schodkami przez podest. Zajęci rozmową nie zauważyliśmy osobowego ZIMa, który jadąc od miasta w naszym kierunku zatrzymał się przed cerkiewką. Upojenie wolnością otumaniło nas do reszty, bo nikt z nas nie spostrzegł umundurowanego pasażera, który wyskoczył z samochodu do ogrodu. Niczego nie podejrzewając, weszliśmy po schodkach. Mieliśmy po prawej stronie mur, po lewej cerkiewkę. I naraz usłyszeliśmy ni to głos, ni to syk.

- Pod stienku, sukinsyny!

We wrotach cerkiewki stał nie żaden pop, tylko major NKWD Kowalenko. W ułamku sekundy zakołatało mi serce i wszystkie nerwy rozdzwoniły się na alarm. Kowalenko stał z naganem w rękę i niedobrym uśmiechem przyklejonym do twarzy. Miał dobrze w czubie, ale jego oczy patrzyły na

nas śmiertelnie trzeźwo. Koło niego stali z bronią gotowa do strzału dwaj żołnierze. Kowalenko skoczył w ogród i wypadł na ulicę między Olka i Janusza.

- Miakutin, stoj! - już nie syknął, ale wrzasnął.

- Olek, uciekaj! - krzyknęła matka.

Olek rzucił się w ogród. Kowalenko strzelił, zostawił Olka i pobiegł za Januszem. W biegu wygarniał bęben nagana. Janusz rwał przed siebie zygzakiem, skreślił w prawo i znikł w krzakach, Kowalenko, kończąc amunicję, pobiegł za nim.

Ochłonąłem z pierwszego wrażenia i zachciało mi się pertraktacji.

- Puśćcie nas, my jesteśmy takimi samymi wrogami Niemców jak wy.

- Nie szumi, sukinsyn, a to pierwowo rozstrielajem.

Znacznie później zrozumiałem, że właśnie wtedy popełniłem błąd, nazywając Niemców Niemcami. Dla nas to byli Niemcy, albo Szwaby, albo Szkopy, tak jak dla Francuzów bosze, lub dla Anglików gerries. Dla Rosjan ci, co nich napadli, to nie byli Niemcy, lecz faszyci.

Staliśmy pod murkiem pilnowani przez żołnierzy, bez możliwości zamienienia słowa. Doprowadzili Olka, który, skacząc w ogród, nadział się bez mała na sztychy żołnierzy postawionych w stan pogotowia przez Kowalenkę. Był blady i roztrzęsiony.

Kowalenko wrócił. Stał na chodniku pod schodkami i trzymając nagan skierowany w naszą stronę rozkazał:

- Tiepier schaditie po odnomu.

A więc koniec... krótkie było nasze życie. Spojrzałem kątem oka w prawo na Jurka. Miał twarz koloru popiołu. Lubodzieckiemu trzęsła się zapuszczona w więzieniu broda. Żołnierze patrzyli na nas jak na żywe trupy. Olek stojący po mojej lewej stronie był pierwszy. Ociągał się ze schodzeniem.

- A ja wam czto skazał, schaditie, sukinsyny!!!

Olek trącił mnie ręką. Był to gest pożegnania. Odwrócił się i zaczął schodzić. Przymrużyłem oczy i czekałem na huk wystrzału, który miał nastąpić. Kowalenko nie strzelił, tylko wrzasnął.

- Dawajcie, dawajcie, sledujuszczyj!

Z niewidzącymi oczami i szumem w głowie, nie wiem jak znalazłem się koło Olka na ulicy. Trącił mnie ręką, tym razem na przywitanie, że żyjemy i że nie jest jeszcze najgorzej. Zdobyłem się na niewyraźny uśmiech. Panie przez cały czas stały kilkanaście kroków od miejsca naszej niedosłej egzekucji blade jak papier. Kowalenko kazał im odejść. Poszły. Przystawały, oglądały się, wycierały zapłakane oczy i szły dalej. Od strony miasta zbliżała się do nas kolumna kilkudziesięciu więźniów zatrzymanych już w mieście, prowadzona przez nieznanego nam kapitana NKWD, w eskorcie rozpoznaliśmy kilku strażników z naszego więzienia. A więc wrócili. Rano zwiali, a teraz byli z powrotem. Kowalenko włączył nas do kolumny, wymienił parę uwag z prowadzącym konwój kapitanem, wsiadł do swojego ZlMa i odjechał w kierunku frontu. Po ostrzeżeniu, czym grozi szag w lewo i szag w prawo, na znak dany przez



kapitana ruszyliśmy na zachód. Teraz można było ukradkiem porozmawiać. Pierwszy odezwał się Olek.

- Ale z nas dupy, dać się tak złapać.

- Ty lepiej powiedz, gdzie nas prowadzą - Jurek odżył już po spektaklu, jaki urządził nam Kowalenko pod cerkiewką.

- Cholera wie, pewno do więzienia, bo gdzie mieliby nas prowadzić.

- Ale Januszowi udało się zwać - wtrąciłem z przekonaniem, że tak rzeczywiście było. W odpowiedzi usłyszałem.

- Zwiął.

- Zwiął.

Było około czwartej po południu, czerwcowe słońce stało jeszcze wysoko, zbierały się chmury. Przyfrontowy ruch zmaliał. Szliśmy prawie pustą ulicą. Nieliczni przechodnie odwracali od nas głowy, nie chcieli na nas patrzeć, nie wiedzieliśmy, czy ze strachu o nas, czy z lęku o siebie.

Więzienie było już niedaleko, kiedy od strony frontu pojechał do nas na motocyklu z przyczepą wyższy oficer. Z obandażowaną głową i ręką, w polowym, oblepionym błotem i podartym mundurze, z dwoma granatami za pasem, lornetką, skórzanym mapnikiem i obciągającą pas ciężką kaburą. Wyglądał cholernie bojowo. Ten facet szczerze mi się spodobał. Ale na bardzo krótko. Zatrzymał motor, wysiadł i podszedł do dowodzącego eskortą kapitana.

- Co to za ludzie? - zapytał donośnym głosem nawykłym

do wydawania rozkazów.

- Więźniowie, rozbili więzienie. Nasz kapitan ściszył głos i powiedział jeszcze coś, czego nie dosłyszeliśmy.

- Dawajcie ich wsiech pod stienku... ryknął nieznajomy, wyjął broń z kabury i podbiegł do nas - wot, kak z nimi nužno.

Kapitan był szybszy, podbił mu rękę i strzał zamiast w Lubodzieckiego poszedł w powietrze.

- Stoj! Ty czto! Ja zdies komanduju! Nie tiebie ich strielat.

Nieznajomy splunął z obrzydzeniem, schował broń, wsiadł na swój motor i odjechał. Odetchnęliśmy z ulgą, tego dnia po raz drugi.

Niedługo po tym niemiłym spotkaniu zostaliśmy wprowadzeni przez rozwaloną bramę na dziedziniec więzienny.

- Dawajcie wsie pod stienku...

Co było robić. Ustawiliśmy się pod murem. Naprzeciw siebie mieliśmy wartowników z automatami, którzy odgradzali nas od budynku więzienia. Staliśmy w milczeniu, oczekując na moment, kiedy wartownicy skierują broń na nas i nacisną spusty.

Słońce już zaszło, zapadał zmierzch, kiedy Kowalenko zjawił się w towarzystwie dwóch oficerów NKWD. Coś się teraz miało stać. Mogło to być coś bardzo złego. Kowalenko wszedł do budynku więzienia, nie było go kilkanaście minut, wydał towarzyszącym mu oficerom jakieś instrukcje i ulotnił się. Jeden z oficerów zbliżył się do nas, odliczył

dwudziestu więźniów, przywołał wartowników i kazał im ich zabrać. Z niepokojem patrzyliśmy, gdzie pójda. Tych dwudziestu odprowadzono do więzienia. W grupie następnych czterdziestu byliśmy i my wszyscy. Zaprowadzili nas do celi numer 16. Odetchnęliśmy z ulgą tego dnia po raz trzeci. Sciemniało się. To miała być bardzo zła noc, jedna z tych, które pamięta się przez całe życie.

Siedzieliśmy w ciemnościach rozświetlanych ognikami papierosów. Przez szpary w rozbitych drzwiach celi przeświecało z korytarza światło lamp naftowych. Drzwi wystarczyłoby pchnąć, żeby się otworzyły, ale co z tego. Za drzwiami stali dwaj wartownicy uzbrojeni w automaty. Od wielu godzin zbierało się na burzę. Front zamilkł zupełnie. Z pierwszymi błyskawicami spadł deszcz, który zamienił się w tropikalną ulewę i wkrótce rozszalała się burza. Niebo jakby się wściekło. Błyskawice, jak jeden wielki, groźny fajerwerk i nieustający grzmot piorunów. Takiej burzy nie przeżyłem nigdy wcześniej i nigdy później. Zresztą może i przeżyłem, ale ta jedna utkwiała mi w pamięci.

Paliliśmy papierosy jeden po drugim. Olek miał ich dużo. Nazywały się Krasnyj Prapor. Po północy wrócił pies. Tak, właśnie pies, nasz więzienny. Biegał za oknem na uwięzi, hałasował swoją uprzężą i poszczekiwał, jakby chciał nas powiadomić, że on już jest i wszystko wróciło na dawne koleje.

- Niech to cholera, pies wrócił - powiedział Olek - to oznacza, że wróciło też NKWD. Niedobrze...

Rzeczywiście było niedobrze. Tej nocy wdarł się w naszą świadomość na dobre tępy strach przed śmiercią, tym gorszy, że jątrzony poczuciem straconej szansy na ucieczkę, której stawką było życie. W samotności każdy z nas najpewniej by się rozkleił, ale byliśmy razem i wstyd,

silniejszy od strachu, nie pozwalał nam na okazywanie wobec siebie słabości. Zamiast płakać nad swoim parszywym losem, graliśmy przed sobą komedię, w której każdy starał się dla siebie o główną rolę. Ale nie było przed kim się zgrywać. Za widownię mieliśmy przerażonych nie mniej od nas Ukraińców, którzy zachowywali się poważnie. Modlili się i przebierali w czyste gacie i koszule. Żegnali się; "Na smert idem". Tymi przygotowaniami zmienili naszą celę, w kaplicę cmentarną, w której żywi układali się sami do snu wiecznego w myśl przysłówia - jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz - starali się zadbać o komfort na tamtym świecie.

- Do świtu już niedaleko - odezwał się Olek głosem zachrypniętym po wypalonych papierosach, których na codzień nie palił.

Okno naszej celi wychodziło na zachód. Tak więc nie zobaczymy wschodu słońca. Ale czy tylko dlatego go nie zobaczymy? Wiemy, że egzekucje odbywają się na ogół przed wschodem słońca. Jak będzie z nami? Czy wstawią maszynkę do celi i wytluką nas na miejscu, czy znajdą jakiś las, wawóz?.. Gdyby nas gdzieś wieźli, może nadarzyłaby się okazja do ucieczki... Chcieliśmy żyć. Szczególnie teraz, kiedy po wybuchu nowej wojny błysnęła iskierka nadziei na odzyskanie wolności przez nasz kraj. Byliśmy pewni, że tym razem szwaby połamią sobie zęby i chcieliśmy mieć w tym swój, choćby znikomy udział. Tymczasem ... zbliżał się świt.

- Może mamy jednak jakąś szansę - powiedziałem, żeby

naruszyć ciszę, która stawała się nie do zniesienia.

- Jakaś, to znaczy jaka? - Olek zawsze był bardzo rzeczowy. - Nie dałbym za twoją skórę pięciu groszy, za swoją zresztą też. Jeżeli Niemcy zaatakują teraz miasto, żywi stąd nie wyjdziemy. Cuda nie chodzą parami. Zaprzepaściliśmy szansę, która się nie powtórzy.

- A jeżeli nie zaatakują?

- To co myślisz, że Kowalenko wsadzi nas do swojego ZIMa i odwiezie do domu? Albo że nas po prostu wypuści ot tak? Nie ładź się, on wymyśli coś innego, a co, to ty sam wiesz.

Wiedziałem. Całą noc nie rozmawialiśmy o niczym innym, jak tylko o tym, że jesteśmy skończonymi idiotami, skończonymi dosłownie.

Za oknem wstawał dzień. Front nie dawał o sobie znać, na korytarzu więziennym była cisza. Szpary w drzwiach celi, wypełnione w nocy światłem lamp naftowych, powoli stawały się niewidoczne. Jurek drzemał albo udawał, że drzemie. Olek potrząsnął nim.

- Nie śpij, bo się roześpisz, w każdej chwili mogą po nas przyjść, trzymaj się.

Trzymaliśmy się jak dotąd, ale każdy z nas miał już szczerą ochotę wysiąść z tej huśtawki między ziemią a niebem i stanąć pewną nogą tu lub tam.

Po nocnej burzy zapowiadał się piękny dzień. Nasz pies więzienny poszczekiwał za oknem celi, wyraźnie z czegoś zadowolony, my, jeśli mogliśmy być z czegoś zadowoleni, to tylko z tego, że doczekaliśmy żywi świtu.

Wreszcie na korytarzu zaczyna się ruch. W drzwiach celi pojawia się dwóch uzbrojonych żołnierzy niosących kocioł. Stawiają go niezd<sup>o</sup>nie, tak że chlup<sup>o</sup>ie przez brzeg. Na podłodze pojawia się kałuża rozlanej kawy. Mówią, że przynieśli śniadanie. Na razie kawę, mówią, że chleb będzie później. Wygląda na to, że Ukraińcy za wcześnie przebrali się w czyste gacie. Pijemy kawę, smakuje jak woda zbląkanym na pustyni. Jest i chleb, jest życie. Co będzie dalej, nie wiemy, ale cieszymy się tym co jest. Front milczy. Wiemy co oznacza cisza, że Rosjanie utrzymują swoje pozycje i że Niemcom nie powiodła się próba wzięcia miasta z marszu. Około południa odwiedził nas sam Kowalenko. Wszedł do celi z nieznanym nam oficerem NKWD, wyświeżony i w dobrym nastroju. Kazał wszystkim ustawić się pod ścianami, sam stanął pośrodku celi, kazał wnieść z korytarza mały stolik i zaczął sporządzać spis obecnych. Tym razem objawił nam się nie jako watażka z naganem, lecz jako buchalter z ołówkiem i kawałkiem papieru. Podliczał, kto mu uciekł i kto został. Odnotował dane kilku więźniów, wreszcie zwrócił się do mnie:

- Familia, imia, otczestwo, po kakoj statje?

- Brodziński Wiesław Antonowicz, po statjam  
 piatdiesiat czetyr<sup>z</sup> dwa, piatdiesiat czetyr<sup>y</sup> wosiem,  
 piatdiesiat czetyr<sup>y</sup> dziewiat, piatdiesiat czetyr<sup>y</sup>  
 desiat...

- Chwatit - roześmiał się Kowalenko - daże ja znaju, czto ty za ptica. Wot czto tiebie skażu - dla tiebia łuczszje było by, jeśli by ty udrał.

Śmiał się jak z dobrego żartu, uznałem, że i tak nie mam zbyt wiele do stracenia, i z odwagą stuprocentowego skazańca odgryziłem się:

- Tak toczno, grażdananin naczałnik, ja z wami, wy wied toże tiepier udirajetie.

W swoim czasie major Kowalenko gnebił mnie na przesłuchaniach stwierdzeniami, że armia polska tak szybko dała tyły i poszła w rozsypkę, ponieważ nie była nic warta, teraz mu to przypomniałem, kiedy armia sowiecka ustępowała pod naporem niemieckim. Kowalence zaświeciły się czarne, kozackie oczy. Zaświeciły się i zgasły. Na twarzy wykwił chytry uśmieszek, który rychło przemienił się w śmiech szeroki jak nadwołżański step.

Ty, Wiesław, o nas się nie martw. My mamy gdzie uciekać!

Roześmiałem się za jego przykładem, cność niezbyt szczerze. Pozostali jeszcze się zastanawiali, czy się śmiać czy nie, kiedy Kowalenko, który tylko na chwilę wypadł z roli majora NKWD, przywrócił porządek.

- Dawaj, sledujuszczij...

Cóż, armia sowiecka była w beładnym odwrocie i tylko dureń mógł próbować temu zaprzeczyć. Z tym miejscem do wiania Kowalenko też nie przesadził. W 1939 roku Rosjanie wydatnie skrócili polskiej armii drogę odwrotu na wschód, a sobie dokłanie o tyle samo kilometrów przedłużyli. Teraz miało to duże znaczenie. Kto wie, na ile ów wrześnieowy handicap zadecydował, że Niemcy nie mieli nigdy dogonić Rosjan na ich ziemi i że wspólną meta dla jednych i



drugich stanie się Berlin. Tak miało się stać, ale na razie...

Kowalence nie zgadzało się. Nie mógł doliczyć się nawet połowy stanu więźniów z poprzedniego dnia. Zastanawialiśmy się co zrobi. Nie był pierwszy po Bogu i miał nad sobą szefów. Mogło być tak, że wczoraj zwiął i wrócił na czyjś rozkaz, ale mogło być również inaczej, że wyprowadził w panice swoje wojsko, kiedy zobaczył niemieckie czołgi kilkaset metrów od więzienia. W pierwszym wypadku nasza sytuacja rokowała mętne bo mętne, ale jednak jakieś nadzieje, w drugim była zdecydowanie zła. Mógł nas zamkniętych zostawić Niemcom, albo, tym razem ze skutkiem ostatecznym, postawić pod ścianą. Kowalenko nie był typem hazardzisty odchodzącym od gry, jeśli ma jeszcze pieniądze w kieszeni. My, to znaczy jego resztówka, mogliśmy liczyć tylko nato, że ktoś wyżej od niego postawiony w Moskwie czy też w Kijowie wycofa go w porę z gry i nakaże rozliczenie się z tego, co jeszcze zostało. I chyba ktoś taki się znalazł, bo po południu do naszej celi przybyło czterech nowych, wziętych przed godziną prosto z ulicy. Przysięgali, że nie wiedzą, dlaczego zostali zatrzymani. Z wyjątkiem jednego, który przed wojną przesiedział trochę za przynależność do KPP, trzej pozostali nie byli nigdy karani i nie wyrządzili żadnej krzywdy ani poprzedniej, ani obecnej władzy. Ci ostatni upierali się, że to wszystko jest jakimś nieporozumieniem i że za chwilę zostaną zwolnieni. Biegali po celi, wszystkich chętnych do rozmowy usiłowali upewnić,

że mają rację. Ten czwarty zachowywał się spokojnie. Bez trudu domyśliliśmy się, że Kowalenko, któremu nie mogli wystarczyć do rozliczenia martwe dusze, urządził sobie małą łapankę w celu zdobycia "żywego towaru". Mogło to przecież zadecydować o jego zawodowej karierze, dlatego też nie miał skrupułów. A jeśli ci tutaj mieli jakieś pretensje, to niesłusznie, Kowalenko ich przecież nie wybrał, oni mu się po prostu trafili, a więc sami byli winni własnego losu. Po co wyleźli z chałup na ulicę? Zachciało im się wypić po sto gram z sąsiadami, no to teraz mają za swoje. Trzeba było czekać na gości u siebie, wtedy to tamci byliby tutaj, a oni przy cyckach swoich bab. Tak z grubsza tłumaczył trzem nie karanym ich własną głupotę diadko Hawryło, człowiek leciwy i doświadczony, który odbył w życiu niejedną odsiadkę za drobne kradzieże, pijaństwo i awanturowanie się, a teraz na stare lata wpadł jako polityczny, bo, patrząc gospodarskim okiem na konia, na którym siedział radziecki kawalerzysta, obraził tego konia stwierdzeniem:

- Towariszcz, na waszego konia wże worony krakajut...

Za ten czyn został posadzony za propagandę antyradziecką. Trzej nie karani uczepili się go jak wszy kozucha. Pod wieczór diadko miał tego dosyć i, żeby się pozbyć ich towarzystwa, powiedział, że się do więzienia przyzwyczajają i że najtrudniej jest przez pierwszych pięć lat. Tym ich spłoszył. Zbili się ciasno w szepczącą grupkę i tak przetrwali noc. Za oknem, podobnie jak ubiegłej nocy pęis szorował kółkiem uprząży po rozpiętym drucie,

odmierzał czas, przebiegając tam i z powrotem swój rewir. Starał się na swój psi sposób zarobić na utrzymanie. Jego wczorajszy powrót, zastanawiający i złowieszczy, przest<sup>ł</sup> nas niepokoić. Skoro Kowalence zależało na powiększeniu stanu więźniów żywymi ludźmi, to chyba nie dlatego, aby sam miał ich uśmiercać przed rozliczeniem. W tym przekonaniu, uspokojeni zasnęliśmy.

Dzień dwudziesty ósmy czerwca zaczął się dla nas od kawy i chleba. Po drugiej stronie krat królowało lato i słońce. Co jakiś czas odżywały się baterie radzieckiej artylerii, pewnie po to, aby przestrzec Szwabów przed dalszym pchaniem się na wschód. Do celi wszedł oficer NKWD, wygolony, bardzo młody i pewny siebie.

- Wszyscy pod ścianę.

Rozpoczął tak samo, jak Kowalenko poprzedniego dnia:

- Familia, imia, otczestwo, po kakoj stati?

Kiedy usłyszał nasze paragrafy zm<sup>ur</sup>zył oczy i kazał nam stanąć osobno. Niezbyt spodobało nam się to wyróżnienie. Spisawszy wszystkich, kazał nam stać dalej tak jak staliśmy i wyszedł. Na ciąg dalszy nie czekaliśmy długo. Drzwi celi coraz to otwierały się:

- Na literę "B".

- Bylica Jerzy...

- Wychaditie!

- Na literę "M".

- Miakutin Aleksander...

- Wychaditie!

- Na literę "B".

- Brodziński Wiesław...

- Wychadicie!

Wyszedłem, nie wiedząc gdzie i co, cela zegnała mnie zastygłym w strachu milczeniem. Ja też się bałem.

- Idi na lewo...

Ten sam niewiele ode mnie starszy oficer, który przed godziną robił spis, prowadził mnie teraz przez dziedziniec do wyjścia. Kiedy przechodziliśmy przez bramę pokazał wartownikowi jakiś papierek, ten zasalutował. Znów rozkaz:

- Nalewo.

- Wyszliśmy poza teren więzienia; coraz mniej podobał mi się ten spacer. To nie był Kowalenko, z którego naganem zdążyłem się już nieco oswoić i który - jakkolwiek by go oceniać - był człowiekiem poważnym w swoim zawodzie, ten mógł do mnie strzelić ot tak sobie i pochwalić się koledze, że zabił zająca, może nie w sezonie, ale co z tego, on, z NKWD mógł sobie na to pozwolić. Doprowadził mnie do obszernej piwnicy, w której zwykle przechowywano więzienne ziemniaki i warzywa, ale która świetnie nadawała się na odosobnione miejsce egzekucji.

- Schodź w dół!

Zszedłem, przygotowany na najgorsze.

- Stań, odwróć się!

Miałem zupełną pustkę w głowie, czułem się, jakby już mnie nie było.

- Kto pierwszy uciekł z więzienia? - warknął.

Więc o to chodziło. Stał ~~ze mną~~ z palcem na spuście i chciał wiedzieć, kto pierwszy uciekł z więzienia, jakby to

było ważne.

- Nie wiem, więzienie było rozbite kiedy ja uciekłem.

Patrzyliśmy na siebie, on mi w oczy, ja w wylot lufy jego rewolweru.

- Jak nie wiesz, to ja ci przypomnę - powiedział. - Ty uciekłeś pierwszy i teraz za to odpowiesz, ale najpierw spisujemy protokół. Wychodź na górę.

Odsunął się, zrobił mi przejście. Paskudna była ta zabawa w kotka i myszkę, zwłaszcza, że mnie przypadała w niej rola myszki. Kiedy jednak zaprowadził mnie do przybudówki więziennej i posadził na stołku w zapluty pokoiku, strach ustąpił miejsca wzbierającej we mnie złości. Usiadł przy zapaskudzonym atramentem i popiołem stole, wyjął z szuflady czystą kartkę papieru i o nic mnie nie pytając zapisał ją od góry do dołu.

- Podpisz!

Przebiegłem wzrokiem podsunęty mi papier ozdobiony rozgniecioną muchą, którą autor wyciągnął niechcący piórem z kałamarza. Pismo miał czytelne, treść, napisana urzędowym językiem NKWD, z której zrozumieniem Aleksander Puszkין mógłby mieć niejakie trudności, dla mnie była również jasna. Zostałem oskarżony o podjudzanie innych do rozbicia więzienia i o wygranie wyścigu, kto pierwszy wyskoczy za mur. Było tam również o tym, że po ucieczce zostałem spotkany tuż za terenem więzienia przez matki więźniów z mojej grupy.

- Nie podpiszę. Nie ja pierwszy uciekłem i nikt mnie za więziennym murem nie spotykał.

- Podpiszesz! - wyrostek w mundurze podporucznika NKWD spurpurowiał ze złości. Pewnie w szkole nie powiedzieli mu, że w ogóle może spotkać się z oporem przesłuchiwanego. Milczał przez chwilę ze szpetnym grymasem na ustach - Jak nie podpiszesz, to swojej matki więcej nie zobaczysz!

Przyszło mi do głowy, że ten cherlawy z wyglądu stróż rewolucji w ringu nie wytrzymałby ze mną pierwszej rundy, ale to on miał broń, a nie ja.

- Nie podpiszę! - powtórzyłem z uporem, który nie pozostawiał wątpliwości, że rzeczywiście nie podpiszę.

- Sam tego chciałeś - powiedział, nie ukrywając nienawiści i lufą pistoletu wskazał, w jakim kierunku mam iść. Już po paru krokach ulżyło mi, nie prowadził mnie do piwnicy, gdzie tym razem nie wypadałoby mu mnie nie zastrzelić. Wróciliśmy przez bramę i dziedziniec do więzienia. Na korytarzu rozkazał dyżurnemu odryglowanie celi numer cztery. Była to cela zasądzonych na karę śmierci. Tak na marginesie, czwórka później w życiu wielokrotnie przynosiła mi wygraną w ruletkę.

Weszliśmy do celi, była pusta.

- Pyskiem do ściany, sukinsynu! - wrzasnął.

Miałem wciąż nikłą nadzieję, że ujdę z życiem z jego łap.

- Pytam ostatni raz! Podpiszesz czy nie?

Strzeli, nie strzeli? Milczałem. Kroki w moim kierunku i gwiazdy w oczach. Tępy ból w głowie, myśl nagła jak błyskawica: poszedł sobie, żyje. Ręka, którą potarłem tył głowy była cała czerwona. Z kieszeni marynarki wyjąłem

chustkę i zrobiłem z niej sobie tampon. Po godzinie krwawienie ustało, - rana okazała się niegroźna, ale ostatnią chustkę do nosa musiałem wyrzucić. W celi nie było wody, a ja chyba miałem gorączkę, bo piekielnie chciało mi się pić.

Pod wieczór zgrzytnął zamek.

- Familia, imia, otczestwo, po kakoj statje?

Wyrecytowałem co trzeba. W drzwiach stał jakiś kolega tamtego kretyna, też wyraźnie świeżo upieczony oficerek po szkole. Najwyraźniej miałem tego dnia pecha.

- Wychaditie!

Gdzie i po co tym razem? Jak diabeł widłami poszturchiwał mnie w plecy lufą swojego pistoletu.

- Dawaj, bystro...

Korytarzowy szedł przed nami. Mineliśmy wyjście na dziedziniec. Szliśmy dalej korytarzem. To dobrze, przynajmniej nie zaprowadzi mnie w jakieś krzaki - pocieszałem się.

- Stój!

Stanęliśmy przed celą numer dziesięć. Korytarzowy bez słowa odryglował zamek, jego młodszy, ale starszy ranga kolega pchnął mnie lufą do środka. Było jeszcze widno. W celi tak na oko przebywało około trzydziestu więźniów. Jedni siedzieli, inni leżeli na podłodze. "Wody..." - wypilem parę kubków i rozejrzałem się. Nikogo z tych tutaj nie znałem. Ta cela była w nie naruszonym stanie, jej lokatorzy - drobni złodzieje i spekulanci - nie próbowali ucieczki. Poczułem się tutaj obco. Usiadłem w kącie i

milczałem. Po pewnej chwili podszedł do mnie wyglądający na mniej niż dwadzieścia lat Żyd. Polacy i Żydzi zawsze umieją się odszukać. Ten nie miał wątpliwości, że jestem Polakiem, do Ukraińca pewno by nie podszedł.

- Pan z wolności? - zapytał.

- A co to pana obchodzi?

- Bo widzę, że pan z wolności.

- No to co?

- Bo jak pan z wolności, to pan wie, kiedy tu przyjdą Niemcy.

- Będą tu za dwie godziny - powiedziałem, żeby się od niego odczepić.

- Tak pan mówi?

- Panie, odpieprz się ode mnie!

Poznałem w życiu wielu Żydów, mądrych i głupich, przyjaciół i wrogów, różnych. Ten mi się wyraźnie nie udał. Podbiegł do drzwi i patrząc na mnie spłoszonym wzrokiem zaczął w nie walić pięściami. Krzyczał!

- Grażdanin dieżurnyj, pustitie mienia w koridor...

Do celi już nie wrócił, ale wkrótce potem miałem rozmowę z korytarzowym.

- Paczemu ty, blać, skazał, czto zdies czeriez dwa czasa budut giermancy?

- Ja niczewo takowo nie goworił - bronilem się niewyraźnie.

- Wriosz - prawie dobrodusznie uśmiechnął się korytarzowy - dobawił by ja tiebie jeszczu adnu statju, co ona tiebie uże nie nużna, wsio rawno tiebia rasstrielajut.



Sciemniało się. Czerwcowe noce są krótkie, ta jednak dłużyła mi się w nieskończoność, nie mogłem się wyłączyć z otaczającej mnie rzeczywistości i zasnąć. Cholernie chciałem żyć. I co za parszywa perspektywa, że miałem zginąć z ręki Rosjan, z którymi teraz miałem wspólnego wroga. Byłem krańcowo niewyspany, ale zasnąć nie mogłem. Pod poturbowaną czaszką kłębiły mi się beładnie myśli. Współlokatorzy, wśród których czułem się jak ktoś, kto w lakierkach wdepnął w gówno - pochrapywali. Ułożyłem się podobnie jak oni na podłodze i próbowałem zasnąć. Nic z tego. Świt zbliżał się. Co mi przyniesie dzień? Kolejny dzień życia na kredyt? Dlaczego mnie nie rozwalili do tej pory? Jaka to opatrność nade mną czuwa? Jakiś anonimowy dobroczyńca z NKWD, a może bałagan w tej instytucji po dwudzi<sup>e</sup>stym drugim czerwca 1941 roku? Do dziś nie znam odpowiedzi na te pytania, które w obłędnej gonitwie krążyły mi po głowie. Wreszcie zgrzyt klucza w zamku, pojawia się kawa i chleb. Wziąłem swoją porcję, zjadłem, potem pomacałem rozbitą czaszkę, nie krwawiłem. Teraz dopiero zasnąłem. Gnęła mi się moja więzienna miska, którą zostawiłem w celi numer szesnaście, kiedy kazano mi wyjść bez zabierania osobistych rzeczy, czyli właśnie bez niej, bo tylko ją miałem.

Ocknąłem się, kiedy wniesiono kocioł z kaszą. Było południe. Przez kraty przeświecało czyste niebo, front milczał. Nie stanąłem w kolejce do kotła, bo nie miałem z czym. Kasza była rzadka i gorąca, a zapasowej miski w celi nie było. Ponownie zasypiając dokonałem odkrycia, że miska

jest dla człowieka w więzieniu równie ważna, jak dla psa na wolności. W celi było gorąco, duszno i smrodliwie. Sen miałem męczący. Na zmianę widziałem się w kabinie samolotu z białą-czerwoną szachownicą, to znów jako zimny trup, raz w jakiejś piwnicy - lochu, a raz na bliżej nie określonym śmietniku.

Późnym popołudniem do celi weszło dwóch oficerów NKWD, starszy, kędzierzawy brunet w asyście blondynka - gołowąsa. Obaj byli zamiejscowi.

- Dawajcie wsie pod stienku! Bystro, bystro.

Korytarzowy wniósł stolik i dwa krzesła. Usiedli i zaczęli spisywać obecnych. Kędzierzawy zadawał pytania, blondynek spisywał odpowiedzi. Pierwszy z więźniów, zapytany o imię, nazwisko i imię ojca, w panice zaczął nie na temat.

- Grażdanin naczalnik, ja nie udirał, jej bohu, ja nie udirał... daze nie dumał udirat!

Oficerowie uśmiechnęli się do siebie, kędzierzawy powiedział poważnie:

- Nu, ładno, zawtra dobawiam tiebie kaszy - i wrzasnął - a tiepier, sukinsyn, otwieczaj na woprosy!

Doszło wreszcie do mnie. Kiedy usłyszeli, co miałem do powiedzenia, spojrzeli po sobie znacząco.

- Ty stań odzielno!

Skończyli spis, kędzierzawy przywołał mnie do stolika.

- Od kiedy jesteś w tej celi! - zapytał.

- Od wczoraj.

- Skąd cię tu przyprowadzili?

- Z celi numer cztery.

- Z kim tam siedziałeś?

- Z nikim, byłem sam.

Blondynek pilnie coś zapisywał.

- Nu da, jakieś prośby, pytania masz?

- Tak. Nie mam miski, kuszał mnie nikak.

Roześmieli się. Blondynek głośniej.

- Nu ładno, prowierim, jeśli тебе posuda budiet  
nużna, zawtra dadim.

Miałem przed sobą kolejną złą noc.

Następny dzień miał mieć datę dwudziesty dziewiąty  
czerwca. Odgrodziłem się od szeptów, od prowadzonych w  
celi półgłosem rozmów i próbowałem zasnąć. Nic z tego...  
Leżałem na plecach i gapiłem się w sufit. Podłoga wydawała  
mi się niemożliwie twarda, pokierieszowana głowa, pod  
którą nie miałem czego podłożyć, bolała mnie dotkliwie.  
Przewracałem się z boku na bok. Ciszę celi przerywały jęki  
i pochrapywania i było już chyba blisko świtu, kiedy  
wreszcie zapadłem w gorączkową drzemkę. Beładne, senne  
majaczenia przerwało mi kopnięcie, dość przyjazne.

- Gniadania nie chcesz?

Otworzyłem oczy. Przy drzwiach celi stał po chleb i  
kawę już ostatni w kolejce więzień. Zerwałem się  
pośpiesznie, ale korytarzowy zatrzasnął mi drzwi przed  
nosem z cynicznym uśmiezkiem i zaryglował zamek. Znałem  
go, był to ten sam, który dwa dni wcześniej, po donosie na  
mnie potraktował mnie raczej łagodnie. Może zrobiło mu się  
wstyd, że nie wykazał należytej czujności wobec wroga ludu

i pozbawiając mnie śniadania, chciał zmasać część swojej winy wobec władzy radzieckiej.

Przed obiadem wszedł do celi jakiś inny korytarzowy, pewnie kolega tamtego i wyczytał moje nazwisko.

- Wychaditcie!

Nauczyłem się już czytać swój los z drobnych na pozór szczegółów. Nie bez znaczenia było to, że <sup>nie</sup> przyszedł po mnie oficer NKWD, lecz funkcjonariusz więzienny. Mogło to oznaczać, że tym razem chodzi tylko o zmianę celi. Przeczucie mnie nie zawiodło. Mineliśmy parę cel i doszliśmy do szesnastki.

- Stojcie! - mój przewodnik obrócił klucz w zamku, przed trzema dniami wyłamany, teraz już naprawionym.

- Zachaditcie!

A więc udało się! Wróciłem do kolegów i do swojej miski. Jak się okazało, Jurek i Olek, zabrani tamtego dnia rano wrócili do tej samej celi po paru godzinach. Nie zaprowadzono ich, tak jak mnie, na spacer za bramę więzienia, przesłuchano ich w wolnych celach, każdego w innej. Zostali pobici za odmowę podpisania oświadczenia, że ich matki odnalazły ich na terenie rozbitego więzienia i wyprowadziły za bramę. Tak nie było, ale gdyby nawet, to i tak nie mogliby czegoś takiego podpisać w obawie o bezpieczeństwo najbliższych, a także mając na względzie honor i ambicję. Co to za terrorysta, którego mama musi wyprowadzać za rączkę z rozbitego więzienia, ponieważ on sam nie wie, jak się do tego zabrać? Swoją drogą mieliśmy wtedy szczęście, że śledczy byli różni, bo gdybyśmy

trafili wszyscy na tego samego, to pewnie by nie wytrzymał i rąbnął ostatniego z trójki, mszcząc się za stracony wysiłek i czas.

Od dwóch dni Niemcy jakby zapadli w letarg, z którego nie budziły ich rzadkie i nieregularne salwy baterii radzieckich. Utrzymywała się nadal piękna pogoda, za oknem ptaki cieszyły się słońcem. Naszej klatki nikt jednak nie chciał nam otworzyć z dobrym słowem - wyfruńcie na wolność. Nieustannie dręczyło nas pytanie - co dalej? Czyściec mieliśmy niejako za sobą, do nieba nam się nie spieszyło. Czas mijał nieubłaganie i nasze oczekiwanie na to, co miało nastąpić, nie mogło już trwać długo. Cisza na froncie była tego zapowiedzią. Nie mogła ona oznaczać nic innego, jak to, że jesteśmy oskrzydłani od południa i północy. Major Kowalenko z pewnością wiedział dokładnie, jak wygląda front i liczyliśmy na to, że nie zechce znaleźć się razem z nami w niemieckim kotle. Ale nie umieliśmy posunąć się dalej z naszymi domysłami. pytanie - co dalej? - zawisło w próżni.

Ostatni dzień czerwca minął jak poprzednie, nie przynosząc rozstrzygnięcia dręczących nas wątpliwości. Nikt z celi nie ubył, nikt nowy nie przybył. Po południu było trochę strzelaniny do samolotu, który przeleciał nad miastem na dużej wysokości.

Tej nocy zasnęliśmy późno i na bardzo krótko. O świcie zaczął się ruch na korytarzu, trzaskały drzwi, wyczytywano jakieś nazwiska. A więc jednak nadeszło to, co miało nadejść. Łoskot zamka, zgrzyt zawiasów i są: oficer z dwoma konwojentami trzymającymi wymierzone w nas automaty. Wyczytuje nazwiska, są wśród nich nasze.

- Wychodzić z rzeczami!

Zabieramy swoje miski.

- Miski zostawić!

Nie ma czasu na zastanawianie się, dlaczego nie pozwolono nam wziąć misek. Na dziedzińcu szpaler wartowników, przed bramą ustawiona czwórkami długa kolumna więźniów. Słychać ponaglenia:

- Dawajcie, dawajcie!

Olek mruga do nas porozumiewawczo i mówi:

- Stajemy po prawej stronie na skraju, jeden za drugim.

Wiemy o co chodzi. Robimy zamieszanie, ale udaje się. Pojawia się Kowalenko. Liczy czwórki i zatrzymuje się przy nas.

- A wy co? Do domu wam pilno?

Robimy niewinne miny, niby to nie wiemy, o czym mówi.

- Do środka - nakazuje - i bez głupich pomysłów!

Robimy co każe, ale myślimy swoje. Przy pierwszej nadarzającej się okazji zaryzykujemy ucieczkę. Szpaler konwojentów otacza nas gęsto z obu stron. Kolumnę prowadzi

konny oficer, zamyka "Maksym" na taczance. Ostatnia przestroga: "szag w lewo... szag w prawo..." i w drogę. Otwiera się brama więzienna. Ani ja, ani inni więźniowie, nie wiedzieliśmy wtedy, że zostawiamy za sobą na dziedzińcu więziennym masowy grób pomordowanych Polaków i Ukraińców. Identyfikacja ofiar była niemożliwa, zwłoki były zmasakrowane gąsiennicami traktora. Ale tego dowiedziałem się znacznie później. Na razie ruszamy i po chwili skręcamy pod słońce, na wschód. Jest rześki, pogodny poranek. Gdzieś wysoko brzęczy niewidoczny samolot. Wchodzimy do miasta i napotykamy pierwszych świadków naszego przemarszu. Przez uchylone okiennice mijanych domów przypatrują się nam brodate postacie w jarmułkach, z gorejącymi oczami, w których czai się śmierć. Żydzi wiedzą, co oznacza ewakuacja więzienia. Wiedzą, że dzisiaj do miasta wkroczą Niemcy. Zapamiętałem te jeszcze żyjące, a przecież już na wpół umarłe oczy.

Za miastem przy rozwidleniu skręcamy w prawo na Wiśniowiec. Dalsza droga prowadzi pod górę głębokim jarem. To miejsce zupełnie nie nadaje się do ucieczki. Jest malownicze, ale wysokie, pokryte zieloną leszczyną ściany parowu stanowią przeszkodę nie do przebycia. Znamy tę drogę. Z jaru wydostaniemy się na otwartą, nie zalesioną przestrzeń płaskowyżu podolskiego, gdzie nie będzie osłony do odskoku z kolumny. Olek, który idzie tuż za mną, mruczy pod nosem, że pokpiliśmy sprawę i że trzeba było zdecydować się na ucieczkę jeszcze w mieście.

Myśl o ucieczce nie opuszczała nas od chwili

aresztowania. Miałem za sobą dwie nieudane próby. W styczniu odprowadzono mnie z przesłuchania, chyba pomyłkowo, do celi, w której siedział Janusz. Byliśmy sami. W mig doceniliśmy okazję. Okienko w drzwiach celi, przez które podawano żywność, łatwo można było wypchnąć. Z zewnątrz zabezpieczała je tylko słaba zasuwka. Później było małe, ale mieściła się w nim głowa. A wiadomo, że jak przechodzi głowa, to ludziom szczupłym przejdzie i reszta. Wpatrzyliśmy się, kiedy na korytarzu brakowało wartownika. Było ze dwadzieścia stopni mrozu i nasz stróż czuwał w opalanej dyżurce kilkanaście metrów od nas, skąd nie widział drzwi naszej celi. Janusz wyciągnął z buta sznurówkę, którą miał przyciągnąć kłapę okienka, gdyby po jej otwarciu trzeba było przerwać próbę ucieczki. Rozebrałem się do pasa, wypchnęliśmy kłapę i po chwili połową ciała byłem na korytarzu. Zatrzymałem się na biodrach, a Janusz przepychał mnie dalej. Narobiliśmy jednak trochę hałasu, którym zainteresował się ktoś w sąsiedniej celi i jak nie wrzaśnie:

- Grażdanin dieżurnyj... wtikajut!

Janusz momentalnie pociągnął mnie z powrotem na tyle szybko, że zdążył jeszcze przyciągnąć kłapę przed nadbiegnięciem wartownika. Obdarł mnie przy tym ze skóry, ale chwilowo nie czułem bólu. Złapałem swoją koszulę i zacząłem udawać, że biję wszy. W zamieszaniu wartownik nie zauważył, że zasuwka kłapy była odgięta, a widok więźnia bijącego wszy wydał mu się najzupełniej normalny. Swoją gniew za zakłócenie spokoju wyładował na naszym wrogu z



sąsiedniej celi:

- Poczemu ty, bladz, szumis? Dawaj, molczi, a to ja tiebia...

Nas jednak rozdzielil i nie widzieliśmy się do dwudziestego szóstego czerwca.

Druga okazja nadarzyła się w lutym. Któregoś dnia pod ochroną Szparagi otwierałem okno więziennej celi i natknąłem się na zamalowany wapnem haczyk. Wyrwałem go paznokciami. Mógł się przydać jako wytrych. Na oddziale śledczym NKWD wszystkie cele były z zewnątrz zamykane na zelazne sztaby, skoble i masywne kłódki. Z wyjątkiem jednej, której całe zamknięcie stanowił zwykły, prosty zamek. Można go było byle drutem otworzyć z zewnątrz i od wewnątrz. Za pierwszym razem, kiedy, jadąc na przesłuchanie, przemyciłem przez rewizję swój wytrych, nie miałem szczęścia, wsadzili mnie do innej celi. Za drugim razem los Ią do mnie uśmiechnął, choć tylko połowicznie. Trafiłem tam, gdzie chciałem, ale nie byłem sam. Musiałem działać szybko, mogli mnie wziąć na przesłuchanie i przerzucić do innej celi.

- Chcecie zobaczyć dzisiaj swoją babę? - zwróciłem się po ukraińsku najlepiej jak umiałem do okutanego kożuchem chłopca leżącego na pryczy.

- A ty co, zgłupiałeś w tym więzieniu?

- Nie zgłupiałem. Mam klucz i zaraz mogę otworzyć celę. Więc jak?

- Durnoty opowiadasz...

- Dziadku, jak nie chcecie, to wasza sprawa.

Udawajcie, że śpicie i że niczego nie widzieliście.

Przekreśliłem już raz swój wytrych we zamku, kiedy mój współtowarzysz porzucił alarm.

- Grażdanin dieżurnyj!...

Wartownik już biegł. Podskoczyłem do dziada i zacząłem nim szarpać, w szamotaninie wsunąłem mu wytrych do kieszeni kożucha.

Do celi wpadł wartownik.

- A wy czto zdieś szumitje?...

- Miał klucz, chciał uciekać...

Wartownik zamilkł, najwyraźniej zaskoczony tym co usłyszał. Nie pozwoliłem mu na zebranie myśli.

- Co on mówi? Kłamie! Spał jak zabity, zerwał się i narobił krzyku, pewnie coś mi się przyśniło.

Dziad w kożuchu zapienił się z wściekłości.

- Dobrze - rzekł wartownik - ty tutaj siedź cicho, a ty - wskazał na mnie - chodź ze mną.

Pewnie niezbyt uwierzył w moje zapewnienia, bo zrobił mi bardzo dokładną rewizję. Nic jednak nie znalazł. Poskrobał się po głowie i odprowadził do innej celi. Straciłem w ten sposób wytrych i nie słyszałem, żeby ktokolwiek później zrobił z niego użytek.

Byliśmy już w dwóch trzecich długości jaru, kiedy przyplątał się niemiecki myśliwiec. Przeleciał nad nami, zawrócił, wkrótce nadlatywał powtórnie.

- Kożys!.. Padliśmy na ziemię. Nasi stróże wycofali się w krzaki i otworzyli ogień z karabinów, kątem oka obserwując, co się dzieje na drodze. Niemiec przeleciał

dość nisko, zignorował zaczepkę i odleciał bez strzału.

Podnieśliśmy się i po chwili ruszyliśmy w dalszą drogę.

Wilgotny chłód jaru skończył się niebawem i wyszliśmy na otwartą przestrzeń zielonych pól, przeciętych białą szosą.

Na prawo od nas, gdzieś daleko pomrukiwał front.

Posuwaliśmy się wolno, mijały nas chłopskie furmanki z

rannymi, którzy patrzyli na nas z obojętnością ludzi

mających dość własnych zmartwień, aby interesować się

cudzymi. Zastanawiałem się, dokąd nas prowadzą. Najbliższe

dwie stacje kolejowe były w Zbarażu i Jampolu. Zbaraż

należało raczej wykluczyć, bo właśnie z tamtego kierunku

dochodziły do nas odgłosy frontu. Pozostawał Jampol, ale

równie dobrze mogli nam ten spacer przedłużyć do

Szepetówki lub jeszcze dalej, do innych miejscowości

znanych z powieści Sienkiewicza. Byliśmy na szlaku Bohuna,

Skrzetuskiego i Heleny, tyle, że zamiast tatarskich łuków

i kozackich szabli, groziły nam Dornierzy i Messery. Znowu

nadleciał jeden z nich. Niebezpiecznie nisko, zupełnie

jakby chciał otworzyć ogień. Eskorta po wydaniu komendy

"łazys" skryła się w rowach po obu stronach szosy, my,

zbici w stado, zostaliśmy na środku drogi, jak na patelni.

Niemiec, gdyby chciał, mógł tutaj urządzić prawdziwą

jatkę, ale przeleciał tylko z hukiem nad naszymi głowami i

zniknął za horyzontem. Zbliżało się południe. W skwarze

uszliśmy chyba ze dwadzieścia kilometrów i zarządzone

postój. Nie tyle z uwagi na nas, ile na pieszych

konwojentów, którzy w długich zimowych szynelach, z

karabinami trzymanymi przez cały czas w pogotowiu, szli

obok nas z groźnymi minami, ale już na miękkich nogach. Zeszliśmy z szosy w pole i zatrzymaliśmy się pod małym zagajnikiem. Tam kazano nam usiąść w ciasnej grupie i odpoczywać. Na wzmocnienie dostaliśmy po kawałku chleba, a zamiast wody obietnicę, że każdy będzie mógł wypić nawet całe wiadro, ale dopiero po przybyciu na miejsce. Któs chytry zapytał, jak daleko do tej wody, ale niczego się nie dowiedział. Wiedzieliśmy już na pewno, że nie idziemy do Zbaraża. Zostawiliśmy Wiśniowiec po prawej stronie i szliśmy na wschód szosą prowadzącą do przedwojennej granicy. Słońce stało nisko, kiedy mijaliśmy opuszczoną od miesiący strażnicę KOP-u. Skończyła się biała szosa i małe uprawne pola, zaczęły się wertepy i ugory. Gdzieś tedy Bohun uwoził porwaną Helene, bo zbliżaliśmy się do Jampola. Od południa grzmiał front. Sześciosilnikowy bombowiec radziecki w osłonie paru myśliwców, brzęcząc jak opity miodem bąk, poleciał na zachód. Wody napiliśmy się już o zmroku na rampie stacji kolejowej w Jampolu. Na torze stał pociąg złożony z kilkunastu wagonów towarowych. Przy pierwszych za parowozem uwijali się jacyś ludzie z młotkami i gwoździami. Zabijali klapy wentylatorów. Jeszcze nie skończyli swojej roboty, kiedy rozpoczął się "załadunek". Zaczęli nas odliczać, po dziesięć czwórek na wagon. Kiedy piliśmy wodę, powstało zamieszanie, w którego wyniku staliśmy teraz każdy w innej czwórce, dość daleko od siebie. A to groziło nam rozdzieleniem i utrudnieniem, jeśli nie udaremnieniem ucieczki, z której ani myśleliśmy zrezygnować. Skończyło się na strachu, bo po paru minutach

denerwującego oczekiwania wtłoczyli nas do tego samego  
wagonu.

Po ucieczce Olka pociąg parokrotnie stawał w stopie i przepuszczał transporty wojskowe jadące na zachód. Byliśmy ciągle w pasie przyfrontowym i innego ruchu na zachód jak wojskowy nie było. Posuwaliśmy się wolno, czas nam się dłużył, w wagonie było bardzo duszno i pomimo zmęczenia nie mogliśmy zasnąć. Dawały też znać o sobie nerwy. Zaraz po świcie pociąg wjechał na jakąś dużą stację, zawyły syreny i rozpoczął się niemiecki nalot. Zagrzmiały sztukasy, zaterkotały karabiny maszynowe pelot, zakołysał się nasz wagon od podmuchów rozgrywających się w pobliżu bomb. Niemcy bombardowali węzeł kolejowy w Szepetówce. Tyle tylko ujechaliśmy, a zdawało się nam, że jesteśmy znacznie dalej. Staliśmy na bocznicy blisko budynku dworca; parę bomb eksplodowało w naszym bezpośrednim sąsiedztwie. Wagon podskoczył, utrzymał się na torach, ale kłapa wentylatora, która po wypchnięciu i podniesieniu słabo się trzymała, opadła i zawisała na zawiasach, dając świadectwo temu, co zrobiliśmy z nią w nocy.

Sztukasy pozbyły się bomb i odleciały. Na niebie pozostały kotłujące się myśliwce. Jurek siedział przy wentylatorze i zasłaniał mi widok. Oglądał walkę i wygłaszał uwagi, na których nie mogłem polegać. Nie znał się na lotnictwie, samoloty rozpoznawał po znakach, nie po sylwetkach, kiedy więc pokrzykiwał, że dostał Rusek, mógł to być równie dobrze Niemiec. Szarpnąłem go za rękaw marynarki.

- Jurek, daj popatrzeć!

Odwrócił się i zobaczył moją twarz w dziennym świetle.

- Cholera! Jak ty wyglądasz?

- A co się stało? - zapytałem. Jurek przyglądał mi się z niedowierzaniem.

- Człowieku! Masz całą facjatę osmoloną prochem. Poślij chustkę i spróbuj to zetrzeć. Głupi by się domyślił.

- Nie mam chustki.

Jurek podał mi swoją. Była sztywna od brudu. Podziękowałem mu za dobre chęci i pośliniłem róg swojej koszuli.

- Mów gdzie...

- Prawa skroń i nos, czoło trochę mniej...

Tarłem tak długo, aż Jurek powiedział:

- W porządku, może być.

Mama kiedyś martwiła się, że nie mam profilu z greckim nosem. Za młodu uczyła się w klasycznym gimnazjum i uwielbiała starożytność. Całe szczęście, że nie miałem tego greckiego nosa, bo pewnie połowy tej ozdoby pozbyłbym się w nocy. Kula przeszła przerażająco blisko, siodełkiem między nosem i czołem, opalając rzęsy.

Strzelanina nad nami trwała jeszcze przez jakiś czas. W końcu wszystko ucichło. Było jeszcze wczesne rano, kiedy odryglowali drzwi naszego wagonu. Weszło dwóch oficerów NKWD. Na ich polecenie wszyscy zostali na swoich miejscach i rozpoczęło się liczenie obecnych. Przeliczali nas ze trzy razy i wciąż coś im się nie zgadzało.

- Kto udirał?..

Cisza...

- Ja spraszewaju, kto udirał?

Cisza.

- A wy tam. - młodszy z nich wskazał na nas - dlaczego okienko jest otwarte, wy spaliście przy nim w nocy?

- My - powiedziałem za siebie i Jurka.

- To wy uciekaliście?

- Nie, nie my - zaprzeczyliśmy żywo, udając zdziwienie. Wypadło nie najgorzej.

- A dlaczego okienko jest otwarte?

- Nie wiemy. Kłapa opadła sama w czasie bombardowania. Zaczęli się nad czymś zastanawiać. Baliśmy się, że jakiś nadgorliwiec z wagonu powie, co widział i słyszał.

Cisza...

Młodszy z dwójki wyraźnie zdradzał wobec nas złe zamiary. Nie usłyszeliśmy tego, co mówił do kolegi, ale z jego twarzy i gestów należało się domyślać, że domaga się czegoś bardzo dla nas nieprzyjemnego. Ten drugi, wyższy stopniem, machnął ręką i powiedział:

- Nu wot, sukinsyny... próbowaliście ucieczki, nie udało się i nie próbujcie!

Olkowi ucieczka udała się. Sam skok z wagonu niezupełnie, bo upadł na kamienie i rozkwasił sobie nos. Ale nogi miał całe i na nich szybko oddalił się od toru. Odczekał w pszenicy parę dni i zgłosił się do Niemców jako uciekinier z bolszewickiego transportu więziennego. Niemiecki generał bardzo go za to pochwalił i dał mu



glejt, z którym Olek bez przeszkód wrócił do Krzemieńca. Zginął w 1944 roku, rozstrzelany przez gestapo w Krakowie po nieudanej akcji AK, w której został ranny i ujęty z bronią w ręku. Dowiedziałem się tego po wojnie.

Dochodziło południe, kiedy drugi raz w Szepetówce otworzyli nasz wagon. Z głośnym ponaglaniem wepchnęli trzech nowych. Mieli na sobie polowe mundury czerwonoarmistów bez odznak i pasów. Dwóch nieśmiało zatrzymało się przy drzwiach zasuniętych za nimi z trzaskiem, trzeci czuł się swobodnie. Tym trzecim był Kazancew.

- Zdrawstwujić - życzliwie pozdrowił wszystkich.

- Zdrawstwujić - odpowiedziało mu na odczepnego parę głosów.

Kazancew rozejrzał się po wagonie i wykrzywił twarz w gniewnym, pogardliwym grymasie. Towarzystwo najwidoczniej nie przypadło mu do gustu. Splunął i nieoczekiwanie ściągnął przez głowę swoją mundurową bluzę. Rozrośnięty w barach, muskularny, cały pokryty tatuażem, robił wrażenie kogoś, kogo dobrze jest mieć po swojej stronie.

- Zdrawstwujić, riebiana! - prowokacyjnie ponowił pozdrowienie.

Zawtórowano mu, jedni rozbawieni aktorskim zachowaniem, inni ze strachu, na wszelki wypadek. Nastrój w wagonie zelżał. Kazancew, najwyraźniej bywalec, nie pierwszy raz pod kluczem, wiedział, że w tym pomieszczeniu ważny jest dostęp do powietrza. Zwabiony ciągle jeszcze otwartą klapą wentylatora, przedostał się między

siedzącymi i leżącymi na podłodze i wcisnął na górne miejsce. Mój sąsiad Ukrainiec bez słowa ustąpił mu swego miejsca Kazancew przyjrzał mi się i zapytał:

- Kto ty taki?

- Polak - odpowiedziałem.

- Z jakiego paragrafu?

- 54.

- Aaa, znaczy polityczny?

- A ty? - zapytałem.

- Rosjanin, przydarzyło się, że też polityczny... - roześniał się - zdradziłem ojczyznę i władzę radziecką...

- Jak to zdradziłeś?

- Co się głupio pytasz? - dałem nogę, kiedy faszyci chcieli mnie rozjechać czołgami. Żyje, znaczy się zdradziłem. Gdybym się poddał, też bym zdradził.

Rozumiesz?

- Nie, a ty?

- Ja to mam w dupie...

Pociąg ruszył. Pojechaliśmy dalej. Dezenter Kazancew, my i reszta z Jampola. Niedługo potem dojechaliśmy do rozjazdu kolejowego i jakiejś stacji. Ktoś przewidujący doszedł do wniosku, że z zabitymi na amen wentylatorami podusimy się. Przyszli jacyś robotnicy, odbili klapy wentylatorów, wstawili kraty i pojechaliśmy dalej. Po godzinie czy dwóch, na następnym przystanku wjechał na sąsiedni tor pociąg pasażerski. Byli w nim zwykli ludzie. Uciekinierzy. Nikt ich nie pilnował, a oni patrzyli na nas z ciekawością. Po chwili zaczęli wymieniać między sobą

uwagi:

- A wot geirmanskich szpionow wiezut... swołoczi...

Na to Kazancew jak nie wrzaśnie:

- My że ruskije. Otkuda wy, sukinsyny wziali, czto my giermancy?

Odryglowali drzwi. Wszedł jeden z wartowników.

- Kto zdies szumit?

- Ja - odparł Kazancew - nie podoba się tobie?

Wartownik zastanowił się przez moment.

- Nu wot, ty zdies nie szumi! - przykazał i poszedł sobie.

Na tym postoju jednak Kazancew nie miał mieć spokoju. Małoletni uciekinier ze stojącego obok nas pociągu pewnie z nudów ułożył sobie wierszyk, nie skierowany zresztą pod naszym adresem i bynajmniej nie obraźliwy dla nas. Recytował go głośno.

Towariszczy, wnimanije.

Na nas idiot Giermanija.

Z wiłami, łopatami,

z Niemcami, pyzatymi...

Kazancew poczuł się tym wierszykiem dotknięty i ryknął:

- Wot wołczonok naszołsa!.. A twój papa kto? Widły i łopaty? Niechby twój papa stanął tam, gdzie ja stałem, zobaczyłby te widły i łopaty!..

Pojechaliśmy dalej.

Minał pierwszy dzień podróży. Potem przeszedł drugi, trzeci, i ... siedemnasty. Skończyła się Europa, zaczęła

Azja. Ural. Miejscowość Zlatoust. I piękny kryminal. Prawe skrzydło zabytkowe. Zbudowane jeszcze za panowania Katarzyny II. Reszta współczesna. Skanalizowana. Plany ucieczki należało odłożyć do lepszej okazji. Co nas czeka w tym więzieniu i czy kiedykolwiek z niego wyjdziemy? Może, ale na razie trzeba do niego dojść. A nogi są jak z waty. Chojracko wyskoczyłem z wagonu i przewróciłem się. Po siedemnastu dniach bezruchu, spędzonych o głodzie, nie wytrzymały. Ta przygoda trwała już bardzo długo, a końca nie było widać. Przypadkiem czy nie, rozdzielili mnie z Jurkiem. Spotkaliśmy się dopiero w 1947 roku w Anglii, przed jego powrotem do kraju.

Zamknęli mnie w zabytkowym skrzydle. W małej celi przeznaczonej przez Katarzynę dla czterech więźniów było nas dwudziestu. Ta cela przez wieki wiele widziała. Jej okute blachą drzwi były wyłomotane i porysowane przez dekabrystów z 1825 roku i przez rewolucjonistów z 1905, a ostatnie ślady pochodziły z października 1917 roku. Teraz miała kolejnych lokatorów. Na ścianie wisiał regulamin więzienny, demokratyczny jak konstytucja ZSRR i tak samo bez pokrycia. Ukraińcy spekulowali, czy Moskwa jest już wzięta, czy nie. Podliczali, ile kilometrów dziennie robią Niemcy i nie rozumieli, dlaczego na Uralu jest jeszcze spokój.

Którejś nocy wprowadzono do celi przedwcześnie postarzałego skazańca. Stiepan Siergiejewicz uosabiał typ przedrewolucyjnego inteligenta, o nienagannych manierach, z przyszczyżoną w klin szpakowatą bródką. Rozwiał nadzieje

Ukraińców.

- Do Uralu Niemcy nigdy nie dojdą. Wojnę wygra Rosja, z poparciem Stanów Zjednoczonych i Anglii.

Mnie pocieszył:

- Twoja sprawa jest paskudna, ale jak do tej pory żyjesz, i szczęście, ciebie nie opuści to możesz przeżyć. Najgorsze masz za sobą, chociaż - dodał - sam wiesz, że w tym kraju nigdy nic nie wiadomo.

O sobie opowiedział, że jest z zawodu inżynierem, i że aresztowali go u schyłku NEP-u w 1928 roku. Przed aresztowaniem żyło mu się nie najgorzej, miał piękną kochankę, pieniądze, stanowisko. Niestety - kochanka była płoża. Przyłapał ją in flagranti i zerwał z nią. Szczęśliwszy amant, nie wiedzieć dlaczego rozeźlił się i złożył na niego donos z oskarżeniem o sabotaż gospodarczy. Niestety, z winy jego niedobrego pochodzenia społecznego ów sabotaż rozrósł się w śledztwie do rozmiarów afery politycznej. Niewierna kochanka, prawnik z zawodu, co było dla niego całkowitym zaskoczeniem, wystąpiła na procesie w roli prokuratora i to nader skutecznie: dostał piętnaście lat.

Czas płynął. W październiku przyszły mrozy. Prawdziwe, uralskie, nie dla kogoś, kto ma całego przyodziewku dwie koszule i marynarkę, a na nogach polskie letnie wiatrówki.

W celi życie toczyło się swoją koleją. Była próba samobójstwa. Podjął ją urzędnik byłego magistratu krzemienieckiego, który ubzdurał sobie, że wkrótce jako pierwszego zabiorą go na rozstrzelanie, a groziło mu co

najwyżej pięć lat za to, że tam gdzie nie trzeba powtarzał wiadomości usłyszane przez radio z Londynu. Którejś nocy uwolniłem go z petli sznurka, który ukreślił sobie w ciągu tygodni i wreszcie założył na szyję. Nie wiem, czy jeszcze żyje. Wtedy przeżył. Chciał się powiesić na siedząco. Swój sznurek przymocował do zawiasów więziennej koi i przysiadając chciał ciężarem ciała przerwać sobie kręgosłup. Można i tak. Ale nikomu nie radzę. Jest to rzecz żmudna i trudna do wykonania. Dużo łatwiej żyć. Ja w końcu byłem w tej celi dużo lepszym kandydatem do rozwałki, a przecież nie rwałem się do sznura.

Mineło Boże Narodzenie. Było zimno i głodno, wszom i pluskwom powodziło się w celi lepiej, miały nas do jedzenia, my byliśmy bardzo głodni. Umundurowany inspektor-biurokrata wszedł któregoś dnia do naszej celi z zapytaniem, czy mamy jakieś prośby i zażalenia. Pokazaliśmy na gęby, że coś by się zjadło. Wskazał na swoją, dla nas wypasioną i powiedział, że jest wojna i trzeba pocierpieć. Miał do ziemniaków większe prawo. Wprawdzie nie niszczył osobiście niemieckich czołgów i samolotów, ale działał w służbie kraju, który to robił.

Z celi co jakiś czas kogoś zabierano. Gdzie i po co, tego nikt nie wiedział, bo ci, którzy wychodzili, nie wracali. Zabierano po nocach, co robiło złe wrażenie.

Którejś nocy pod koniec lutego przyszli po mnie. A więc pewnie podpiszę dla porządku jakiś papierek i pożegniam się z tym nie najlepszym, ze światów. Panie Boze, bądź mi miłościw...

Ocknąłem się z parominutowego letargu w skórzanym fotelu. Na przeciw mnie siedział przy masywnym biurku starszy, wiekiem siwy pan i przyglądał mi się z uśmiechem. Tak, uśmiechał się. Znów zapalił mi się nikły płomyczek nadziei. Z wyglądu był to miły starszy pan w randze pułkownika NKWD. Nagle przypomniał mi się inny starszy pan, który tak podstępnie zrobił durnia z Olka w Toruniu. Dlaczego on się uśmiecha?

- Imię i nazwisko...

Odpowiedziałem. Potem poszły moje paragrafy, dopytywał się o nie, jakby słyszał o nich po raz pierwszy.

- Palisz?

- Pale.

- To zapal. Z przyjaznym gestem poczęstował mnie Kazbekiem. Budził zaufanie, ale przecież jego zawód nakazywał mu obłudę. O co tutaj chodziło? Zaciągnąłem się papierosem, zakreśliło mi się w głowie i wtedy zaatakował mnie pytaniem, które w tym otumanieniu w ogóle do mnie nie dotarło.

- Do Polski chciałbyś?

- Nie rozumiem... - zbaraniałem i zaniemówiłem.

Pułkownika to jakby rozbawiło. Czy on sobie kpi ze mnie? Ale nie. Ponowił wolno pytanie, kładąc nacisk na każde wypowiedziane słowo.

- Ja się ciebie pytam, czy chciałbyś do Polski?

- Tak! - nigdy w życiu nie wypowiedziałem tego słowa szczerzej niż wtedy. Pułkownik spojrzał na mnie przyjaźnie.

- No dobrze, ale teraz siedzą tam Niemcy.

Też to wiedziałem. Kiwnąłem głową, że rozumiem.

Pułkownik ciągnął dalej.

I trzeba najpierw przetrzeć drogę. Ty ją będziesz przecierał... Przejdiesz przeszkolenie i zostaniesz przerzucony na spadochronie do Polski. Znajdziesz się tam wcześniej niż myślisz. Więc jak?

Decyzja nie była łatwa. Chodziło o wybór między życiem a śmiercią, dobrze to rozumiałem, chociaż pułkownik nie stawiał żadnych warunków i nie powiedział, co mi grozi w wypadku odmowy współpracy. Miałem zamęt w głowie, sytuacja, w której się raptem znalazłem, przerastała mój wiek i rozum. Zgoda na propozycję pułkownika mogła okazać się zdradą wobec kraju, z drugiej strony chciałem żyć...

- A czy to co będę robił w kraju jest uzgodnione z polskim rządem w Londynie? - zapytałem nieśmiało. Chciałem się upewnić, czy o takich rozmowach, jak moja z pułkownikiem, wiedzą coś w Anglii.

Pułkownik roześmiał się, jak z dobrego żartu.

- Nie zadawaj głupich pytań. Więc jak, zgadzasz się?

Miałem szczęście, że pułkownik potraktował moje pytanie z poczuciem humoru i nie odesłał mnie z miejsca tam, skąd się nie wraca. W panice, że przeciągnę strunę i bezpowrotnie stracę szansę na pozostanie między żywymi. Spojrzałem półprzytomnie na pułkownika i powiedziałem łamiącym się głosem:

- Proszę o czas do namysłu.

- Dobrze - zgodził się nieoczekiwanie łatwo, ale dodał



- Tylko ty sobie nie wyobrażaj, że powiesz tak, a potem wystawisz nas do wiatru. Namyś się dobrze. Przystaniesz do nas, nie będzie ci źle. Zdradzisz - kula w łeb. I tak ci się należy - ale jesteś młody i jak zechcesz możesz się jeszcze dużo nauczyć.

Nacisnął dzwonek.

- Odprowadzić aresztowanego.

Do celi odprowadziła mnie baba, taka sienkiewiczowska Horpyna. Miała z metr dziewięćdziesiąt wzrostu i rubaszne manieri. Jak się taką zobaczy z kluczami i latarką w półmroku więziennego lochu, to trudno człowiekowi uwierzyć, że mógłby jeszcze kiedykolwiek zapragnąć kobiety. W niczym nie przypominała baletnicy z Teatru Wielkiego w Moskwie.

- Zachodi, gołubczyk, da nie szumi - powiedziała ochryple, zazgrzytała kluczem i poszła sobie. Zostałem sam z myślami. Strażniczka nie zgasiła światła, widocznie tak miała napisane w regulaminie. Na wpół drzemałem i rozmyślałem, raz widziałem się zdrajcą, raz bohaterem, to żywym, to umarłym. Mijały godziny. Znajoma strażniczka przyniosła chleb i kawę, co oznaczało, że nad więzieniem wstało słońce i rozpoczyna się dzień. Powiedziała:

- Na, wozmi zawtraczkok...

Otworzyła jeszcze parę innych cel. Wkrótce zapanowała cisza. Po paru godzinach przynieśli obiad, potem kolację. Skończył się dzień. Dobiegała doba od rozmowy z pułkownikiem. Miały upłynąć jeszcze dwie. Już w pierwszym dniu pobytu w nowej celi postanowiłem, że zgodzę się na

przerzut do Polski, nawet gdyby sam diabeł miał temu patronować, a na miejscu rozejrzę się i coś wymyślę. O jakiej to zdradzie mówił pułkownik? Kogo miałbym zdradzić, strzelając do Niemców? I czy to ważne, na czyj rozkaz będę strzelał? Jeżeli dla niego to takie ważne, to szkoda, że jest sympatyczny i że to właśnie z nim będę musiał być nie do końca uczciwy. Ale sam tego chce. Wolałbym, żeby na jego miejscu siedział za biurkiem jakiś oczywisty drań. Byłoby mi łatwiej. Własna nieszczerłość i jego pogroźki byłyby mi mniej przykre.

Czas się dłużył i kiedy już na dobre zacząłem się bać, że pułkownik o mnie zapomniał, albo że mnie zrezygnował, <sup>że</sup> weszła strażniczka i kazała mi wyjść z celi. Korytarzami tonącymi w półmroku jej kolega zaprowadził mnie dwa piętra wyżej do znanego mi gabinetu. Był dzień i przez przysłonięte okno przeświecało ostre, zimowe uralskie słońce. Pułkownik kazał mi usiąść i bez wstępu przystąpił do rzeczy.

- Więc jak? Namysliłeś się?

- Tak...

- I co?

- Nie jestem pewny, czy się nadam do tej służby. Ja bym wolał do lotnictwa - powiedziałem i poczułem się lepiej.

Pułkownik szerzej otworzył oczy.

- O tym, czy się nadajesz, czy nie, decyduje ja. Warunki też ja stawiam. Ty masz słuchać i odpowiadać. No więc mów, zgadzasz się, czy nie?

- Tak - pospieszyłem z odpowiedzią, przestraszony, że pułkownik może się zniecierpliwic. - Zgadza się.

- To dobrze. Czekają cię trudne z<sup>o</sup>dnania, ale dasz sobie radę. W Polsce nie będziesz sam. Zanim się tam znajdziesz, niejednego się nauczysz. W dywersji byłeś amatorem, zrobimy z ciebie zawodowca. I będziesz służył lepszej sprawie. od dzisiaj podlegasz mnie. Zostaniesz zwolniony z więzienia i przejdziesz krótką kwarantannę. Do lotnictwa jeszcze zdążysz... po wojnie. Na elektryczności się znasz? - wtrącił nieoczekiwane pytanie.

- Tyle co ze szkoły.

- Wystarczy.

Nacisnął dzwonek.

- Wyprowadzić aresztowanego.

Moja więzienna wyrwa w życiorysie dobiegała końca. Za parę godzin miałem wrócić do świata, w którym ludzie nie mają kłopotu z otwieraniem drzwi od wewnętrznej strony. O tym co mnie czeka nie myślałem. Najważniejsze było wydostanie się na tamtą stronę muru i trzymanie się od niego możliwie jak najdalej.

Odwszony, ostrzyżony i ogolony, po południu tego dnia w towarzystwie milczącego cywila, nie wierząc do ostatniej chwili, że to nie sen, przekraczałem bramę więzienną. Stanowiliśmy dziwnie niedobraną parę. On w długiej szubie, walonkach i ciepłej futrzanej czapie na głowie, ja w nieźle zachowanej letniej marynarce założonej na dwie koszule, w wyszarganych nieprzywzoicie spodniach, w lekkich, zdezelowanych wiatrówkach na nogach i czymś, co kiedyś było cyklistówką. Podwiany wiatrem na dwudziestostopniowym mrozie podniosłem kołnierz marynarki, nacisnąłem czapkę na uszy i z rękami w kieszeniach spodni, dla zachowania ciepła zaciśniętymi w kulaki, ruszyłem za swoim przewodnikiem. Milicjant, którego mijaliśmy, spojrzał w moim kierunku podejrzliwie i pewno zastanawiał się, czy mnie nie zatrzymać i nie upewnić się, czy przypadkiem nie mam zamiaru okraść dżentelmena, za którym idę. Co prawda wyszedłem z więzienia bez jakichkolwiek dokumentów, ale nie miałem powodu, żeby obawiać się tego stróża porządku, który, odprowadzając mnie nieufnym spojrzeniem, nie wiedział, że jestem już poza zasięgiem jego władzy. Miałem nawet ochotę pomachać mu ręką, ale było za zimno na takie żarty. Mróz sklejał mi oczy, kiedy doszliśmy do tramwaju. Od szarej ciżby okutanych w waciaki pasażerów szła para. Potupywali zbici w cisną grupę, chroniąc się nawzajem od podmuchów lodowatego wiatru. Nadjechał tramwaj. Zesztywniały z zimna, podążyłem do

wagonu za swoim milczącym cywilem. Z pewnością siebie, którą daje poczucie władzy, przeprowadził mnie przez zatłoczony peron, wszedł jako pierwszy do wagonu, usiadł i wskazał miejsce obok siebie.

- Gdzie jedziemy?

- Zobaczysz...

Ruszyliśmy. Kilka par oczu obserwowało mnie z zaciekawieniem. Mój małomówny cywil wpatrywał się w zamrażnięte okno wagonu, czasem chuchał na szybę i przecierał ją ręką. Nie zwracał na mnie uwagi, tak, jakby się wstydził mego towarzystwa. Ten solidny obywatel pewno nie lubił ludzi obdartych i niepewnych politycznie, do których niewątpliwie się zaliczałem i w duchu przeklinał swojego zwierzchnika, który obarczył go mało zaszczytną misją odstawienia mnie z więzienia do nakazanego miejsca. Tacy ludzie są na całym świecie. Jednych ogłupia władza, innych pieniądze, jeszcze innych jedno i drugie. Nie chciałbym znaleźć się z tym osobnikiem na froncie, ani też być pochowanym w jego sąsiedztwie na cmentarzu.

Prześląkłem widocznie więzieniem, bo w porównaniu ze Szparagą czy Kazancewem właśnie ten bałwan, a nie oni, wydał mi się nędzną kreaturą z marginesu życia. Tramwaj stanął, bo zabrakło prądu. Sciemniało się. Część pasażerów wysiadła i poszła pieszo. - Daleko jeszcze mamy?

- Zobaczysz...

Coraz mniej widziałem, skończył się zmierzch, zaczęła noc. Stopniowo z zimna stygłem niczym świeży nieboszczyk po zamknięciu powiek. W końcu w wagonie zapaliły się

żarówki, motorniczy szarpnął i pojechaliśmy dalej. Na następnych przystankach kolejno wysiedli wszyscy i zostaliśmy w tramwaju tylko my dwaj. Zachodziłem w głowę, dokąd mnie ten pasożyt wiezie.

- Nie wysiadamy?..

Nie odpowiedział. Milczał jak mumia, a przecież siedział obok mnie z czerwonym od mrozu pyskiem. Pierwszy dzień wolności zaczął się dla mnie fatalnie. Czy po wielokrotnym uniknięciu rozstrzelania grozi mi teraz śmierć przez zamrożenie? Wreszcie pusty tramwaj ruszył, przejechał z dwieście metrów i wjechał pod dach skąpo oświetlonej hali. Byliśmy w zajezdni.

- Wysiadamy...

Ruszyłem za nim przez pusty plac. Wydeptaną w śniegu ścieżką doszliśmy do dwupiętrowego budynku. Mój przewodnik do końca nie wypadł z roli tajemniczego milczka. Dał znak, żebym poczekał i zniknął mi z oczu. Znalazłem się w dużej, pustej sieni, pełniącej rolę poczekalni, z której prowadził korytarz w głąb budynku i schody na górę. Budynek był stary, dawno nie remontowany, ale zrobił na mnie dobre wrażenie, głównie tym, że nie miał krat w oknach. Po paru minutach usłyszałem kroki w korytarzu. Człowiek w szubie pojawił się z młodym mężczyzną w roboczych waciakach i czapce usuniętej na tył głowy. Na czole fantazyjnie czubił mu się pukiel włosów. Przybysz wyciągnął do mnie rękę.

- Witajcie. Czekałem na was. Będziemy razem mieszkać.

Mój dotychczasowy opiekun poprawił na głowie swoją

cenna futrzana czapę, burknął – do widzenia – i wyszedł pośpiesznie, jakby go ktoś gonił.

- Na imię mi Sierioża.

- Mnie Wiesław.

- To chodźmy, bo tu zimno.

W pokoju, do którego wprowadził mnie Sierioża stały trzy łózka. Z napalonego pieca szło przyjemne ciepło.

- Będziemy tutaj mieszkali we dwóch. Był kolega, ale parę dni temu wzięli go do wojska. Też chciałem, ale powiedzieli, że front jest wszędzie. Robię tutaj co do mnie należy; będą chcieli to wezwą. Ty z więzienia?

- Tak. Też chcę do wojska.

- Za co siedziałeś?

- Politycznie.

- A było za co?

- Było.

Sierioża uśmiechnął się.

- A z kim wojowałeś?

- Z wami i z Niemcami.

- Wcale nieźle, ale czy nie myślisz, że miałeś za dużo wrogów?

- Myślę, że tak, o jednego za dużo.

Roześmieliśmy się. Sierioża klepnął mnie po ramieniu.

- Nie zapraszam cię, żebyś się rozebrał, bo widzę, że nie masz z czego. Ale siadaj koło pieca i rozgrzej się. Pójdę do kuchni i przyniosę wrzątek.

Sierioża spodobał mi się. Był zaprzeczeniem bęcwała w szubie. Różnił się od tamtego, jak czysty górski potok od

mętnego fabrycznego ścieku. Wrócił po chwili.

- Zaparzymy herbatę. Z zarcieciem jest podle, ale wrzátku mamy jeszcze pod dostatkiem - mrugnął do mnie wesoło - Mam trochę chleba i wódki. Wypijesz?

- Wypije!

Usiedliśmy przy stole. Sierioża pokroił chleb, postawił butelkę, herbata parzyła się w szklankach, znalazła się konserwa rybna.

- Jedz - powiedział - wyglądasz jak nieboszczyk na urlopie. I pij, to ci dobrze zrobi.

- Za co pijemy?

- Za spotkanie.

- I zwycięstwo nad Niemcami.

- Faszystami.

- Jedna cholera.

- Niech będzie.

Zaszumiała mi w głowie wódka i to, co usłyszałem od Sierioży.

- Będziemy teraz walczyli razem. Wasz Sikorski był w Moskwie u Stalina. Ogłosili amnestię dla polskich więźniów politycznych. Są formowane oddziały polskiego wojska. Może za dużo mówię?

- Sierioża, co ty, mów dalej. Gdzie front? Ja nic nie wiem.

- Gady faszystowskie nie wlażyły do Moskwy. I nie wejdą. Stamtąd, gdzie wleźli wygonimy ich, ale na razie posłuchaj. To ważne dla ciebie. Jutro zaprowadzę cię do kantoru. Jak zapytają cię o zawód to powiedz, że



elektromonter. A jak zapytają, na jakim prądzie pracowałeś, to powiedz, że na stałym, zmiennym i wysokim napięciu.

- Sierioża, ja o tym nie mam pojęcia.

- I nie musisz mieć. Za skromny jesteś. Tutaj większość nie wie co robi, a tramwaje jeżdżą. Nie przejmuj się, będzie trzeba - pomogę. Jak powiesz, że nic nie umiesz, pójdziesz do łopaty na świeże powietrze. A ziemia teraz twarda i zimno. Wiem co mówię.

Sierioża zgasił światło, za chwilę już pochrapywał. Wpatrywałem się w ciemność i bałem się zasnąć. Wydawało mi się, że to, co mnie spotkało i otacza, jest tylko przywidzeniem, że rano obudzę się za kratą więzienną i wszystko będzie jak dotąd. Myśli kotłowały mi się w głowie. Niewiele z tego co usłyszałem miało dla mnie sens. Amnestię - jak powiedział Sierioża - ogłoszono przeszło pół roku temu. Powstawała polska armia, to Sierioża wiedział na pewno, ale nie wiedział gdzie, bliżej Taszkontu czy Moskwy. Mnie chcą zrzucić do Polski. Po co? Kim ja właściwie jestem? Komu to potrzebne? Jasno zdawałem sobie sprawę tylko z tego, że muszę stąd zwać i to przy pierwszej okazji. Ale gdzie i jak? Bez dokumentów, bez pieniędzy, bez szansy przeżycia na uralskim mrozie nawet paru godzin w tym co miałem na grzbiecie. Czekala mnie kolejna, cięższa być może od dotychczasowych próba. Nad ranem usnąłem, czując się jedną nogą na wolności, druga ciągle tam, skąd przyszedłem.

Sierioża dał mi się wyspać. Obudził mnie koło

południa. Sam wstał dużo wcześniej. Wszedł wyświeżony mrozem.

- Wstawaj - powiedział wesoło - napij się herbaty, idziemy do kantoru. Po drodze przeegzaminował mnie.

- Zawód?

- Elektromont. <sup>or</sup> Pracowałem na...

- Dobrze. Będziesz rozmawiał z dyrektorem, a ten zna się na elektromechanice, jak ja na sadzeniu grochu. Z jego strony nic ci nie grozi. O brygadzystę możesz być spokojny, to swój człowiek i wie, o co chodzi.

Niespodzianek nie było. Zostałem zaliczony do pracowników złotoustowskiej zajezdni tramwajowej jako samodzielny elektromonter. Sieriozę zdziwiło trochę, że sekretarka zatrzymała mnie po wyjściu z gabinetu dyrektora.

- Mam dla was zaliczkę, towarzyszu. Proszę, podpiszcie.

Domyśliłem się, że ta zaliczka nie uszczupli budżetu zajezdni tramwajowej, bo pochodzi z innej, bogatszej kasy. Wziąłem pięć czerwonońców i wyszliśmy.

- Nieźle, jak na początek - powiedział Sierioza - dostałeś dużą zaliczkę.

Zawstydzilem się, sam nie wiem dlaczego.

- Może potrzebujesz?

- Daj spokój, mam ile potrzebuję. Na kartki wszystko prawie za darmo, a bez kartek teraz u nas nic nie kupisz. Po co mi te papierki. A tobie może się przydadzą. Ja jestem u siebie w domu, ty masz daleko, a w drodze, jak to

w drodze, trudno obyć się bez pieniędzy, nawet jeśli niewiele warte...

Pułkownik obiecał mi podróż do Polski gratis. Czy Sierioża nie wiedział, kim jest, jego podopieczny? I musiał domyślać się pochodzenia pieniędzy kiedy chowałem do kieszeni te pięć czerwoców...

Był mroźny, uralski zimowy dzień. Zawieszane w powietrzu kryształki lodu mieniły się w słońcu. Z okrytych śniegiem drewnianych domów unosiły się prostopadle w niebo wysokie kominy dymów, których nie zakłócał najmniejszy wiaterek. W górze powarkowały samoloty, niewidoczne w oślepiającym słońcu. Co ja tu, cholera, robię. Przecież moje miejsce jest tam, w górze. Do porządku przywołał mnie brygadzysta, wydając mi polecenie, abym sprawdził, dlaczego dziesiątka nie ciągnie. Sierioża roześmiał się, widząc moją przerażoną minę.

- Idź i zdejmij maskę z silnika, ja za chwilę przyjdę..

Poszło mi łatwiej niż myślałem. Ze śrubami mocującymi maskę nie miałem żadnych kłopotów. Zabrałem się już do oględzin silnika, kiedy usłyszałem za sobą głos Sierioży.

- Prąd wyłączyłeś?

- Nie.

- To ciebie zabije nie dotykaj silnika.

Miałem szczęście, że Sierioża nie przyszedł o minutę później, bo w silniku nie spodobało mi się kilka miedzianych szczotek. Nie wiedziałem do czego służą, ale tak na oko mogły być powodem tego, że dziesiątka nie

ciągnęła. Na stykach były wytarte i trochę wypalone. Chciałem je podważyć śrubokrętem i wyjąć palcami.

- Wariacie - Sierioża nie ukrywał zdenerwowania - grzebiesz w silniku pod napięciem, a to śmierć! Zawsze trzeba najpierw wyłączyć prąd. O, tutaj - pokazał mi gdzie.

Pomyślałem sobie, że życie jest pełne pułapek, w które jedni wpadają, inni nie, bardziej za sprawą szczęścia niż rozumu. Sierioża obejrzał silnik i powiedział, że szczotki, na które zwróciłem uwagę, to szmelc i że wszystkie trzeba będzie wyrzucić. Dobrze byłoby wymienić cały silnik, a jeszcze lepiej cały ten wrak. Ciągłe jeszcze trochę zły na mnie, trochę na siebie, odgrażał się tramwajowi. Rdza, próchno i pluskwy. Pamięta cara, cholerny złom, i nic z tym nie da się zrobić... Ale zrobił. Następnego dnia dziesiątka wcale nieźle ciągnęła po swojej trasie. Gorzej było ze mną. Na wolności pociągnąłem tylko półtora dnia. W nocy dostałem bardzo wysokiej gorączki. Wezwany rano przez Sieriożę lekarz przyszedł po południu. Była to młoda dziewczyna świeżo po szkole felczerskiej, która, jako medyk, znajomością fachu niewiele odbiegała ode mnie w roli elektromontera. Widocznie szef ambulatorium kazał jej zwrócić szczególną uwagę na to, czy nie przedstawiam sobą groźby jakiegóż zarazy, bo obejrzała mnie bardzo dokładnie.

- Wszy macie? - zapytała ostro.

- Aktualnie?

- Jak to aktualnie? - nie zrozumiała.

- No teraz - wyjaśniłem - bo tak w ogóle, to raz mam, raz nie.

- Teraz! Pytam się, czy teraz?

- Ostatnio nie gryza...

- Nie znalazła objawów tyfusu na moim ciele, bo powiedziała:

- Nic wam nie jest. To tylko przeziębienie, dam wam lekarstwo i za parę dni będziecie zdrowi.

Sierioża przyszedł niedługo po niej i skrzywił się, kiedy zobaczył na stole butelkę z jasnym metnawym płynem.

- Co to jest? Kazali ci się odlać do tej butelki? Mam to odnieść na badanie?

- Nie, ja mam to pić. To jest lekarstwo, które zostawiła felczerka.

- Jak miała na imię? Są u nas dwie.

- Nie wiem.

- Blondynka?

- Tak.

- A, to Zojka. Po niej wszystkiego się można spodziewać. Ona tutaj jednego leczyła na mędy spirytusem salicylowym, zrobiła z niego pośmiewisko. Mało jej za to nie obył. Tobie potrzebne jest mleko i masło, a nie jakieś świństwa tej głupiej gęsi. Napij się na razie herbaty z wódką, jutro postaram się o mleko. Miałem złą noc. Spalała mnie gorączka. Bałem się, czy przetrzymam do rana. Przetrzymałem. Rano byłem osłabiony, ale czułem się lepiej i wiedziałem, że i tym razem wyścig ze śmiercią mam już poza sobą. Sierioża przyniósł chleb, mleko, wódkę, a także

niedobłą wiadomoŒć, że musi wyjechać słu¿bowo na dwa dni. Powiedzia³, że w czasie jego nieobecnoŒci będzie mnie odwiedza³a starsza miedpom \* z ambulatorium. Starsza miedpom przysz³a wieczorem. By³a w wieku Zojki-felczerki. W walonkach, waciaku i kolorowej chuŒcie na g³owie sprawia³a sympatyczne wra¿enie.

-----

\* miedpom - pomocnik medyczny .

-----

- Dobry wieczór - rozejrza³a siê po pokoju - zimno tu u was.

- Trochê zimno..

- Lekarstwo braliŒcie?

- Bra³em.

- A gdzie jest? - zapyta³a, wskazuj¹c na stół.

Na stole le¿a³ chleb i sta³y dwie butelki, jedna z mlekiem, druga z wódk¹.

- GdzieŒ jest... - powiedzia³em wykrêtnie.

UŒmiechnê³a siê.

- Pewnie na Œmietniku, co? Przyznajcie siê. Przecie¿ wam nic nie zrobiê. No, Œmia³o.

Nie przyzna³em siê.

- Zimno tu, - powiedzia³em - lepiej wstanê i napalê w piecu.

- Wam nie wolno, ja to zrobiê. Pokrêci³a g³ow¹ - po co ta wódka?

- Sierio¿a zostawi³, to stoi, wróci z delegacji to

wypije.

Zniechęcona rozmową starsza miedpom zaczęła krzątać się koło pieca. Podlała tłące się drewno naftą, którą Sierioża przyniósł z remizy. Buchnął płomień.

- Wy z Polski? - podniosła głowę od otworu pieca i spojrzała na mnie jakoś dziwnie.

- Tak.

- A ja ze Wschodniej Syberii. Mój dziadek był Polakiem. Słyszałam, że wy z więzienia.

- Z więzienia.

- Mój dziadek był za cara na zsyłce, pracował przy budowie kolei. Ożenił się z miejscową.

Zamyśliła się na czymś. Milczała chwilę. Poprawiła ogień, dorzuciła kilka szczap i trzasnęła mocno drzwiczkami pieca.

- No, ale na mnie już czas. Jutro przyniosę wam nowe lekarstwo.

Sierioża wrócił na trzeci dzień.

- Jak się czujesz? Dbali tu o ciebie? - dopytywał się wesołym głosem, rozwiązując przyniesiony przez siebie worek.

- Nie narzekam, jeszcze parę dni i zwolnię ciebie z roli niańki.

- Po co ten pośpiech, zobacz lepiej, co tu mam.

Sierioża przymrużył oko i porozumiewawczo się uśmiechnął. Zaczął wyjmować z worka konserwy.

Są kraby... Szukajmy dalej. Jest jesiotr, tuszonka. Jak ci się podoba? I, jak myślisz, skąd ja to mam? Ale i

tak nie zgadniesz, więc ci pomogę. Nie kupiłem, nikt mi nie dał, ani nie znalazłem na ulicy. Domyślasz się już?

- Niezupełnie. Albo są grywasz, albo po prostu te konserwy komuś rąbnałeś.

Sierioża parsknął śmiechem.

- Masz mnie za złodzieja?

- Nie, ale skądś przecież masz te puszki. Powiedz, bo nic z tego nie rozumiem...

- A co tu jest do rozumienia. Po co kraść, kiedy można zarobić. Ja zarobiłem. - Sierioża nie przestawał się śmiać - którą otwieramy pierwszą? Może kraby?

Znałem różne łagodne określenia na kradzież. Słyszałem, że ktoś popełnił malwersację, defraudację, albo że dopuścił do sprzeniewierzenia, ale o "zarabianiu" nie słyszałem.

- Jak to zarobiłeś? - zapytałem - Znajoma wdowa dała ci konserwy za to, że zastąpiłeś jej nieboszczyka męża?

- Od wdowy też bym wziął, gdyby dała, ale nie od wdowy mam te konserwy. Trzymaj się łożka, bo spadniesz. Konserwy wręczył mi przed wyjazdem sam dyrektor naszej zajezdni i powiedział, abym przekazał ten upominek razem z zamówieniem Jakubowi Prawinowi i przeprosił go, że nalewki nie posyła, bo mu się skończyła. Miałem w jego imieniu prosić, aby sprawy, z którą mnie posłał, tamtem nie zaniedbał. Trzymaj się łożka - śmiał się Sierioża - bo ja temu Prawinowi dałem tylko zamówienie.

- I przyjął?

- Krzywił się, ale przyjął, jak mu w imieniu naszego



dyrektora obiecałem dwa litry nalewki następnym razem.  
Bierzmy się za kraby, uczciwie zarobione.

Jedliśmy kraby wprost z puszki wyszczerbionymi  
widelcami, pośpiesznie i głośno. Pokazało się dno, kiedy  
Sierioża odłożył swój widelec, przyjrzał mi się przez  
chwilę uważnie i powiedział:

- Mam dla ciebie ważną wiadomość. Chyba się ucieszysz.

- Dla mnie? - zdziwiłem się - co to takiego?

- W Czelabińsku, gdzie byłem, widziałem polskich  
zołnierzy w angielskich mundurach.

Jak bym dostał obuchem w łeb.

- Może to byli Anglicy?

W głowie wszystkie myśli uderzyły mi na alarm.

- Nie, słyszałem, jak mówili po polsku. Coś takiego,  
jak "psiakrew, cholera". To nie byli Anglicy. Zresztą  
poznałem też po pyskach - swoje, słowiańskie.

W jednej chwili poczułem się zdrowy i silny.

- Daleko do Czelabińska?

- Na piechotę nie dojdiesz. Połóż się i odpocznij. Ja  
pójdę do dyrektora i w imieniu towarzysza Jakuba Prawina  
podziękuję mu za upominki.

Sierioża mrugnął do mnie łobuzersko.

- Nie zginiemy, na jutro mamy jesiotra.

Przez dwa następne dni jedliśmy jesiotra i tuszonkę.  
Od powrotu Sierioży z Czelabińska byłem przez cały czas  
ogromnie wzburzony. Wiadomość, którą przywiózł,  
zelektryzowała mnie, wprawiła w stan gorączkowego  
napięcia. Pokusa była zbyt silna. Wiedziałem, że się jej

nie oprę i że bez względu na wszystko zaryzykuje przedostanie się do Czelabińska. Do ogłupienia głowiłem się, czy dam sobie radę sam, czy będę musiał zwrócić się o pomoc do Sierioży. Miałem pieniądze na przejazd pociągiem do Czelabińska i mogłem tam być nawet za kilka godzin, ale trudność polegała na kupnie biletu i uwolnieniu się spod nadzoru Sierioży. Czy mam uciekać w porozumieniu z nim, czy na własną rękę? Czy wyjazd ze Złatousta bez wiedzy Sierioży wchodzi w grę? Jak się Sierioża wytłumaczy z mojego zniknięcia i czym mu to grozi? Te pytania gnebiły mnie. O tym, co zrobi pułkownik, jeśli wpadnę, nawet nie pomyślałem. Nie miałem żadnego papierka, który by zaświadczył, że nazywam się tak, a nie inaczej i że robię to, a nie tamto. Próba zakupu biletu kolejowego bez żadnego dokumentu mogła się skończyć fatalnie, a nie mogłem przecież zaproponować Sierioży, żeby mnie odwiózł na dworzec, poszedł za mnie do kasy, wsadził do wagonu i pomachał z peronu ręką na pożegnanie. Życzliwość ma granice, a między nim a mną było jeszcze NKWD.

Kończył się luty 1942 i z pomocą przyszedł mi sam pułkownik. Któregoś dnia wcześniej rano wezwał mnie do siebie, zapytał o zdrowie i samopoczucie, wyraził zadowolenie z tego, że nie mam powodów do narzekania i powiedział:

- Dzisiaj zostaniesz przeniesiony na nowe miejsce. Będziesz tam miał lepsze warunki. Podkarmią tam ciebie i ubiorą w coś cieplejszego od tego co nosisz. Wracaj do zajezdni i zgłoś się do dyrektora.

Poszedłem najpierw do Sierioży. Wiedział o moim przeniesieniu.

- Przechodzisz do zakładów zbrojeniowych - powiedział.

- Czy to zakład zamknięty?

- Tak, pod ścisłą kontrolą. Masz tam być przed piątą wieczorem.

Była jedenasta rano. Miałem trochę czasu. Nie za dużo. Mój pociąg nie mógł odjechać ze Złatousta później niż o trzeciej, a najpóźniej o czwartej. Tak długo żyłem ucieczką. Teraz nadarzała się okazja. Może nie najlepsza i nie pozostawiająca wyboru, ale zawsze. Co zrobić? Wtajemniczyć Sieriożę, czy nie? Powiedziałem:

- Mam polecenie i idę teraz do dyrektora. Zobaczę czego ode mnie chce i wrócę tutaj. Mam do ciebie sprawę.

Sierioża uśmiechnął się przyjaźnie.

- Idź, będę czekać na ciebie w warsztacie.

Przy drzwiach zatrzymałem się niepewnie.

- Sierioża... zacząłem i głos uwiązł mi w gardle.

Sierioża dał mi znak ręką, żebym szedł.

- Później porozmawiamy, pospiesz się bo dyrektor lubi wyjść po jedenastej i później wraca albo nie.

Sierioża domyślał się co mi chodzi po głowie.

Wszedłem do sekretariatu. Dyrektor miał ważnych interesantów i nie miał czasu na rozmowę ze mną. Sekretarka wręczyła mi kartkę z adresem nowego miejsca pracy.

- Czekają tam na was. Trafic łatwo, tramwaj dowiezie was pod samą bramę.

Na jej biurku zabrzączał telefon. Ktoś dopominał się o połączenie z dyrektorem. Przez parę minut sekretarka opędzała się od rozmówcy jak od natrętnej muchy i jednocześnie przebiegała wzrokiem leżące przed nią pismo. W końcu zdenerwowana krzyknęła w słuchawkę.

- Czy wy nie rozumiecie, że towarzysz dyrektor jest zajęty i nie będzie z wami teraz rozmawiał! - trzasnęła aparatem i zwróciła się do mnie.

- Proszę chwilę poczekać, mam dla was pieniądze, towarzyszu, ale dyrektor nie podpisał jeszcze zlecenia wypłaty. Zaraz z nim to wyjaśnię.

Wyszła z pokoju i zostawiła mnie samego. Spojrzałem na jej biurko i ... pieczątki, które tam leżały, jak magnes przyciągnęły mój wzrok. Za wzrokiem poszły ręce. Mówią, że zwierzęta kierują się wyłącznie odruchami i tym właśnie różnią się od swoich myśliczących starszych braci. Chyba ta różnica nie jest znowu wielka. Nie myślałem, kiedy chowałem do kieszeni arkusz papieru ostemplowany przez siebie pieczętkami zajezdni. Zachowałem się jak pies, który zagrzebuje kość, nie myśląc o tym, czy ją później znajdzie i zje.

- Wszystko w porządku, towarzyszu. Proszę, pokwitujcie.

Wyszedłem od sekretarki bogatszy o następne pięć czerwońców. Pułkownik nie był skąpy. Ostemplowany papier, który miałem w kieszeni, wziąłem na dokładkę. W drodze do warsztatu nie wiedziałem jeszcze, czy na coś mi się przyda. Nie znalazłem na tyle rosyjskiego, żeby wpisać

poprawnie tekst, który by mi pomógł przy kupnie biletu.

Sierioża był w warsztacie sam. Nie było co owijać rzeczy w bawełnę. Nabrałem przekonania, że Sierioża wie, z jaką sprawą do niego przychodzę.

- Sierioża, znasz może rozkład jazdy pociągów do Czelabińska?

Rabnąłem prosto z mostu. - Będzie, co ma być - pomyślałem.

- Jeżdżą jak chcą. A co, wybierasz się tam?

- Tak i to zaraz.

- Jeżeli tak, to szczęśliwej drogi. - uśmiechnął się do swoich myśli, - ale uważaj, szczęście to bańka mydlana, pryśnie i po nim.

- I nic więcej nie masz mi do powiedzenia.

Sierioża zamyślił się, milczał wpatrzony w okno, był nieobecny. Po chwili zaśmiał się jakoś niezrozumiale, ale życzliwie i wyciągnął papierosy.

- Masz zapal. Będę z tobą mówił szczerze. Mam się toba opiekować do dzisiaj, ale nikt mi nie zlecił odstawienia ciebie na nowe miejsce. Możesz pojechać sam, a w który tramwaj wsiądziesz, to twoja sprawa. Ja nie muszę o tym wiedzieć. Powinienem, ale nie muszę. Rozumiesz? I nie myśl, że się bardzo narażam. Sam będziesz w większym gównie, jak wpadniesz. Mnie, jeśli nie będziesz zbyt rozmowny z kim nie trzeba, wielkiej krzywdy nie zrobią. Wyłgam się i co najwyżej pójdę wcześniej na front.

- Co zrobisz z biletem? Jak kupisz?

- Nie wiem. Jakie mam szanse?

- Marne. Bez dokumentów i komandirówki właściwie żadne.

- To co robić?

- Jak ci nie sprzedadzą, to wiej z dworca tam, gdzie na ciebie czekają.

Spojrzałem na Sieriożę jak kaleka na święty obraz w oczekiwaniu cudu.

- A ty nie napisałbyś mi komandirówki?

Sierioża popatrzył na mnie bardziej przestraszony niż zdziwiony.

- Co ty, zwariowałeś, czy co?

- Nie zwariowałem. Mam coś...

Wyciągnąłem swoją zdobycz. Sierioża obejrzał ostemplowany papier. Pokręcił głową.

- Niezła robota. Jak to zdobyłeś?

- Sekretarka wyszła do dyrektora, miałem to w kieszeni zanim wróciła.

Pomyślał chwilę i powiedział.

- Jak to mówią - sprawa byłaby dobra, gdyby nie była zła. Napisać łatwo, ale odsiedzieć parę lat trudniej. Jak cię z tym złapią - siedzę.

- Musiałem się szybko wycofać. Ta komandirówka rzeczywiście na odległość śmierdziała kryminałem dla Sierioży.

- Zapomnij o wszystkim i oddaj mi ten papier.

- Co chcesz z nim zrobić?

- Podrę i wyrzucę.

- Nie spiesz się, ten papier może się przydać...

- Tobie?

- Nie, tobie. Wiem co zrobimy. Wypiszesz sobie na nim sam komandirowkę.

- Przecież gdybym umiał, nie prosiłbym ciebie o pomoc.

- Co innego napisać, a co innego przepisać po kimś. Ja napiszę, a ty przepisziesz, proste?

Godzinę później, po serdecznym pożegnaniu z Sieriożą byłem już na szlaku uciekiniera do polskiego wojska. W tramwaju było pustawo, było wczesne słoneczne popołudnie. Miałem zajęcie. Wkuwałem na pamięć swoją komandirowkę. Na wypadek gdyby mnie złapali i kazali taką samą napisać. Przy rozstaniu Sierioża uścisnął mi rękę.

- Uważaj na siebie i szczęśliwej drogi. Duży jest ten kraj, ale może się kiedyś spotkamy.

Nie spotkaliśmy się więcej ani na froncie, czego załuję, ani w kryminale, czego nie załuję.

Dworzec kolejowy w Zlatoustie niczym szczególnym się nie wyróżniał. Był stary, drewniany, pamiętający cara. W poczekalni koczowali podróżni. Siedzieli lub leżeli, jedni na drewnianych ławkach, inni wprost na podłodze. Na prawo od wejścia były kasy biletowe. Nad bezpieczeństwem podróżnych czuwało paru milicjantów. Stałem pod ścianą niedaleko kas i czekałem, sam nie wiedząc na co. Pierwsze podniecenie minęło, byłem jak przekłuty balon, z którego uchodzi powietrze. To czego się obawiałem, nie nastąpiło. Swoim pojawieniem się nie wzbudziłem w poczekalni większego zainteresowania. Wyróżniała mnie moja marynarka w kratę i cyklistówka, ale był to już ósmy miesiąc wojny, która przemieszała ludność zachodnich republik z resztą kraju, i to co kiedyś byłoby podejrzane, teraz przestawało być nawet dziwne. Gdybym wszedł do poczekalni w tym samym ubraniu nowym, czystym i wyprasowanym, współpodróżni wzięliby mnie pewno za Amerykanina, bo to i marynarka w kratę i czapka na głowie nie tutejsza. Ale to mi nie groziło, w tym, co miałem na sobie, przypominałem bardziej bohatera z powieści Makarenki niż podejznanego przybysza zza oceanu.

Usiadłem tam gdzie stałem i gapiłem się na wskazówki dworcowego zegara. W poczekalni nic się nie działo. Przybyło trochę podróżnych, nikt nie ubywał. Przed trzecią ogłosili odjazd pociągu do Ufy, zaraz potem megafon zaskrzeczał, że pociąg do Czelabińska odjedzie za pięć



minut. Foderwałem się.

- Adin w Czelabinsk, pozałsta.

Kasjerka nie spojrzała nawet na mnie.

- Jest u was komandirowka?

- Da, kanieczno.

Nie czytała, rzuciła tylko okiem na pieczęcie.

- Pałuczajtie bilet i patarapities, grażdananin, pojezd siejczas atprawlajetsia.

Nie musiała mi tego dwa razy powtarzać.

Konduktorka wagonu, do którego wsiadłem była rozmowna.

- Wy daleko?

- Do Czelabińska.

- To niedaleko, za cztery godziny tam będziemy. A wy kto taki?

Na złodzieju czapka gore. Spłoszyła mnie. Byłem młody i nikt mnie jeszcze nie nauczył, że kobiety często bywają ciekawe, ot tak, - sztuka dla sztuki.

- Polak - powiedziałem uczciwie.

Ucieszyła się.

- U was tam teraz faszyści.

- Tak, zagnieździli się, ale nie na długo.

- Wy do wojska?

Nie musiałem przed nią udawać.

- Do polskiego wojska.

Ucieszyła się znowu.

- Czytałem w gazecie, że wasz Sikorski i nasz Stalin podpisali porozumienie. My faszystów pogonimy do waszej granicy, a wy dalej.

To było dla niej proste, dla mnie też.

- Pogonimy!

- Zimno tutaj, mam wrzątek, przyniosę wam.

W przedziale byłem sam. Potężna transsyberyjska lokomotywa szarpnęła pociągiem. Żegnaj, Sierioża... Poczułem się wolny tak, jakbym dopiero teraz wyszedł z więzienia. Wolny i niespokojny o to, co dalej. Pociąg zatrzymał się raz czy dwa, zanim dojechał do Czelabińska. Zapadła uralska, zimowa noc. Mróz powypisywał co umiał na oknach. Esy, floresy. Bałem się tego spotkania z Czelabińskiem. Byłem już parę godzin spóźniony tam, gdzie miałem się stawić. Pociąg zwolnił i stanął. Czelabińsk.

- Wsiewo charoszewo - pożegnała mnie z uśmiechem konduktorka. Tak jak ja jej, ona mnie szczerze życzyła tego, czego ludzie powinni sobie życzyć.

Wyskoczyłem na peron i rozejrzałem się, gdzie jestem. Nad sobą miałem wygwieżdżone niebo, przed sobą nędznie oświetlony budynek dworca. Pomyślałem, że dobrze jest być porządnym obywatelem, dobrze ubranym, z dokumentami w kieszeni i czystym sumieniem, kimś, dla kogo umundurowany przedstawiciel prawa jest osobą przyjazną. Taki przyjaciel porządnym obywateli stał przy drzwiach prowadzących z peronu do budynku dworca i bacznie przypatrywał się tym, którzy mu zaufali i przechodzili koło niego. Jak dla mnie zachowywał się podejrzanie i wolałem nie ryzykować, toteż udałem się do miasta drogą, jakiej porządni podróżni nie wybierają - przez parkan odgradzający tory kolejowe od ulicy biegnącej równolegle z nimi, starając się jak

najszybciej oddalić od dworca i czuwającego tam stróża porządku.

Po półgodzinnym spacerze już wymarłymi pomimo wczesne-  
pory ulicami Czelabińska doszedłem do wniosku, że takie spacerowanie do niczego nie prowadzi. Jeżeli wcześniej nie znajde się pod kluczem w okratowanym, ale ogrzewanym pomieszczeniu, to nie doczekam wschodu słońca, bo najzwyczajniej zamarzę. Podjęcie decyzji ułatwił mi całkowity brak wyboru; mogłem tylko wrócić na dworzec i spróbować tam przeczekać do rana. Mówią, że najciemniej jest pod latarnią. Może tak i jest. Ale czułem się, jakbym szedł w paszczę lwa. Pewne było, że tam gdzie idę ten lew na mnie czeka. Pozostawało pytanie, czy będzie chciał mnie pożreć. Wszedłem przez główne wejście nie od peronu, ale od miasta, co nie wiadomo dlaczego wydało mi się bezpieczniejsze. Główna hala dworcowa robiła korzystne, ośmielające wrażenie, choć była niemiłosiernie zatłoczona i bardzo podle oświetlona. Panował tu bez mała półmrok. Wkręciłem się między ludzi i, choć być jak najmniej widoczny, usiadłem na kamiennej posadzce w kącie pod ścianą. Po kwadransie zacząłem żałować, że nie mam jak inni jakiegoś tobołka lub walizki, bo to i wygodniej na czymś takim usiąść i stajesz się bardziej podobny do zwykłego legalnego podróżnego. W nocy na dworcu kolejowym człowiek bez bagażu nie robi dobrego wrażenia. Z tego to chyba powodu na mój widok korpulentna sąsiadka nakryła spódnicą swoje worki, na których siedziała. Pewnie pomyślała o mnie, że m złodziej, a nie podróżny... taki co

przyszedł z niczym, a chce wyjść z jej workiem i tylko czeka, kiedy ona przyśnie. Przyglądałem się jej z ukosa, bo zachowywała się podejrzanie, tak jakbym miała ochotę wystawić mnie któremuś z obecnych na dworcu milicjantów. Nasza wzajemna nieufność pogłębiała się i zaczynała być już bardzo krepująca, kiedy hala dworca zapełniła się do reszty chmarą nowo przybyłych podróżnych i zostaliśmy rozdzieleni przez hałaśliwą rodzinę uciekinierów z Leningradu. Ci wnieśli sporo życia i kilka przyzwoitych waliz, co uspokoiło podejrzliwą babę w kwestii losu jej własnych worków. Ułożyłem się jak mogłem najwygodniej i z ręką pod głową zapadłem w mało pokrzepiający sen zajęcia pod miedzą. Wypłoszył mnie nie strzał, lecz szarpnięcie za ramię i szept do ucha:

- Ty, paszport imiejesz?

Pytanie było przerażające; teraz wszystko zależało od tego, kim okaże się pytający. Otworzyłem oczy. Nie wyglądał źle. Nie ogłony w wojskowym zimowym kaszkiecie z czerwoną gwiazdą i w zapiętym pod szyję, bardzo nieświeżym szynelu, robił wrażenie ni to żołnierza, ni to zbója. Do pasa miał przytroczony blaszany kociołek. Oczy rozbiegane, gęba występna czyli żadna tam władza, tylko swojak.

- Nie imieju.

- Tak ja думаł. Wstań i idź za mną.

Nieznajomy znał dworzec czelabiński, jakby przez pół życia się z nim nie rozstawał. Wyprowadził mnie bocznym, nie pilnowanym wyjściem na rampę towarową, uchylił drzwi któregoś ze stojących tam wagonów i zawołał.

- Wskakuj...

Wskoczyłem bez wahania i w ciemności usiedliśmy na jakichś skrzyniach.

- Jesteś kiepsko ubrany i nie masz dokumentów. Kto ty taki? - zagadnął.

- Polak.

- Skąd?

- Z więzienia.

- Z którego?

- Złatoustowskiego.

- Za co siedziałeś?

- Politycznie.

- Jak ci na imię?

- Wiesław.

- Mnie dali Wasyl. Gdzie jedziesz?

- Do wojska.

- A to dobre - roześmiał się - Ty do wojska, a ja właśnie zwiąłem z wojska.

- Dezerter.

- Tak to nazywają, dezerter - zdrajca, ale ja się nie obrażam. Na froncie swoje odwalilem. Byłem dwa razy ranny i czekam, aż wszyscy na froncie będą po dwa razy ranni, wtedy tam wrócę. Teraz mam inne sprawy na głowie, prywatne. Czekam na przyjaciela, który jutro tutaj będzie i razem jedziemy na Daleki Wschód. Mamy tam meliny i przeczekamy wojnę. Jedź z nami, nie zginiesz.

Propozycja była szczerą, a takiej nie należy odrzucać niegrzecznie. Postawiłem pierwszą przeszkodę.

- Nie mam dokumentów.

Wasył zachnął się.

- I co z tego. Ja mam prawdziwe zaświadczenie zwolnienia ze szpitala i lewą przepustkę do domu, której nie pokazuję. Co się martwisz? O dokumenty dla ciebie postaramy się. To nie takie trudne, jak się ma przyjaciół.

- Tylko że ja nie mam żadnego fachu, na co komu mogę się przydać?

- To i dobrze - usłyszałem w odpowiedzi. - Nauczysz się. Najgorsi to tacy, którym się zdaje, że coś umieją. Dam ci przykład. Weź te gliny na dworcu. Sprawdzają teraz dokumenty wszystkich podróżnych, a my siedzimy sobie bezpiecznie. Jestem tutaj od trzech dni i zaraz skapowałem, że zawsze o tej samej godzinie sprawdzają dokumenty i że później jest spokój aż do rana. Nie im, ale mnie wpadłeś w oko. No więc jak?

- Wasył, ja naprawdę chcę do wojska.

- Toś głupi, a mnie nie towarzysz.

Wasył powiedział mi jeszcze, że wojny wymyślili mądrzy dla głupich, że on, być może nie wygląda na członka akademii nauk, ale swój rozum ma, i że ja jestem jednym z tych trajerów, z których żyją właśnie te mądrale, co wymyśliły wojny. Dodał jeszcze, że kocha swój kraj i nie zdezerterował bynajmniej z zemsty za to, że wyrzucili go z komsomołu.

Wróciliśmy na dworzec. Jak przewidział Wasył, nic tu już się nie działo. Na posadzce i ławach leżeli, pokodem podróżni, przyciskając do siebie to co z wojny wynieśli.

Wasył podał mi swój kociołek.

- Idź i przynieś wrzątek. Znajdziesz za sraczem na prawo.

Kiedy wróciłem, Wasył wyciągnął z kieszeni swojego szynela garść ni to trocin, ni to śmieci i wrzucił to do kociołka, mówiąc:

- Napijemy się herbaty.

- Potem z drugiej kieszeni wydobyl kawałek gazety i garść jakiejś innej, ciemniejszej mieszanki, i zaproponował:

- Zapalimy.

- Nie widziałem go więcej, bo kiedy rano obudziłem się, Wasyła już nie było. Jak dotąd wszystko szło dobrze, ale co będzie dalej? Podniosłem się i przez nikogo nie nagabywany zwawym krokiem opuściłem czelabiński dworzec kolei transsyberyjskiej. Mroz był siarczysty. Słońce świeciło blado. Na ulicach mundury i waciaki. Nie było kogo zapytać o to polskie wojsko, o którym mówił Sierioża.

Szedłem przed siebie. Pewnie przypominałem opuszczonego wiejskiego psa, zagubionego w mieście. Kasek dla hycli i policjantów. Na jednej z ulic, która, sądząc po wysokiej zabudowie, znajdowała się gdzieś w centrum miasta, wypatrzyłem odróżniającą się ubiorem młodą, przystojną brunetkę. Lisi kołpaczek, karakuły i eleganckie, futrzane boty. Wyglądała na Żydówkę. Może ona ze Lwowa, pomyślałem. Instynkt tym razem mnie zawiódł; nie była to Żydówka ze Lwowa, ale, usłyszawszy moje pytanie, życzliwie wyjaśniła:

- Gdzie ma pan szukać polskiego wojska, to ja nie wiem, wiem tylko, że na sąsiedniej ulicy - pokazała gdzie - w hotelu Jużnyj Urał jest jakieś polskie przedstawicielstwo.

Podziękowałem jej najlepiej jak umiałem.

W holu hotelowym, do którego wkroczyłem niezbyt pewnie, speszony dywanami, kryształowymi żyrandolami z innego świata, zatrzymał mnie umundurowany portier. Był siwy, z piersią pokrytą orderami, które świadczyły, że rewolucji, które za jego życia nawiedziły Rosję, nie przesiedział u mamy pod spódnicą.

- Ty dokąd? - zapytał urzędowo, ale bez niechęci.

- Do polskiego przedstawicielstwa.

- A w woszobojkie byłeś? - oszacował mnie wzrokiem.

- Byłem.

- Bumazku tiebie dali?

- Dali, siejczas najdu.

Nie patrząc mu w oczy, obłudnie obszukiwałem kieszenie.

- Kłamiesz, nie byłeś i nie masz bumazki - powiedział poważnie i z naciskiem, jak sędzia wydający wyrok.

Miałem, musiałem gdzieś zgubić - upierałem się bezradnie.

Pokręcił głową z pobłażliwą ironią i choć był pewny, że kłamię, zlitował się.

- Nu, da, idi, wosmoj etaż.

Skierowałem się do windy, którą właśnie ktoś zjechał.

- A ty gdzie - ryknął za mną - wszy w windzie



wytrzesiesz. Po schodach, łobuzie.

Na ósmym piętrze przywitał mnie inny portier, z emblematem Białego Orła, na którego widok zakreślił mi się łzy w oczach.

- Pan do kogo?

- Nie wiem, do polskiego przedstawicielstwa...

- Proszę za mną.

W pokoju, do którego mnie zaprowadził, stało biurko. Po obu stronach siedzieli dwaj urzędnicy w średnim wieku. Jeden zwrócił się do mnie z lwowskim akcentem.

- W czym możemy panu pomóc?

Najzwieźlej jak umiałem powiedziałem o co chodzi. Ten drugi, wyglądający na szefa biura, wstał z krzesła.

- Zrobimy herbatę i pomyślimy. Takiego wypadku jeszcze nie mieliśmy. Nie wiem, co w pana sprawie można będzie zrobić, ale zastanowimy się. Niech pan coś zje i napije się herbaty. Wyciągnął z szuflady owiniętą w papier bułkę. Domyśliłem się, że facet częstuje mnie własnym śniadaniem i jak ostatni prostak, bez choćby pozorów skrzepowania, przyjąłem bułkę, której połowę zdążyłem zjeść, zanim dotarło do mnie, że należałoby podziękować. Kiedy jadłem, oni naradzali się.

- Więc tak - powiedział lwowiak - wszystko co możemy zrobić, to wystarać się panu o skierowanie do pracy w jakimś kołchozie. Żadnych dokumentów nie możemy panu dać oprócz skierowania do kołchozu. Wiemy, że to nie dla pana. Nie po to pan tu jechał. Musi się pan na własną rękę zgubić w wojsku. Niech pan idzie do placówki wojskowej. My

tu niewiele możemy panu pomóc...

- A jest taka w Czelabińsku?

- Jest, pięcioosobowa, niedaleko dworca. Nadzoruje transporty kolejowe z poborowymi.

Pięcioosobowa - pomyślałem - to długo mógłbym, szukać w półmilionowym Czelabińsku tych pięciu polskich żołnierzy.

- Jak tam trafić?

- Nietrudno.

Dali mi wyrysowany na kartce szkic. To byli wspaniali ludzie. Dali mi wszystko, co mogli. Na pożegnanie lwowiak chciał podarować mi swój sweter, nie przyjąłem, po co mi sweter, skoro niedługo włożę mundur. Życzyli mi, jak Sierioża i konduktorka z pociągu Złatoust-Czelabińsk, dużo szczęścia. To był łańcuch ludzi dobrej woli, bez nich byłbym zupełnie bezradny i zagubiony.

Ale w życiu po fali powodzenia przychodzą niepowodzenia. Na mojej drodze do polskiego wojska stanął komendant misji wojskowej w stopniu majora. Swoją, Polak. Siedział za biurkiem w angielskim mundurze i palił papierosa, kiedy wprowadził mnie do niego sierżant, jego prawa ręka.

- Pan w jakiej sprawie - zapytał ostro, niezyczliwie. Sierżant odmeldował się. Milczałem speszony.

- No, słucham pana.

- Powtórzyłem to, co mówiłem przed godziną w polskim przedstawicielstwie.

- Nie ma pan żadnych dokumentów? - przerwał mi

opryskliwie i, nie czekając na koniec moich zwierzeń, pokazał mi drzwi.

- Nie jestem od załatwiania spraw żadnych tam przybłędów bez dokumentów. Radźcie sobie sami. To wszystko.

Ociągałem się, chciałem coś powiedzieć, żeby obłaskawić majora, ale ten ryknął.

- Wyjść mi stąd!

Zamiast mu nawymyślać, położyłem uszy po sobie i bliski płaczu zapytałem:

- Gdzie ja mam iść, panie majorze?

- Tam, skąd was diabli przynieśli! Gdziekolwiek!

Wyszedłem zdruzgotany. Przed spotkaniem z majorem wydawało mi się, że dopływam już do upragnionego brzegu, a okazało się, że wciąż jeszcze tkwię we wzburzonym nurcie.

Sierżant, który, sądząc z wieku, strawił w wojsku więcej czasu niż jego szef, zatrzymał mnie w sieni.

Musiałem dziwnie wyglądać, bo zapytał:

- Co z panem? Czy coś się stało?

- A nic. Major mnie wyrzucił i powiedział, że nie załatwia przybłędów bez dokumentów.

- A nie ma pan żadnego dokumentu?

- Nie mam i nie wiem, kiedy będą miał. Tych, które mogłem mieć, nie chciałem.

Powiedziałem sierżantowi kim jestem. Zamyślił się przez chwilę.

- Panie! Nasz major ze strachu przed NKWD mózgiem się zesrał. Niech się pan nie martwi. Ja panu pomogę. Dzisiaj

w nocy będzie szedł transport do ósmej dywizji. Dołączy pana. O majorze niech pan zapomni. To w gruncie rzeczy niezły człowiek, tylko strasznie zestrachany. Głodny pan jest?

- Trochę zjadłem...

Sierżant schował mnie do jakiejś komórki w przybudówce domu, w którym mieściła się polska misja wojskowa w Czelabińsku i po niecałej godzinie przyniósł mi dużo chleba i herbatę.

- Niech pan tutaj cicho siedzi, przyjdę, kiedy będzie trzeba.

Zimno było w tej komórce jak diabli. Czułem się też głupio, bo sierżant wychodząc zamknął mnie od zewnątrz na klucz. Było już chyba po północy, kiedy wrócił.

- Niech pan idzie za mną.

W chwilę potem rozsunął drzwi wagonu i powiedział:

- Szczęśliwej drogi, wskakuj pan i do zobaczenia w Polsce.

Z kim jadę, najpierw usłyszałem, zanim zobaczyłem. Byłem w wagonie kiedyś towarowym, teraz osobowym w tak zwanej ciepłuszce, których w czasie wojny kursowało po Związku Radzieckim tysiące. Były to kryte wagony towarowe, przegrodzone wewnątrz na dwa poziomy deskami. Za ogrzewanie służył żelazny piecyk - koza. Szarpnięciem oderwałem placy od desek, bo nieco przymarziłem. Na dolnym poziomie byłem sam, po przeciwnej stronie, za kozą, która straszyla zimnem wygasłego paleniska, też nie było nikogo. Nade mną, na górnych deskach, jacyś ludzie, których nie

widziałem cieszyli się, że mają noc za sobą.

- Dzień dobry, panie mecenasie, jak się spało?

- Dziękuję, panie prezesie, trochę zmarzłem, słabo na ten nasz młody człowiek napalił.

- A pan radca jak się wyspał?

- Wszy mi trochę dokuczały, ale nieźle, nieźle, panie magistrze.

- Panie inżynierze, niech no pan zbudzi tego Janka, bo leń gotów spać do południa, a czas już na herbatę i śniadanie.

Janek, z wyglądu nierozgarnięty, wiejski chłopak, zaczął krzątać się koło kozy, a poborowi na górze dalej prowadzili wytworną jak na miejsce i czas konwersację.

- Panie mecenasie, może trochę kiełbaski, pan mecenas swoją, zdaje się, raczył skonsumować, a ja jakoś nie mam dzisiaj apetytu.

- Dziękuję, panie prezesie, chętnie skorzystam, ale może by pan prezes przyjął ode mnie w rewanżu trochę masełka. Bardzo proszę, panie prezesie...

Do jasnej cholery - pomyślałem - co to za menażeria, z kim ja jadę?

- Was dołączyli w Czelabińsku? - zwrócił się do mnie, jak karbowy do parobka, nikczemnej postury człowieczek w średnim wieku. Nie spodobał mi się jego ton i to "wy". Był to - jak go tutaj tytułowano - porucznik inżynier, komendant wagonu. Nazwiska nie zapamiętałem.

- Tak, wsiadłem w Czelabińsku.

- Macie przydział zaprowiantowania?

- Pewnie nie mam, bo nie wiem, co to jest.

- Dlaczego wam nie dali?

- Tego nie wiem, może zapomnieli. ↘

- To będziecie musieli żywić się sami - powiedział zjadliwie - a teraz posłuchajcie. W wagonie jadą starsi, schorowani panowie, którym trzeba przynosić wodę i palić w piecyku. Wy jesteście młody i silny, i będziecie na zmianę z kolegą - wskazał ręką, kogo ma na myśli - zaopatrywać wagon w węgiel i wodę. Traktujcie to jako rozkaz.

- No dobrze - odpowiedziałem na odczepnego.

Porucznik inżynier poczerwieniał ze złości.

- Jakie dobrze. Jesteście w wojsku i macie odpowiadać przełożonym, tak jest.

Zignorowałem konusa i zacząłem przyglądać się tym starszym, schorowanym panom. Z wyjątkiem dwóch czy trzech wcale na takich nie wyglądali. Okutani w paltoty i koce, siedzieli na górze jak stado czerstwych, napuszonych indorów.

- Odpowiadać! - wrzasnął porucznik inżynier.

Powiedziałem, ociągając się.

- Przysięgi jeszcze nie składałem, ale wodę i węgiel będę nosił. I pomyślałem; a niech cię szlag trafi, skurwysynu.

Porucznik inżynier wyczuł chyba, że mu źle życzą i postanowił natychmiast się zemścić.

- Będziecie bezpośrednio podlegali panu Jankowi.

Pewnie pierwszy raz tak go nazwał, bo pan Janek, któremu ręce zwisały poniżej kolan, przez co przypominał

trochę Czię, małpę Tarzana, ucieszył się wielce. Dostał władzę nad człowiekiem, podczas gdy dotąd trafiały mu się tylko świnie i krowy. Zaraz też rozdziawił na mnie gębę, że on już od trzech dni kradnie węgiel i przynosi wodę, i że dzisiaj chce odpocząć. Powiedziałem mu, żeby nie liczył na to, że zacznę bawić się wiadrami wcześniej niż jutro. Pan Janek poskarżył się komendantowi, który po namyśle, łaskawie jak sędzia, który chce dać szansę podsądnemu, powiedział:

- Niech on zacznie od jutra, panie Janku. I niech pan tego dopilnuje. Jak będzie się stawiał, to już ja inaczej z nim porozmawiam.

Pogroził tak, żebym usłyszał, a ja pomyślałem sobie, że pierwszy dzień w polskim wojsku zaczął się dla mnie osobliwie. Pogrożki porucznika inżyniera nie martwiły mnie, Ale mniej zabawne było to, że zaprowiantowani urzędowo, utytułowani poborowi, z którymi wypadło mi jechać, mieli co jeść, bo frontowyj pajok, który nie wiem kto i jak im załatwił, nie był zły, podczas gdy ja miałem tylko trochę chleba i tysiąc rubli, podarowane mi przez NKWD. Zdobywanie wody i węgla na zmianę z panem Jankiem było dla mnie podwójnie niebezpieczne. Węgiel trzeba było kraść z transportów opałowych na postojach, a wodę nosić z odległych ramp, pod wagonami innych eszelonów, bez żadnej gwarancji, że własny w tym czasie nie odjedzie.

Mój zmiennik był z rodziny zesłańców osiedlonych w Kazachstanie. Miał oficjalne skierowanie wojenkomatu do wojska i tę jeszcze przewagę nade mną, że nie chodził do

gimnazjum i nie czytał Wyspiańskiego, którego złoty róg hukający po lesie i czapka z piór niesiona przez wichę śniły mi się na jawie po każdej nieudanej ucieczce od listopada 1940 roku.

Oblizalem się tylko przy obiedzie sporządzonym przez pana Janka na kozie, do którego zasiedli pan mecenas, pan radca, pan prezes i cała reszta starszych, schorowanych panów, dowodzonych przez komendanta porucznika inżyniera. Nikt niczym mnie nie poczęstował. Byłem tutaj intruzem, co wszyscy dawali mi do zrozumienia. A pies z wami tańcował - rozmyślałem, jedząc swój chleb i popijając go wodą.

W Liceum Krzemienieckim źle mnie przygotowała do życia moja ulubiona profesorka geografii, która zaszczepiła we mnie wstręt do tytułomanii. "Dlaczego zwracasz się do mnie per pani profesor? Czy uważasz, że pani nie wystarczy?" Była i pozostała dla mnie wzorem na całe życie. Sama żyła krótko. Na liście osób rozstrzelanych przez Gestapo drugiego lipca 1941 roku umieszczono ją bez tytułu profesora, jako H. Paliwodziankę.

Pociąg jechał i stawał to na przystankach, to w szczerym polu. I nie warto byłoby o tym pisać, gdyby w wagonach były klozety i gdyby podróżni na postojach opuszczali wagony po prostu po to, żeby sobie trochę pospacerować i rozprostować kości. Ale klozetów nie było, a podróżni wysiadali i natychmiast przysiadali w pozycji kucznej, gdzie kto mógł najbliżej wagonu, przy czym wcale nie z czystego zamiłowania do gimnastyki na świeżym powietrzu, ale w zgoła innym celu. Śmiech z bliźniego jest



czymś szczególnie nieładnym, wiem to i wiem, że należało się wtedy zachować poważnie, ale tytuły starszych panów tak bardzo nie licowały z widokiem gołych dup wypiętych nad torem, że zdarzyło mi się parsknąć śmiechem.

Wiedzieli, że to z nich. I wreszcie nastąpił wybuch. Pociąg wolno ruszył, wsiadałem pośpiesznie do wagonu, kiedy to zobaczyłem wspaniałą szarżę prezesa i radcy z gaciami w garści do drzwi ciepłuszki. Nie wytrzymałem i zaniósłem się homeryckim śmiechem. Prezes, purpurowy ze złości, chciał coś powiedzieć, ale uprzedził go radca.

- Chuligan! - wysapał i, nie widząc skruchy na mojej twarzy, posunął się dalej: - Bandyckie nasienie!

Był wspaniały w swoim oburzeniu, kiedy tupał z wściekłości nogami, jakby deptał obleśnego gada.

Noc przespałem na jutowym worku. Leżał taki porzucony w śniegu przy torach. W przeczuciu, że się na coś przyda, podniosłem go i po rozmrożeniu rozścieliłem na deskach zamiast materaca.

Kolejnego ranka nasz eszelon wtoczył się na dużą stację, którą okazał się być Czkałów. Stanęliśmy daleko od rampy na jakimś dwudziestym czy trzydziestym torze, odgrodzeni innymi transportami. Mroźny poranek nie wpłynął na nastroje starszych, schorowanych panów. Ćwierkali sobie, jak wróble nad końskim nawozem i szykowali się do śniadania.

- Trzeba wziąć wiadra i iść po wodę - powiedział ponuro mój bezpośredni przełożony, pan Janek.

Komendant porucznik inżynier stał book niego w

postawie Napoleona pod Wagram i czekał jak się zachowam. Podniosłem wiadra, zastanowiłem się i postawiłem je z powrotem. Nie miałem rękawic, a noszenie wiader gołymi rękami na takim mrozie groziło murowanym odmrożeniem rąk. Pomyślałem, że tego nikt nie może ode mnie wymagać. Zwróciłem się do komendanta.

- Czy może mi pan pożyczyć swoich rękawic?

Zdziwił się, zmarszczył czoło i warknął.

- Nie. Nie mam...

Miał.

- A może pan, panie prezesie?

- Moje będą dla pana za małe.

Byłyby w sam raz.

Inni starsi, schorowani panowie, widząc co się dzieje, zaczęli czym prędzej chować zagrożoną część garderoby. Pan Janek stał z otwartą gębą, co oznaczało u niego, że nad czymś myśli, ale nic nie wymyślił, bo nie przyszło mu do głowy, żeby zaoferować mi swoje rękawice. Podniosłem wiadra, co widząc, komendant uśmiechnął się zjadliwie i ... z trzaskiem, czego komendant nie przewidział, rąbnąłem nimi w podłogę, pod kopyta pana Janka.

- Sam się im wysługuj, baranie! Beze mnie!

- Co?! - zapienił się z wściekłością oszukany komendant - Bunt?! Bolszewicka szkoła! Psia mać! Ja was nauczę! Ja was oddam pod sąd polowy!

- Sram na sądy polowe pana porucznika. Nie chcę waszej wody i mam was wszystkich w dupie!

W wagonie zawrzało jak w ulu, w którym zwyrodniały

truteń zbezczęścił królową matkę. Starsi panowie nabrali wigoru, o który nikt by ich nie posadzał. Przekrzykiwali się, żywo wznosząc wrogie okrzyki pod moim adresem. Bardziej krewcy zdradzali wyraźną chęć obicia mi pyska. I co tu mówić - przegrałbym z nimi sromotnie, ba, przegrałbym z samym tylko prezesem, który ważył dwa razy więcej ode mnie. Ci panowie nie byli ani tacy starzy, ani słabowici, jak to twierdzi komendant porucznik inżynier. Na pierwszym postoju, który wypadł już po wieczór na jakiejś mijance, zabrałem swój worek - materac, i żegnany złymi spojrzeniami wyniosłem się do innego wagonu. Wtargnąłem tam trochę na zasadzie psa przybłedy, który umie sobie sam otwierać drzwi. Byłem bliżej lokomotywy i wystarczająco daleko od miejsca awantury ze zgrają zaradnych "staruszków". Swoim pojawieniem się wywołałem poruszenie. Ktoś się zapytał:

- Pan skąd?

- Z tego samego pociągu, jadę od Czelabińska. Czy mogę u was zostać?

- Jak z zaprowiantowaniem?

- Nie mam i nie potrzebuję.

- W porządku. Miejsca jest dosyć.

Rozścieliłem swój worek przy scianie na dolnych deskach i zbudziłem się następnego dnia rano w okolicach Aktiubińska. Nie zamarziłem, w nocy ktoś nakrył mnie kocem.

- Pan z Czelabińska?

Przysiadł się do mnie ten sam facet, który mnie przyjął do wagonu. Szpakowaty blondyn, mógł mieć

trzydzieści parę lat. Miał twarz koloru popiołu. Ubrany był w rozlatujący się waciak.

- Tak, dołączyłem z więzienia.

- Nie zaprowiantowali pana?

- Nie, nie było czasu. Zapomnieli, nie wiem zresztą.

- Ilu was było?

- Poza mną nikogo. Jadę na własną rękę, Przepraszam, że tak wlałem do was bez zaproszenia.

- Nie musi mnie pan przepraszać i nic straconego, spróbuję zaprowiantować pana w Aktiubińsku. Ma pan jakieś dokumenty?

- Nie mam żadnych.

- A przy zwolnieniu z więzienia nie dali panu takiego zaświadczenia? - pokazał mi swoje.

- Nie dali.

- Aha... - zastanowił się, przypatrując mi się ciekawie - rozumiem, że lepiej będzie nie dopominać się u Rosjan o kartki żywnościowe dla pana.

- Chyba, że na inne nazwisko.

- Odpada. Bez urzędowego papierka nie dadzą.

- Mam ruble.

- To niech je pan trzyma. Mogą się przydać. I niech się pan nie martwi, coś wymyślimy. Jestem starszym tego wagonu i dlatego o to wszystko pytam.

Podróż do polskiego wojska zaczynała dla mnie nabierać rumieńców. Odzyskałem zachwianą wiarę w rodaków. Starszym wagonu był oficer rezerwy, nauczyciel ze Złoczowa, ostatnio zza Koła Polarnego. Dla reszty też nie byłem

jeleniem, na którego polują familianci - myśliwi spragnieni węgla i wody. Po dziesięciu dniach nasz eszelon dotarł do Taszkientu. Tam staliśmy całe dwa dni zanim znów ruszyliśmy w drogę. Za Taszkientem stacja Arys i rozwidlenie torów na wschód i zachód. I kłopot. Maszynista, któremu jest wszystko jedno, w którą stronę skrócić, dostaje polecenie stanąć. Stoimy. Dzień, - drugi, trzeci. W Taszkientcie wydałem wszystkie pieniądze, jakie dostałem w Złatouście. Z jedzeniem w wagonie zrobiło się zupełnie źle, a tu jeszcze ten postój. Wiem, że celem naszej podróży jest Czok-Pak. Nazwa dziwna i nie budząca zaufania, ale właśnie tam jest formowana ósma dywizja piechoty. Nie lubię niepotrzebnie wypytywać ludzi, ale co mam robić. Zagadnięty kolejarz mówi:

- Ten wasz eszelon jest wstrzymany i czort wie, kiedy pojedzie. Jeżeli chcesz do Czok-Paku, to wskakuj na transport cystern, który przejdzie tędy wieczorem. Nie zatrzyma się, ale zwolni.

Fada śnieg z deszczem i nie wiem już, co lepsze na mój ubiór, taka pogoda czy uralski mróz. Czekam skulony przy torze. Przejechały dwa transporty. Zaczynam już tracić nadzieję, ale oto są moje cysterny. Krótki wyścig z lokomotywą, skok i jadę na mostku. Chybotliwie tu i przewiewnie. Mokry śnieg zakleja mi oczy i ścieka zimną strugą za kołnierz marynarki. Upływają trzy, może cztery godziny, pociąg wlecze się i nigdzie nie przystaje. Zaczynają mnie ogarniać wątpliwości. Gdzie jest ten cholerny Czok-Pak? Może już przejechałem? Jak rozpoznać

stację? Zmarzłem ~~na~~ kość. W końcu zgrzytają hamulce. Pociąg zwalnia i staje w zupełnej ciemności. Dłużej nie wytrzymam, jest mi wszystko jedno, czy mam Czok-Pak za sobą, czy przed sobą. Zwlekam się ze swojej cysterny i idę przed siebie. Nie wiem dokąd. Jest jakieś światełko i drewniana buda. W środku są ludzie, widoczni w świetle kopnącej się naftowej lampy. Ktoś mówi, że jestem na stacji kolejowej Czok-Pak i że do punktu werbunkowego ósmej dywizji jest nie dalej niż pięć kilometrów. Jak tam trafić, nie wie, ale czeka, i jak tylko się rozwidni będzie szukać drogi. Mogę mu towarzyszyć. Czego chcieć więcej. Pięć kilometrów można się nawet przeczołgać. To już zupełnie blisko.

Idziemy w grząskim po kolana lodowatym błocie. Do bramy obozu. Dalej w takim samym błocie namioty-pałatki. Przy bramie wartownia. W niej umundurowany sierżant i dwóch drzemiących żołnierzy.

- Skąd wy tak wcześnie??

- Ze stacji.

- Poborowi?

- Tak.

- Musicie poczekać, biuro werbunkowe jeszcze nieczynne.

- A gdzie to biuro?

- Powiedziałem, że nieczynne - sierżant zniecierpliwił się - Jak stąd wyjdziecie, w czwartym namiocie po lewej stronie możecie usiąść i odpocząć. Do pierwszych trzech nie wchodźcie, tam leżą chorzy na tyfus. Macie własne wszy, cudze wam niepotrzebne.

Fakt, mieliśmy własne i nie potrzebowaliśmy dodatkowych. Posiedzieliśmy z godzinę w towarzystwie paru innych poborowych i wyszliśmy.

Biuro werbunkowe mieściło się w drewnianej szopie, która po niejkiej przeróbce mogłaby posłużyć kilku niezbyt wybrednym krowom za oborę. Prowadził tam wydeptany w błocie trakt. Kiedy podeszliśmy do biura, które było jeszcze zamknięte, ustawiła się już przed nim kolejka takich jak my. Nikt nie miał zegarka, ale ustaliliśmy, że dochodzi ósma, i że niedługo komisja powinna rozpocząć

urzędowanie. Tak też było. Przyszło trzech. Sierżant i kapral w mundurach, z nimi jakiś starszy, obdarty cywil. Sierżant stworzył budę i wszyscy trzej zniknęli nam z oczu. Potem pojawił się kapral. Rozejrzał się po kolejce i donośnym głosem zapytał.

- Kto tu uczony?

Wszyscy zaskoczeni milczeli. Wyrwałem się w niejasnym przeczuciu, że to może być szansa.

- Ja...

- Jakie macie szkoły?

Pomyślałem, że gimnazjum może tutaj nie wystarczyć.

- Uniwersytet...

- A czytać i pisać umiecie?

Niektórzy poborowi zaczęli się śmiać. Kapral uznał, że to z niego i spojrzał na wesołków groźnie.

- Melduję posłusznie, panie kapralu, że umiem.

- Tak...

Był zadowolony z odpowiedzi, ale nad czymś się jeszcze zastanawiał.

- Rosyjski znacie?

- Tak jest, panie kapralu. Znam.

- Dobrze - powiedział - biore was do komisji.

Chodźcie.

- Tak jest, panie kapralu.

Błyskawiczny awans z rekruta na urzędnika komisji werbunkowej nie był do pogardzenia.

- Tu macie papier i ołówek. Jak będą podchodzili, to pytajcie i piszcie w kolejności: imię, nazwisko, imię



ojca, rok i miejsce urodzenia, ostatni stopień wojskowy gdzie służył, gdzie był w Rosji i co robił.

Kartki, które wypisywałem, odbierał ode mnie chyba jakiś zawodowy urzędnik, i przepisywał dane na właściwych formularzach atramentem; Ruchem dyrygował kaprał, całość nadzorował sierżant. Robota zwawo posuwała się naprzód, ex urzędnik w łachmanach pracował solidnie, jak dawniej kiedy w krawacie i zarękawkach siedział za biurkiem.

- Imię, nazwisko, imię ojca... - zapytałem kolejnego rekruta i spojrzałem kim jest ten następny. Odpowiedział z uśmiechem. Znałem go. Przebrneliśmy razem ze stacji Czok-Pak do obozu, ale nie dowiedziałem się nawet wtedy, jak ma na imię. Całą drogę był zamyślony i milczący.

- Pana wykształcenie? - zapytałem, bo o to z polecenia kaprała też miałem pytać.

- Uniwersytet Jana Kazimierza - mrugnął do mnie drań - ukończony wydział filozofii...

Nie wiedziałem, jak go zakwalifikować.

- To co mam panu wpisać? Doktor? Profesor?

- Nie. Niech pan wpisze poborowy z cenzusem.

Poborowi podchodzili i odchodzili, a długi wąż oczekujących na rejestrację nie malał. Nie wiem, czy kiedykolwiek, gdziekolwiek i jakkolwiek komisja wojskowa zetknęła się oko w oko z takimi poborowymi. Ci ludzie byli wychudzeni jak szkielety, ubrani w strzepy łachmanów, ale oczy im płonęły. Skąd przybywali? Padały złowrogie nazwy: Peczora... Workuta... Magadan... Wierchojańsk... Jedni przyszli w resztkach butów i walonek, inni mieli na nogach

szmaty, byli tacy, którzy stawili się boso. Wielu nie doszło tutaj, wielu miało zginąć w drodze do Polski, wielu nie wróciło, bo po wojnie bali się powrócić do kraju - Ci okaleczeni nędzarze, to byli późniejsi żołnierze spod Monte Cassino, Bolonii, Bredy, Falais, którzy po wojnie, parszywym zrządzeniem losu, mieli stać się niewygodni dla swoich i obcych.

Wypisywałem kartki bez przerwy do zmroku. Nie czułem głodu, pracowałem jak automat. Kolejny rekrut wymienił nazwisko Szawłowski. Drgnąłem. Czyżby to był znajomy szaman wileński z krzemienieckiego więzienia, który wypróbowywał mnie jako medium. Nazwisko raczej rzadkie. Przyjrzałem mu się. Ten i nie ten...

- Nie poznaje mnie pan? - zapytał cicho, prawie szeptem.

To był Szawłowski, ale gdyby nie jego oczy nigdy bym go nie poznał. Pustelnik tybetański dobrowolnie skazujący się na skrajny głód i niewygodny po dziesięciu latach praktyk wyglądałby lepiej. Szawłowski chwiał się na nogach, sprawiał wrażenie, że za chwilę zemdleje lub wrecz umrze. Podniosłem się zza stołu.

- Panie sierżancie, to mój dobry znajomy. Proszę o natychmiastową pomoc dla niego. On się bardzo źle czuje.

- Niewielu zdrowych tu przychodzi.

- Wiem, ale bardzo pana proszę.

- Dobrze, niech pan tutaj zostanie, sprowadzą sanitariusza.

Podsunałem Szawłowskiemu krzesło.

- Niech pan siada i poczeka chwilę, zaraz ktoś przyjdzie i zabierze pana na izbę chorych.

Szawłowski zaprotestował.

- Po co? Nic mi nie jest. Osłabiłem tylko nieco. Ostatni miesiąc szedłem na piechotę, nie było za bardzo co jeść, a i pogoda była dokuczliwa, ot i teraz sprawiam kłopot... Cieszę się, że pan przeżył.

Szawłowskiego zabrali sanitariusze i nie spotkałem go więcej. Sierżant zamknął budę.

- Na dzisiaj koniec. Zaczynamy jutro od ósmej.

Cywil-kancelista w milczeniu uporządkował swój stół, wstał i wyszedł. Kaprała nie było.

- Niech pan idzie za mną - powiedział sierżant - pokaże panu gdzie będzie pan spał.

W drzwiach natknęliśmy się na jakiegoś oficera. Zatrzymał nas. Miał trzy gwiazdki, wysoki, szczupły, w dopasowanym mundurze, z marszem w oku, słowem wzór oficera każdej armii. Do głowy mi wtedy nie przyszło, że z tym eleganckim kapitanem za sześć tygodni będę jako podchorąży ćwiczyć w jednym szeregu krok defiladowy. Może by do tego nie doszło, gdyby ktoś złośliwy i zazdrosny o zawrotną karierę wojskową znajomka nie doniósł, że ów kapitan oszukał komisję weryfikacyjną, kiedy podawał swój stopień wojskowy. Kapitan Różga, w rzeczywistości plutonowy z cenzusem, śmiał się później, że mu się gwiazdki z belkami pomyliły.

- Jest jeszcze robota, sierzancie - powiedział kapitan. Macie kogoś, kto zna rosyjski?

- Tak jest, panie kapitanie - wskazał na mnie ręką - ten człowiek.

- Dobrze - oficer popatrzył nieprzychylnie na moje łachmany - Przygotujecie listę alarmową wyjeżdżających do Persji. Tutaj macie brudnopis - wyciągnął podkreślony arkusz papieru. - Potrzebne są czytelne dwa egzemplarze. Jeden w języku polskim, drugi w rosyjskim. Kiedy będą gotowe?

Sierżant odpowiedział za mnie:

- Melduję, że za dwie godziny, panie kapitanie.

- Najpóźniej za dwie godziny - podkreślił kapitan - grupa wyjeżdża przed północą, ma zbiórkę o dziesiątej.

- Melduję, że listy będą gotowe na czas, panie kapitanie.

Po jego wyjściu sierżant poklepał mnie po ramieniu.

- No, jeszcze dwie listy i fajrant.

- Już się za nie biorę - powiedziałem - ale zjadłbym coś.

- Jak to, nic pan nie jadł?

- Nic.

- Ależ z pana dureń. Dlaczego nie powiedział pan wcześniej?

- Nie miałem kiedy. Przez cały czas nie wstawałem z krzesła, ciągle podchodzili.

Sierżant zachnął się.

- No i co z tego, że podchodzili. Na obiad był ryż z mięsem i kto był głodny, ten zjadł. Ja zjadłem, kapral zjadł, ten cywil, jak mu tam, też zjadł, a pan gdzie był?

- Przecież mówię, panie sierżancie, że bez przerwy podchodzili. Co miałem zrobić, powiedzieć tym w kolejce, że niech czekają, bo ja idę na obiad?

- Właśnie tak. Najpierw odmeldować się u mnie i iść do kuchni, bez tłumaczenia się tym w ogonku - Nie wiem, może w wojsku się pan jakoś przyjmie, ale urzędnika, to z pana nie będzie. A teraz niech się pan bierze do roboty, bo z kapitanem nie ma żartów. Idę, jak wrócę, to przyniosę panu coś do zjedzenia.

Poszedł. Wziąłem się do roboty i raptem... poczułem się jak mysz przed pułapką pełną sera. Zaraz, zaraz, nie spiesz się idioto - podpowiadał mi diabeł - obiadu, frajerze, nie zjadłeś. bo jesteś osioł nie urzędnik, kolacji też nie zjesz, ale czy musisz być durniem do końca? Dlaczego na przykład nie miałbyś wyjechać do Persji w pierwszej kolejności, jeszcze dziś? Zastanów się! Robisz tę listę, to się na niej dopisz! Po krótkim namyśle wiedziałem, że diabeł nie zawsze źle radzi. Miałem do przepisania czterdzieści parę nazwisk uzupełnionych datą urodzenia, stopniem i specjalnością wojskową. Na liście przeważali podoficerowie z broni pancernej, lotnictwa i łączności. Dodałem sobie dwa lata i wpisałem siebie jako zawodowego szofera mechanika. Na liście było dwóch takich i pomyślałem, że nic się nie stanie, jeśli zamiast dwóch szoferów pojedzie do Persji trzech.

Kończyłem już tłumaczenie, kiedy wrócił sierżant.

- Jak idzie?

- Dobrze, panie sierżancie, jeszcze parę minut i

gotowe.

- Obie listy?

- Obie.

- To muszę pana pochwalić. Powiedziałem kapitanowi, że zrobimy listy za dwie godziny, ale później bałem się, czy pan zdąży. Bo wie pan - sierżant oparł się o mój stół, nachylił się i ściszył głos do poufałego szeptu, - ten drugi cywil, no wie pan o kim mówię... ten starszy, to parę dni temu robił takie same listy od rana do wieczora. I żeby tylko to. Panie, kapral biegał z jego menażką z biura do kuchni i z powrotem, bo odgrażał się, że głodny do nocy nie skończy roboty. Szelma, - sierżant niechybnie wlał w siebie coś mocniejszego - dla niego nie miałem - uśmiechnął się chytrze - ale dla pana mam. Robota skończona i czas, żeby pan coś zjadł. Wyciągnęła butelkę z złotawym płynem i chleb. Nalał sobie i mnie.

- No to na zdrowie.

Bimber o zapachu nafty odrzucił mnie tak, że mało nie spadłem z krzesła. Sierżant był rozbawiony.

- Wojna, kolego. Pije się co jest. Na razie mamy tylko to świństwo, ale pijąc niech pan pomyśli sobie, jak będzie panu smakowała po wojnie nasza ojczysta z białą główką.

Zrobił nawiedzoną minę świętego, któremu objawił się Pan Bóg, potem skrzywił się i powiedział:

- Na razie to świństwo. No, to cykl na drugą nogę.

Druga szklanka poszła mi lepiej. Sierżant spojrzał na zegarek.

- O psiakrew, już dziewiąta. Chodźmy. Zamelduje się u

kapitana i potem pokaże panu gdzie pan będzie spał.

Wiedziałem, że zbiórka jest o dziesiątej, ale nie wiedziałem gdzie. Sierżant był sympatyczny, ale mógłby nie okazać zrozumienia, gdyby się dowiedział, gdzie mam zamiar spać tej nocy. Lepiej było zachować to dla siebie.

Szliśmy drogą między namiotami, z których tylko z rzadka przesączało się przez szpary światło. Obóz był dużo większy niż przypuszczałem. Jak dotąd nie martwiłem się, czy odnajdę miejsce zbiórki. Myślałem, że obóz jest niewielki, że po prostu przejdę się po nim przed dziesiątą i natknę na "swój" oddział. Nie liczyłem się z tym, że odnalezienie miejsca zbiórki może wcale nie być takie łatwe. Szliśmy w zupełnych ciemnościach, sierżant przyświecał sobie latarką.

- Daleko jeszcze?

- Nie, niedaleko...

- Ale tu ciemno. - podtrzymywałem rozmowę - żeby można sobie powybijać.

- A można.

- To jak tu, panie sierżancie, trafią na zbiórkę ci z listy?

- Trafia.

- A gdzie w obozie jest plac zbiórek?

- Blisko stąd, koło dowództwa.

- Po tym bimbrze we łbie mi się kręci - poskarżyłem się.

- Ha, ha - roześmiał się sierżant - mocny był bimber, co?

- Jak cholera mocny. Ale pan ma głowę, panie sierżancie...

- Już wtedy wiedziałem, że tak trzeba. Kobięcie mówić, że jest piękna, a trunkowemu, że ma twardy łeb.

- Nie to co kiedyś - zaprzeczył bez przekonania - ale pod dobrą zakąskę i likierek jeszcze się wypije.

Zatrzymaliśmy się przed jakimś namiotem. Sierżant kazał mi poczekać. Słyszałem, że melduje o wykonaniu rozkazu. Ktoś coś powiedział, na co sierżant odparł, że - "tak jest, panie majorze" - trzasnął obcasami i wyszedł na zewnątrz z załoną latarką.

- Idziemy...

Uszliśmy jakieś trzysta kroków. Sierżant rozchylił płachtę do jednego z namiotów. Wewnątrz paliła się naftowa lampa, stały cztery prycze, jedna była wolna.

- Tutaj będzie pan spał. Rano do kuchni na śniadanie i na ósmą do biura, nie lubię, jak się ktoś spóźnia.

Sierżant nie przewidział, że zaraz straci urzędnika i że zetknie się z nim przypadkowo w dalekim Teheranie.

- Dobry wieczór - powiedziałem obecnym po wyjściu sierżanta.

Trzej obszarpani cywile mruknęli w odpowiedzi - dobry wieczór.

- Pan nowy? - zapytał jeden z nich.

- Nowy. Jestem tu od dzisiaj i mam przydział do biura werbunkowego.

- Z daleka?

- Z Uralu.



- To blisko.

- Jak dla kogo.

Nie miałem czasu na wdawanie się w dłuższą rozmowę. Chciałem tylko dowiedzieć się, gdzie jest ten cholerny plac zbiórek. Właściwie to mogłem się zapytać wprost i wyjść pod byle pretekstem. Nie zrobiłem tego. Byłem wolny, ale nie umiałem tak do razu wyzbyć się więziennych nawyków: często niepotrzebnej podejrzliwości wobec otoczenia. Toteż zamiast iść do celu prostą drogą zacząłem obłudnie.

- Jaki macie tutaj, panowie, rozkład dnia?

- Jaki tam rozkład. Nic nie robimy. Rano śniadanie, potem obiad i kolacja. Czekamy na umundurowanie i przydział.

- Od dawna?

- Od tygodnia.

- I co, nie macie żadnych zbiórek, sprawdzania obecności?

- Mamy, chodzimy na zbiórki codziennie rano.

Nadstawiłem ucha.

- Sierżant coś mi wspominał o jakimś placu koło dowództwa. Czy to tam jest miejsce zbiórek?

- Tam.

- A gdyby trzeba było trafić, to jak?

- Nietrudno. Z namiotu na prawo, kilka minut spaceru.

- A gdzie jest kuchnia?

- Pokażemy panu jutro.

Podziękowałem za rozmowę i tłumacząc się zmęczeniem

położyłem się na pryczy. Zacząłem udawać, że śpię i namyślałem się nad tym, jak najlepiej wyjść z namiotu bez wywołania komentarzy. Jest taki jeden niezawodny sposób na wymknięcie się z każdego towarzystwa. Za tak zwaną potrzebą. Po pięciu minutach zerwałem się z pryczy, trzymając się za brzuch.

- Gdzie tu latryna?

- Z tyłu za namiotem.

- Dziękuję... - krzyknąłem i wyrwałem przed siebie.

Skreśliłem w prawo. Według moich obliczeń dochodziła dziesiąta. Potykając się co parę metrów, biegłem pospiesznym truchtem między namiotami. Nie było żywego ducha. Dopiero na placu zobaczyłem ludzi. Błyskały latarki.

- Ustawić się w dwuszeregu. Jakiś oficer trzymał przed lampą sporządzoną przeze mnie listę. Zaczął wyczytywać nazwiska. Stałem spokojnie, wiedząc, że nie ma obawy, aby miało mnie w tym spisie zabraknąć. Skończył i zapytał:

- Czy ktoś z obecnych nie został wyczytany?

Nie znalazł się nikt taki. Po chwili ruszyliśmy w stronę stacji kolejowej Czok-Pak. Załadowaliśmy się do wagonu. Niezbyt długo zabawiłem w tym Czok-Paku. Deski wagonu są jakieś miękkie. Zmęczenie i bimber robią swoje. Współlokatorzy namiotu pewnie myślą, że utopiłem się w szambie, a ja śpię jak zabity. Kapral będzie musiał jutro poszukać sobie następnego "uczonego". Pociąg turla się w kierunku Krasnowodzka, nad morze Kaspijskie. Życie jest piękne. Jadę jakby pierwszą klasą. Już nie jak przybłęda,

ale wyczytany z listy, zaprowiantowany jak wszyscy, poborowy polskiej armii. Specjalista szofer-mechanik. Nikt tutaj nie wie, że za kierownicą samochodu nigdy nie siedziałem i że z dwóch pozyskanych ostatnio specjalności lepszy ze mnie tramwajarz niż szofer. Toteż nie mam zamiaru podejmować dyskusji na temat wyższości naszych fiatów nad czeskimi skodami. Otrzymywany przez nas nieregularnie suchy prowiant jest dużo skromniejszy od tego, którym karmił swoich podopiecznych komendant porucznik inżynier. Chleb i suszona ryba. Wszy jakba w przeczuciu, że wkrótce będziemy się starali ich pozbyć, gryza niemiłosiernie. Obieramy się z nich przy piecyku. Rzucane na rozpaloną do czerwoności płytę pękają z trzaskiem, żegnane wesołymi okrzykami. Po paru dniach po raz pierwszy w życiu widzę morze. Zbliżamy się do Krasnowodzka. Jest zimno, pada deszcz. Zatrzymujemy się na boczniczy towarowej, tam odczepiają nasz wagon z kilkoma innymi, żeby po krótkim postoju skierować nas do portu. Teraz kaza nam wysiąść i ustawić czwórkami. Idziemy w kierunku wysuniętego daleko w morze mola, odgrodzonego na całej szerokości masywną, żelazną siatką z bramą pośrodku. Brama jest otwarta, stoi przed nią kolumna oczekujących na zaokrętowanie. Czoło kolumny jest jednolicie zielone, reszta brudnoszara. Umundurowane wojsko bez broni i niby wojsko w łachmanach. Stoimy na końcu kolumny, jakieś sto metrów od bramy. Jeszcze godzina, dwie i przez bramę przepuszczają pierwsze czwórki. Zaczynamy z wolna przesuwac się do przodu. Za sobą mamy jakiś oddział, który

dołączyli do kolumny po nas. Brama coraz bliżej. Podchodzi do nas polski oficer łącznikowy.

- Przygotować dokumenty. Rubli zabierać ze sobą nie wolno. Nie muszę chyba nikomu tłumaczyć, czym grozi niepodporządkowanie się temu zarządzeniu - powiedział i poszedł dalej.

Świat pociemniał mi w oczach. Na moment zrobiło mi się słabo. Dokumenty. Parszwy skrawek papieru ważniejszy od człowieka. Skąd ja je wezmę?

- Ruble macie? - zapytał mnie jeden z dwóch oficerów NKWD.

Obok nich stał, przypatrując się kontroli, kapitan w polskim mundurze.

- Nie mam...

- Na pewno?

- Nie mam.

- W porządku, wasz dokument?

- Też nie mam.

- Jak to nie macie? - zdziwił się.

- Zgubiłem. - Nikt nie wymyśliłby lepszej odpowiedzi.

Polски kapitan popatrzył na mnie obojętnie.

- Stańcie na boku.

Z sercem walącym jak młot stanąłem, gdzie mi kazali. Nic nie mogłem zrobić, mogłem tylko stać i czekać na to, co ze mną zrobią. Topiłem się przy samym brzegu. Wszyscy przeszli, kapitan zsalutował i też sobie poszedł. Zostałem sam z dwoma oficerami NKWD.

- Nu, czto z tobój? Nie imiejesz nikakoj bumagi?

- Ja miałem nawet attiestacju odpuska iz tiurmy, no potieriał.

Odeszli parę kroków i po cichu zaczęli się naradzać.

- Nu, ładno, idi - powiedział starszy z dwójki - prisojediniajsia k swoim towariszczam.

Narada wypadła na moją korzyść. Czemu to zawdzięczam - nie wiem do dziś. Może uznali, że nie przedstawiam swoją osobą żadnej wartości dla nich, dla swoich zresztą także, bo w przeciwnym razie miałbym jakiś dokument. A może po prostu poleđili się i chcieli się pozbyć kłopotu ze mną. Tak czy inaczej przekroczyłem szczęśliwie ostatnią barierę i, klusem pobiegłem przed siebie, byle prędzej na statek. Był to tankowiec o nazwie bardzo w tym czasie popularnej: "Stalin"; zaniedbany, odrapany, i obskurny; kłócił się z uświęconym wizerunkiem wielkiego wodza narodu.

Zadyszany, po chwiejnym trapie, jako ostatni wspiałem się na pokład.

Cześć druga.

Z Teheranu do Warszawy, w  
niezamierzonej roli Odysseusza  
1942 - 1948

Odbiłem się od dna. Najgorsze miałem za sobą. Rosję ze wszystkimi jej plagami. Cokolwiek teraz miało się zdarzyć, mogło być tylko lepsze. I było, ale narazie gryzły mnie wszy, a ja ich żywiciel skręcałem się z głodu. Podróż do Persji nie zapowiadała się wygodnie. Mieliśmy ją odbyć na tłustym od ropy, mokrym i zimnym, zatłoczonym do granic możliwości stalowym pokładzie, pod otwartym niebem. Trzy słone śledzie i kawałek chleba miały nam wystarczyć jako pożywienia na czas przepłynięcia morza. Wypadał jeden śledź dziennie na jednego żołnierza.

Historia ponoć lubi się powtarzać. W zamierzonych czasach, w roli generała Sikorskiego wystąpił Mojżesz, który suchą nogą, za pomocą swojej magicznej laski, wyprowadził Żydów z Egiptu przez Morze Czerwone. Generał nie miał takiej laski, ale bał o podobnie cudownych właściwościach, który sam na siebie ukrecił Stalin - Niemcy, jego niedawni sojusznicy, w złych zamiarach stali pod Moskwą, by wykurzyć go z Kremla. Nowi sprzymierzeńcy, wśród których zrzędzeniem losu znaleźli się Polacy, byli dla niego ratunkiem, za który, pechowo dla siebie i

szczęśliwie dla takich jak ja, musiał zapłacić. Zapłacił z przekonaniem wytrawnego gracza, który przegraną w kasynie traktuje jako chwilową pożyczkę udzieloną właścicielowi.

Na m/t "Stalin" umundurowane wojsko zostało rozlokowane w dziobowej części i odgrrodzone od nas łańchmaniarzy przeciągniętą liną. Ta separacja miała na celu ochronę umundurowanych przed naszymi insektami zabieg idiotyczny, bo wszy mieli wszyscy.

Ubikacje były pomyślane dla podróżnych pozbawionych lęku przestrzeni. Były to deski wysunięte za burzę statku, na których należało akrobatycznie przysiąść i wypróżnić się wprost do morza. Było parę wypadków kąpieli, ostatniej w życiu tych, którzy się poślizgnęli albo zasiabli. W czasie wojny na wszystkich morzach okrzyk "człowiek za burzą" był daremny, statek trzymał kurs.

- Cumy rzuć!

Bez pożegnania z orkiestrą, bez hymnów narodowych, m/t "Stalin" wykradł się z Krasnowodzka, oddalał się w szarudze od portowego nabrzeża i zanurzał w ciemność zimnej kaspijskiej nocy. Siąpił deszcz. Znalazłem miejsce pod nadbudówką mostku kapitańskiego, usiadłem na pokładzie, wyjąłem śledzia i z komfortem zacząłem go obgryzać, pomagając sobie w przelykaniu ości chlebem.

- Pan to może jeść?

Siedząca obok mnie postać, którą w ciemności trudno było dostrzec, poruszyła się.

- A Pan nie lubi śledzi?

- Ja już nic nie lubię. Namysłam się, czy nie

wyskoczyć za burtę i nie skończyć z tym wszystkim!

- Niech Pan poczeka. Wyskoczy Pan jak dopłyniemy do perskiego brzegu. Też mam zamiar tam wyskoczyć. >

- Żartuje Pan, bo Pan nie wie co przeżyłem.

- A zna Pan innych na tym statku? Ważne to, że Pan przeżył. Niech się Pan z tego cieszy.

- Chciałbym, wiem że powinienem i nie umiem... - rozplakał się.

Lindmajer - tak bowiem nazywał się mój rozmówca - przed wojną ukończył trzeci rok politechniki lwowskiej. Wpadł na granicy, przemycając się z GG do Lwowa. Kiedy go złapali, znał się już nieźle na konstrukcjach dróg i mostów, ale nie umiał się obronić przed zarzutem szpiegostwa; nie przekonał śledczych z NKWD, że nie ma z tym nic wspólnego. Dostał "ulgowo" 10 lat, z których kilka miesięcy spędził w łagrze na Dalekiej Północy. Zniewieściały typ intelektualisty w okularach, nie był nawet nigdy na obozie harcerskim, a trafił z miejsca do łagru, gdzie najsilniejsi ginęli jak muchy. Przyłgnał do mnie, głupszego, ale silniejszego od siebie. Za takiego mnie przynajmniej uważał. Stare to jak świat, że cudza słabość pomaga w zwalczaniu własnej. Czułem się jak ksiądz krzepiciel dusz, z tym, że nie obiecywałem Lindmajerowi niczego takiego, jak zbawienie wieczne, ale mundur i oficerską przyszłość w wojskach saperskich. Tak w niezłym stanie dotrwał do Persji, gdzie straciłem go z oczu.

Ktoś jak majtek Krzysztofa Kolumba wrzasnął trzeciego dnia, że widzi ląd. Nie pomylił się. W południe rzuciliśmy



kotwicę na redzie portu Pahlawi. Wyokrętowanie rozpoczęło się następnego dnia. Pod burzę m/t "Stalin" podpiłyneła fera portowa, żeby zabrać pierwszych pasażerów. Nie było zamieszania. Pierwsze opuściły statek kobiety z dziećmi. Ale kiedy podpiłyneła drugi raz, sprawa się skomplikowała. Dwaj oficerowie sztabowi skoczyli sobie do oczu. Jeden uważał, że kolejno powinni być wyokrętowani cywile, drugi, że umundurowane wojsko. Nasz sojusznik upierał się przy tym, że jesteśmy obdarci i dlatego należy się nam pierwszeństwo, jego kolega wściekał się, że nie poprowadzi na ląd barachła, to znaczy nas, łachmaniarzy. On też, ten elegant, zwyciężył w sporze. Fera była niewielka i ściemniało się, zanim kolejka do nas doszła. Pokołysaliśmy się więc przez noc na pokładzie m/t "Stalin" i rano w drodze do portu pokrzepiliśmy się pieśnią "Marsz, marsz Polonia..."

Stanęliśmy na perskim brzegu. Byli tacy co wygrażali pięściami m/t "Stalinowi", czego nie rozumiałem, bo sam czułem się wdzięczny kapitanowi i załodze za to, że mnie tutaj przywieźli. Innym coś się pomyliło i całowali ziemię, tak jakby ich m/t "Stalin" dowiózł nie do Pahlawi ale do Gdyni. Angielski korespondent wojenny w mundurze porucznika używał sobie małoobrazkowym kodakiem. Poprosił mnie o miły wyraz twarzy. Nie odmówiłem i z rybą w jednej ręce, a z lepioszką w drugiej, wykrzywiłem się do obiektywu. Marynarkę przehandlowałem z Persem za lepioszkę i rybę prawie natychmiast po zejściu na ląd. Zostałem w swoich dwóch koszulach i ci, którzy oglądali kiedyś moje

zdjęcie, na pewno zastanawiali się, czy nie było mi zimno na Dalekiej Północy. Umundurowane wojsko poszło na czystą plażę, my na brudną. Wszy mieliśmy wszyscy - oni w swoich mundurach, my w swoich łachach, ale oni mieli mniej i jakiś podział musiał być. Tym bardziej, że oni po łaźni i dezynfekcji mieli z powrotem założyć swoje odwszone mundury, a nasze odzienie miało być bezpowrotnie spalone razem z paskudnym przychówkiem. Brudna plaża była przestrzenna, świeciło słońce, ostry zimny wiatr powiewał od morza. Na wilgotnym piasku rozłożyły się różne oddziały obdartych cywili udających wojsko. Niektóre przebywały tutaj od paru dni. Po rozmowie z jakimś przyszłym ułanem z sąsiadującego z nami oddziału, który powiedział, że na umundurowanie czeka już od 5 dni a jedzenie jest tu takie, że gdyby miał siodło to dawno by je zjadł, poczułem się nieswojo i zacząłem się zastanawiać, czy nie za lekkomyślnie pozbyłem się swojej marynarki. Przed wieczorem ustawiliśmy się w miejscu, gdzie miała podjechać kuchnia polowa z gorącą kolacją. Nie podjechała. Dostaliśmy tylko do dwie kostki suszonych daktyli z wyjaśnieniem, że to musi nam wystarczyć do rana. Byliśmy rozczarowani, ale nie na tyle, żeby żałować przyjazdu do Persji.

- Kurwa ich mać - zaklął jakiś poborowy - z naszego oddziału, ale nie dopowiedział kogo ma na myśli, swoich, Rosjan czy Anglików, czy też wszystkich razem. Noc zapowiadał się zimna. Zacząłem się rozglądać za miejscem do spania. Wybrałem spory dołek, z którego na mój widok

uciekł z podwiniętym ogonem jakiś miejscowy kundel. Położyłem się na jego miejscu i spróbowałem zasnąć. Nic z tego, nie udało się. Przeniosłem się w inne miejsce i ponowiłem próbę zaśnięcia w pozycji siedzącej z głosą na kolanach. Też na nic. Zdrętwiałem z zimna zamin zasnąłem. Cierpiałem za dwa grzechy główne, których człowiek, jeżeli jest łachmaniarzem, nie powinien się dopuszczać. Los ukarał mnie za porzucony z lenistwa worek i przehandlowana marynarkę.

Może łagodnie szumiało, gwiazdy patrząc jak trzepocze się z zimna na piasku mrugały do siebie:

- Ryba to czy człowiek?

W tym, co miałem na sobie, na perskiej plaży byłem skazany na rozgrzewające biegi przy księżycu i drzemki kiedy świeci słońce. Resztę nocy przepląsałem jak rzucany z miejsca na miejsce epileptyk. Wschód słońca zastał mnie daleko od wbitej w piasek tyczki wyznaczającej miejsce postoju naszego oddziału. Wyszło słońce i plaża ożyła. Z piasku wyrastały ludzkie postacie, snuły się tu i tam, pobrzękiwały nieodłącznymi kociołkami i zbierały się w grupy. Dobrnałem do swojej tyczki. Po drodze podniosłem wyrzuconą przez kogoś blaszaną puszkę. Nie miała drucianego uchwyty, który nadałby jej rangę kociołka, ale i tak nadawała się na naczynie stołowe. Wyszorowałem ją piaskiem i ustawiłem się w kolejce po śniadanie. Drugi dzień na plaży zaczął się obiecująco: Kuchnia tym razem podjechała ze smaczną kaszą, zaraz po śniadaniu były daktyle i ... przydział angielskich papierosów. Wypaliłem

kilka, resztę wymieniłem na daktyle. Po południu bombowa wiadomość: Idziemy do łaźni i po mundury. Żegnajcie łażmany, wszy i wszystko co poza nami. Zaczynamy życie po raz drugi. Naprzód! Najpierw do łaźni. Dołączamy dziarskim krokiem do długiego szeregu takich jak my, wezwanych do kąpieli parę godzin wcześniej.

Trudno ustalić, kiedy ludzie ustawili się pierwszy raz w kolejce, ale było to pewno bardzo dawno. Nie ulega też wątpliwości, że od tego czasu ludzie coraz niechętniej ale zarazem coraz częściej stoją w kolejkach z różnych przyczyn. Nasza do łaźni była przykładem tego, czym kolejka powinna być. Stali w niej ludzie cierpliwi, przestrzegający porządku, wzajemnie sobie życzliwi, uśmiechnięci i zadowoleni. Było gwarно i wesoło. Wszyscy parsknęli śmiechem, kiedy ktoś głośno opowiedział przygodę, która mu się przydarzyła w innej kolejce. W listopadzie, po wkroczeniu Czerwonej Armii, a mieszkał wtedy w Trembowli, żona wysłała go po słoninę, bo dowiedziała się od znajomej, że w tajemnicy przed władzą radziecką kum tej znajomej będzie bił świnie na sprzedaż. Stanął w kolejce do chałupy właściciela świni i z innymi wtajemniczonymi stał parę godzin. Kiedy kolejka zrezygnowała już ze słoniny i chciała dopaść gospodarza, żeby mu podziękować za nadaremne stanie na deszczu, ten dysząc ciężko pojawił się od ulicy w furtce ogrodu. Rozłożył bezradnie ręce i powiedział - uciekła. Wylazła z chlewa, przelazła przez dziurę w płocie i zginęła. W ostatniej chwili, bo nóż na nią miał już zaostrzony. O tej

świni zameldował milicji, która zapowiedziała, że zaraz przyśle swoich specjalistów, więc lepiej będzie, jak wszyscy rozejdą się do domów. Nasz kolega z kolejki wymarzył porządnie, więc po drodze wstąpił do znajomego na kieliszek. W domu żona urządziła mu awanturę, a że była przy świńskim temacie, nawymyślała mu od najgorszych świń i pijaków.

Ucieczka świni miała swój epilog: złodziej, który nie zdążył przed przybyciem milicji zaszlachtować zwierzęcia i ukryć mięsa, bronił się później, że on wieprza nie ukradł ale uprowadził, żeby ocalić dla władzy radzieckiej. Ubić i nielegalnie sprzedać świnię chciał jej właściciel, znany kułak i przeciwnik rewolucji, na co on prawy obywatel, nie mógł pozwolić. Jemu należy się nagroda, nie kara. Sprawa skończyła się szczęśliwie dla milicji, która zarekwirowała świnię na własny użytek. Mniej szczęśliwie dla złodzieja, który dostał parę miesięcy za pospolite przestępstwo, i zupełnie źle dla właściciela, który został oskarżony o sabotaż gospodarczy i poszedł na długo za kraty jako polityczny.

Było nam wesoło, ale z upływem czasu ożywienie przygasło i rozmowy przycichły. Kolejka posuwała się bardzo wolno i przed wieczorem kiedy od wejścia do łaźni dzieliło nas jeszcze kilkanaście metrów, utknęła na dobre. I stało się. Nie mieliśmy tego dnia rozpocząć życia po raz drugi. Zabrakło mundurów. Wróciłem pod tyczkę i podniosłem swoją blaszaną puszkę, którą z pogardą wyrzuciłem parę godzin wcześniej, kiedy marzyła mi się błyszcząca niklem

piękna angielska menażka z nożem, łyżką i widelcem.

Czekała mnie druga noc na brudnej plaży. Ten sam księżyc, te same migotliwe gwiazdy, ten sam wilgotny piasek, cichy szept morza i... całe to piękno natury mógł - dla mnie - trafić szlag, razem z tymi, którzy nie dowieźli mundurów. Gciemniło się, powiał wiatr, morze pojaśniało białymi grzebieniami. Po północy zaczął padać deszcz. Do świtu było jeszcze daleko, kiedy miotając się z miejsca na miejsce dokonałem wspaniałego odkrycia. W pierwszej chwili wydało mi się, że to leży człowiek, potem że duży pies. Ale nie, to nie był człowiek ani pies. Ten ciemny kształt na piasku to był... barani kozuch. Po parowej odwszalni zesztynniały i pomarszczony, ale kozuch. Na pewno zawszony, ale kozuch. Okręciłem się nim i zasypiając pomyślałem, że życie nie jest jednak takie złe. Gnily mi się wszy, a oznacza to pieniądze. Sen się sprawdził. Kiedy się obudziłem ujrzałem nad sobą Persa. Dawał mi do zrozumienia, że chce kupić mój kozuch. Pokazałem mu 3 palce, on pokazał mi 2. Kiwnąłem głową na zgodę. Po błyskawicznym niemy targu rozbiegliśmy się w przeciwnych kierunkach. Pers z kozuchem, ja z dwoma tumanami w kieszeni. Kiedy byłem dostatecznie daleko, żeby nie obawiać się reklamacji otrzepałem się z wszy i zadowolony z pomyślnie rozpoczętego dnia udałem się pod tyczkę. Kasza, daktyle, papierosy - i do łaźni.

- Za wcześnie przyszliście, mundury przywioza po południu. Jaki to oddział?

- Specjalny.

- Do żarcia specjalny? Może do bab?

- Do tego, żeby ci łachudro mordę obić!

Fryzjer w białym tle, który wyszedł przed łaźnię w wesołym usposobieniu ale bez zamiaru oberwania po pysku, szybko się zmył. W kolejce odezwały się zagniewane głosy.

- Co oni, skurwysyny?

- Ile nam każą czekać?

- Przywiozę mundury, zabraknie im wody!

- Albo mydła!

Wyszedł starszy sierżant o postawie zawodowego żołnierza.

- Co tu się dzieje? Wojsko czy cywil banda do jasnej cholery!

- Wojsko - odezwał się ktoś z kolejki słuźbiście. - Melduję, że z alarmowej listy panie starszy sierżancie.

- Tu się wszystkim cholernie spieszy - powiedział ostro i nagle zmiękł. Miał przed sobą kolegów podoficerów, nie rekrutów - na dziś jesteście pierwsi na liście, ale co ja zrobię, jak nie ma mundurów. Przywiozą, będziecie wezwani. A teraz odmaszerujcie do miejsca postoju i czekajcie.

A więc trzeba będzie poczekać. To nic nowego. Właściwie życie ludzi polega na czekaniu. Na doczekaniu się jednego i czekaniu na drugie. Z tym, że raz czeka się łatwiej, raz trudniej. Nikt przed kolacją nas nie wezwał i popijając daktyle kawą wiedziałem, że trzecia noc na zaśmieconej plaży mnie nie ominie. I przykro mi przyznać się, że od tej nocy Persja, kolebka wielkiej starożytnej

cywilizacji, nie kojarzy mi się nawet ze słynnymi tamtejszymi kotami i dywanami, ale z wszami i daktykalmi. Po północy szwendałem się po piasku. Zmęczony ułożyłem się w jamie, którą ktoś wygrzebał sobie na nocleg. Z paskudnych nocnych przywidzeń otrząsałem się o poranku. Pobiegłem po plażę dla rozgrzewki i pod tyczkę. Kasza, daktyle, przydział papierosów i... wzywają nas do łaźni. Maszeruje ochoczo i po drodze wyrzucam swoją blaszaną puszkę. Za siebie. Żeby do niej nie wrócić.

- Pięciu następnych...

Jestem w tej piątce.

- Rozbierać się!

Wynoszą moje łachmany do spalania.

- Do fryzjera!

Maszynka i brzytwa pierwsze od Uralu. Są nożyczki, można przyciąć połamane paznokcie.

- Po mydło!

Niech żyje mydło.

- Pod prysznic!

- Do lekarza!

Ogląda, osłuchuje, obmacuje.

- Tu boli?

- Tu boli?

- Nie.

- Tam boli?

- Nie.

- Odmrożenia są?

- Nie ma.



- Waga: czterdzieści.

- Wzrost: sto siedemdziesiąt pięć.

Patrzy na mnie z uśmiechem i mówi do asystującego mu sanitariusza:

- Zapiszcie: Awitaminoza i ogólne wycieńczenie, reszta w porządku. Zdolny do służby liniowej.

- Po mundur...

To mój drugi mundur, po drelichach z trzydziestego dziewiątego. W nim - na wojnę. Tę samą. Niech biją pioruny i niech czasami świeci słońce. Ale tymczasem kapral - gaciowy daje mi tenisówki zamiast skarpet i butów, battledress, koszulę, płaszcz, menażkę i trzy koce. Jemu gaciowemu właśnie gaci zabrakło. Głupstwo. Przeżyje. rozbieranie się przed jakąś tam damą mi nie grozi. Przemarsz na czystą plażę. Nie ma tu lampionów ani tańczących dziewcząt z wysp karaibskich, ale nie ma też wszy. Wszystkiego w życiu przecież mieć nie można.

- Nie jest źle - mówi Józio Balicki, - ale mogliby tutaj postawić nam namioty.

Trochę namiotów na czystej plaży było, nasz oddział stał pod gołym niebem. Od paru godzin byłem żołnierzem artylerii przeciwlotniczej. Nasz pluton wchodził w skład 8 Dywizji Piechoty. Zaraz po przybyciu na czystą plażę, z czyjegóż rozkazu rozwiążali oddział specjalny. Poutykali nas tu i tam, a ja nie wiedzieć dlaczego trafiłem do dywizyjnych pelotek, tylko z nazwy, bo podział na bronie był na niby: kawaleria nie miała koni, artyleria dział, itp. Józek był starszym ode mnie o parę dni artylerzysta.

O działach pe-lot wiedzieliśmy tylko tyle, że polskie należały do najlepszych, i że we wrześniu mieliśmy ich mało, bo Anglicy, którzy wiedzą co dobre, wykupili je od nas. Byliśmy rówieśnikami. Z Tarnopola do Persji Józek zboczył nad Peczorę, którą wspominał jak najgorzej, bo w lecie pokąsały go tam straszliwie komary. Był wysoki i chudy. Wyróżniał się małokosmetycznym wyglądem. Na śledztwie w NKWD stracił przednie górne zęby <sup>co</sup> od - jak sam mówił - upodobniło go do psa. Miał pogodne usposobienie i kiedy się śmiał obnażał dwa kły. Z jedzeniem radził sobie dobrze, z dziewczynami szło mu gorzej. Wybrzydzały, nie chciały się z nim całować. Cierpiał z tego powodu aż do Anglii, gdzie uzupełnił sobie tarnopolskie ubytki. Po paru dniach, był początek kwietnia wyruszyliśmy ciężarówkami wynajętymi od Persów przez Kazwin do Teheranu. Przez zielone doliny i ośnieżone przełęcze, drogą również malowniczą co niebezpieczną. Rozklekotane ciężarówki trzesy nami do nieprzytomności. Przydrożne szpalery zebraków prosiły o jałmużne, Bakszysz...

- W Rosji pracują, tutaj zebrzą - zauważył Józio filozoficznie. - Jedno się nie opłaca, i drugie się nie opłaca. Najlepiej być złodziejem jak Anglia...

- Tak uważasz - wtrąciłem przyznając mu w duchu rację.

- A tak - potwierdził Józio zaczepnie. - A skąd oni mają swoje kolonie? Może kupili, jak Amerykanie Alaskę od cara? Nie bracie, nie kupili, po diabła mieli kupować coś co mogli bezkarnie ukraść. A my co? Tłukliśmy się z Turkami pod Wiedniem zamiast się z nimi podzielić tym co

było...

Józio rozpuścił język, nawymyślał Anglikom od złodziei, a Jana III uznał za konia trojańskiego przyszłych rozbiorów Rzeczypospolitej, wręcz odpowiedzialnego za jego, Józia, pobyt nad tą cholerną Peczorą.

Tak gawędząc sobie o historii starszej i nowszej dojechaliśmy do Teheranu. Zostaliśmy zakwaterowani w nieczynnej fabryce amunicji zbudowanej na początku wojny przez Niemców, którzy chcieli w tym czasie przełknąć nie tylko Europę, co nawet z pokrzepiającym hasłem "Gott mit uns" trudno by było im zrobić bez środków wybuchowych. W hali fabrycznej stały rzędy czeskich obrabiarek. Pod jedną taką rozłożyliśmy się z Józkiem na nocleg. Wczesnie rano następnego dnia musztra. Chyba zwariowali! Każą nam ćwiczyć krok defiladowy w tenisówkach po kocich łbach fabrycznego dziedzińca: Ćwiczymy a prowadzący zajęcia plutonowy wścieka się, że nie słyszy przybijania. Więc tupiemy mocniej, codziennie od 5 rano. Po tygodniu zmieniam oddział, przechodzę z artylerii Pe-lot do kompanii sztabowej. Dzieje się tak za sprawą Persów, którym zachciało się rozegrać z Polakami dwa mecze, w szczypiorniaka i siatkówkę.

Porucznik, który kompletuje polską drużynę, nie bardzo ma z czego wybierać i przyjmuje mnie chętnie. Już nie wstaje o piątej rano, żeby lepiej opanować krok defiladowy. Jestem sportowcem przeniesionym do kompanii sztabowej. Jest nas tych sportowców w kompanii ze

dwudziestu i rzucanie do siebie piłką na pobliskim lotnisku rozpoczynamy od godziny 11. Mecz ma się odbyć za parę dni. Kompanii sztabowej Niemcy chyba by się nie przestraszyli. Nasi koledzy ze sztabowej nie byli wprawdzie w wieku weteranów z powstania styczniowego, ale nie sprawiali również wrażenia, że przejdą Wisłę i Wartę. Byli to starsi wiekiem zawodowi podoficerowie, którym nie dane było doczekać emerytury. Teraz z należnych im przywilejów korzystał i my sportowcy. Stałem po kolejnym treningu z menażką po obiad, kiedy usłyszałem znajomy głos.

- Nie poznaje mnie pan?

Za mną też po obiad stał sierżant - szef biura werbunkowego z Czok-Pak.

- Ucieszyłem się. - Dawno Pan w Teheranie?

- Od wczoraj.

- Ja od kilkunastu dni. Przepraszam, że Panu tak zwałem wtedy z biura.

- Niech pan nie przeprosza, chcę panu coś powiedzieć. Siądźmy gdzieś razem. Sierżant uniósł głowę z nad menażki.

- Nie miał pan żadnych kłopotów? - Zapytał.

- Nie miałem - odpowiedziałem zaskoczony - a dlaczego miałem mieć?

- Żandarmeria pana szukała.

- Gdzie?

- W Czok-Pak.

- Pan żartuje, panie sierżancie.

- Wcale nie żartuję. Jak nic poszedłby pan pod sąd

polowy!

- Niby za co?

- Mówili o buncie, obrazie przełożonego, komunistycznych poglądach - machnął ręką. - Panie, co mówili, tego by starczyło na 5 lat. Nie przypomina pan sobie wagonu, którym pan jechał i porucznika komendanta tego wagonu, lepiej nich pan unika tego człowieka.

- Przecież ja mu nic nie zrobiłem.

- Nic to czasami za dużo.

Sierżant dobrze mi radził. Mało kto o tym wiedział, że w Taszkencie w więzieniu przebywało kilkudziesięciu eks-żołnierzy skazanych przez polskie sądy polowe za różne przestępstwa, pospolite i polityczne. Łacno mogłem się okazać jednym z politycznych. Swoją drogą pułkownik NKWD, mój znajomy z Uralu, miałby niezłą zabawę, gdyby się dowiedział, że jego podopieczny wylądował ostatecznie w kryminale radzieckim z wyroku polskiego sądu polowego za komunizm.

Mecz w szczypiorniaka na pięknym stadionie w Teheranie zakończył się naszą wysoką porażką. Persowie biegali szybciej, piłkę łapali lepiej, a nam nie pomógł rozkaz dowództwa, że mamy wygrać. Za bramą stadionu zaczepił mnie gruby Pers. Dawał mi znać, że sam idzie jeść i że mnie zaprasza.

- Kuszać... restoran - mówił niechlujnie ale zrozumiale. Glinił się trochę i patrzył na mnie łakomie, jak bym to ja był tym daniem, które ma zamiar zjeść. Otworzył drzwi swojego samochodu i wabił mnie obleśnym

uśmiechem, mamrocząc coś po rosyjsku o przyjaźni polsko-perskiej.

Na wojnie żołnierzom najczęściej tylko w ich własnych opowiadaniach przydarzają się przygody miłosne z bogatymi młodymi kobietami, które porywają ich do swoich samochodów, uwożą do pięknych posiadłości i rano obdarowują pieniędzmi. Bywają i takie, ale niezmiernie rzadko są młode i ładne, a te, które się trafiają, są zwykle stare, pomarszczone i kłapią sztucznym uzębieniem. Żołnierzowi na wojnie bliższa jest kurwa, pies i czasami pederasta. Mój nagły wielbiciel był bogaty i poczuwał się do przyjaźni polsko-perskiej, ale o pederastii nie miałem pojęcia, przy czym przyjaźń z Persją nie wydała mi się taka ważna dla Polski, jak z Francją za Napoleona, żebym miał podjąć się roli męskiej pani Walewskiej. Nie byłem głodny, ojczyzna nie miała na tym nic stracić, więc pożegnałem niedbale niedoszłego kochanka czy kochankę i udałem się przykładowo na spoczynek. Byłem początkowo przygnębiony tym, że ten Pers mnie sobie upatrzył, ale po drodze do fabryki - koszar nawiedziły mnie inne wesołe myśli. Przyszło mi do głowy, że muszę już nieźle się prezentować, skoro właśnie mnie wybrał sobie ten gruby zbereźnik, i że być może, w niedalekiej przyszłości, lotnicza komisja lekarska spojrzy na mnie innym ale równie przychylnym okiem.

Przed komisją lekarską stanąłem parę dni później. Lekarze spojrzeli na mnie przychylnym okiem, ale nie chodziło im o to, czy nadaje się do służby w powietrzu.

Został ogłoszony nabór do Szkoły Podchorążych 8 Dywizji Piechoty. Z kilkoma kolegami, zawodnikami z kompanii sztabowej, w której po nieudanym występie na stadionie nasze dni były policzone, wpisałem się na listę chetnych do obszycia sobie naramienników battledressu biało-czerwonym sznurkiem.

Przyjęcie do podchorążówki wymagało zgody lekarzy, komisji złożonej z cywilów i z oficerów, przyszłych wykładowców szkoły: Kandydat musiał być zdrowy na ciele i umyśle i mieć taki wygląd, żeby jako przyszły oficer nie przyniósł wstydu polskiemu wojsku.

Przyszli podchorążowie zgłosili się w liczbie trzech na jedno miejsce, i w oczekiwaniu na wezwanie przed stoły komisyjne, krążyli przed przybudówką fabryki - koszar, gdzie zasiedli egzaminatorzy. Kogo wśród kandydatów tu nie było. Nieomal starcy i prawie jeszcze dzieci. Ludzie wykształceni i nie: Prawnik, aptekarz, starosta, inżynier, student wyższej uczelni, konkurował tu o lepsze z uczniem gimnazjum, średniej szkoły zawodowej, absolwentem siedmioklasowej szkoły powszechnej. Inteligent z miasta przyzwyczajony do wanny i w.c. stał obok chłopca, który mył się przy studni i biegał za stodołę. Prawie nikt nie przyniósł ze sobą świadectw, które na piśmie stwierdzałyby wiek i wykształcenie. Utrudniało to pracę komisji, bo takich, którzy mówili prawdę, nie było za dużo. Starsi panowie na ogół nie kłamali pytani o wykształcenie, ale nie zawsze uczciwie podawali swój wiek. Jak trzeba było, odejmowali sobie po parę lat. Ich młodzi konkurenci, odwrotnie, często zawyżali wiek i jeszcze częściej wykształcenie. Komisja złożona z profesorów szkolnych, której zadaniem była weryfikacja wykształcenia, odsiewała nieuczciwych kandydatów dość łatwo. Egzamin obejmował język polski i matematykę, ustnie i pisemnie. Jeżeli ktoś zrobił kilkanaście błędów ortograficznych w swoim, do tego



głupio napisanym, wypracowaniu na temat "Gdynia, jej historia i znaczenie gospodarcze" i nie umiar rozwiązać prostych zadań z algebry, geometrii czy trygonometrii, odpadał. Komisja lekarska stała na pewnym gruncie, podobnie jak komisja powołana do oceny prezencji kandydatów. Nikt chromy czy kulawy nie mógł ujść uwadze oficerów, którzy ustawili swój stół bardzo sprytnie, tak żeby każdy wezwany przed zameldowaniem się musiał przejść pod ich okiem ze 20 metrów. Przy stole żartami rozśmieszali swoje ofiary, żeby sprawdzić, uzebieńie przyszłego podchorążego i jak się śmieje, czy nie za głupio. Józio Balicki też kandydował, więc uprzedziłem go, żeby przypadkiem nie dał się sprowokować do uśmiechu, bo niechybnie za każdy z odsłoniętych kłów postawią mu krechę. Józio przechytrył komisję, uśmiechnął się półgębkiem, i obaj znaleźliśmy swoje nazwiska na liście przyjętych do szkoły. Razem z nami rozpoczynał kurs eks kapitan Różga, ten z Czak-Paku, przywrócony do stopnia plutonowego, który mu przysługiwał przed okpieniem komisji weryfikacyjnej.

Następnego dnia na porannej zbiórce poznaliśmy porucznika Majewskiego, naszego wychowawcę i instruktora. Bez prawej ręki, która stracił we wrześniu, przystojny, wyprostowany i napięty jak struna robił wrażenie oficera, który wachał w życiu proch i który, postawiony na czele pospolitego ruszenia, wygrywa bitwy z regularnym wojskiem. Przedstawił się nam i zaproponował zgodne współżycie kładąc nacisk na słowo dyscyplina, którym obejmował

bezwzględne wykonywanie rozkazów, przepisowy wygląd i ściśle przestrzeganie pozostałych punktów regulaminu służby wewnętrznej. Po komendzie "rozejść się" wszyscy byli zgodni, że ten porucznik to bardzo morowy facet, ale że tyłek to on nam da niezgorzej. Po części miało się to sprawdzić. Narazie wystarczyło dla nas o buty, spinacze do spodni, chlebaki, manierki i pasy. W skrzyżowanych na piersiach paskach, na których zwisały odrzucone do tyłu manierki i chlebaki, w spodniach upiętych na butach spinaczami i w płóciennych pasach, prezentowaliśmy się najlepiej z całego zgromadzonego w Teheranie wojska. Tylko, że w życiu nic nie ma za darmo, i za swój lepszy wygląd, którego zazdrościły nam inne oddziały, płaciliśmy wcześniejszym wstawaniem. Kiedy inni jeszcze spali i słońce krył ośnieżony szczyt Demawendu, my rażno wybijaliśmy krok defiladowy, urozmaicając sobie czas pieśnią o Kasi, co to wyganiała wołki, kiedy się rozwidniało. Tak postanowił nasz porucznik w dbałości o to, żeby nie poprzewracało nam się we łbach z dumy i nadmiaru szczęścia z posiadanego ekwipunku.

Trwało to parę dni do czasu, kiedy pułkownik Gaładyk, dowódca dywizji, nie zauważył gniewnie, że jakieś wojsko hałasuje w ciemnościach przed świtem i spędza mu sen z powiek. Pułkownik, którego później miałem zaszczyt poznać osobiście, był człowiekiem ujmującym, wesołym i sprawiedliwym. Wydał rozkaz, że podchorążówka ma mieć pobudkę tak jak wszystkie oddziały, nie o godzinę wcześniej, czym pozyskał sobie naszą ogólną sympatię.

Znalazł się jednak paskudnik, który utrzymywał, że pułkownik nie jest wcale takim dobrym ojcem dla żołnierzy. Jak myślimy i że w tym szczęśliwym dla nas dniu nasz wódz miał po prostu kaca, który jak wiadomo szczególnie nad ranem nie znosi wszelkiego tupania i przyśpiewek, i że nie pułkownik, ale jego kac zatroszczył się o nas.

Pomyślano też o naszym życiu pozasłużbowym. W naszej ósmej dywizji powstał zespół polsko-żydowski utworzony ad hoc z amatorów - artystów. Jednym z pierwszych produktów ich serc i mózgów była pieśń skomponowana na cześć pułkownika Gaładyka i jego wojska. Ta pieśń głosiła:

O podchorążówce:

-----

W podchorążówce gwar i ruch,  
 Co jeden chłop to większy zuch  
 I Niemca każdy już by bił,  
 Bo kocha Polskę z całych sił.  
 I kiedy wreszcie przyjdzie czas,  
 że w bój ruszymy wszyscy wraz,  
 Przez rany, blizny i przez krew  
 Zwycięski zabrzmie śpiew...

O całej dywizji

-----

W ósemce, w ósemce  
 Wiarusów jest najwięcej  
 Tam każdy żołnierz fason ma,

Obowiązki swoje zna.  
 Ósmaki, ósmaki,  
 Morowe są chłopaki  
 I lubią dobrze jeść i pić,  
 Umieją wroga bić.

O wodzu

-----

I jeszcze do tego  
 Kochają wodza swego,  
 On zawsze wesół śmieje się,  
 Gdy dobrze jest czy źle.

W kroku marszowym śpiewaliśmy pod oknami domu, w którym rezydował pułkownik te jerozolimsko-częstochowskie rymy na melodię przypominającą przedwojenny szlagier: "Ach jak przyjemnie kołysać się wśród fal". Józio, obdarzony przez naturę dociekliwym umysłem, wnet zauważył, że nasz wódz to jakiś dureń, bo kto normalny śmieje się bez przerwy i bez względu na to, czy jest mu dobrze czy źle. Ktoś z bliskiego otoczenia pułkownika pewno podsunął mu podobną myśl, bo wkrótce i pułkownik zakazał śpiewania tej pieśni. Twórców z czołówki nie ukarał, miał inne kłopoty na głowie. Na jakiś czas zostaliśmy przy nieszkodliwej Kasi. Później nauczyliśmy się śpiewać różne pieśni, w tym jedną do tekstu i melodii naszego kolegi z podchorążówki, inżyniera Reja. Nie pamiętam, jak miał na imię, pochodził z Wileńszczyzny, był po czterdziestce i w latach

dwudziestych należał do czołowych polskich lekkoatletów. Był wszechstronnie uzdolniony, umiał trzymać pióro, pędzel i ołówek kreślarski. Pisał, malował, budował mosty i wszystko robił świetnie. Niedźwiedziej postury, miał gołębie serce. Śmiertelnie ranny we Francji w 1944 roku, bez obu nóg i rąk zmarł z dala od kraju. Wtedy w Teheranie śpiewaliśmy jego pieśń, której tylko fragment zachowałem w pamięci:

"Pierwsza wśród narodów  
 Ty Polsko sobie chwal  
 W pierś wroga od Zachodu  
 Bagnetów wbiłaś stal..."

Kiedy to piszę wstyd mi, że zapamiętałem dziwny twór czołówki 8 Dywizji lepiej od tego, co napisał Rej. Ale tak to bywa, że jak jakieś gówno przyczepi się do człowieka, to ciągnie się za nim aż po grób.

Otrzymaliśmy swój pierwszy żołd. Na nas szeregowców wypadło po 14 tumanów. W przeliczeniu na swoją wartość, te tumany nie były wcale takie głupie. Szeregowiec, jeżeli tak sobie zażyczył, mógł za swój dwutygodniowy zarobek pójść dwa razy do burdelu, albo kupić prezent i drogą handlu wymiennego pozyskać względy jakiejś krajanki, których było w tym czasie w Teheranie sporo. Po koszmarnym pobycie w Rosji, wracały do życia odurzone słońcem, pachnącym mydłem i czystą bielizną, czemu skłonny jestem przypisać to, że nie były zamknięte w sobie jak zakonnice, ale przeciwnie przypominały wychowanki tychże zakonnice na wakacjach, pozbawione nadzoru rodziców.

Po drugiej stronie lotniska sąsiadującego z fabryką - koszarami był obóz cywilny. Wybrałem się tam któregoś dnia na poszukiwanie znajomych. Spacerowałem między namiotami i rozglądałem się dookoła dość długo bez rezultatu, kiedy natknąłem się na nieznaną mi ale bardzo powabną Laszkę-rówieśnicę. Zachęcony jej przyjaznym uśmiechem przedstawiłem się i zaraz na wstępie, żeby jej nie spłoszyć, wyjaśniłem niewinny cel swojej wycieczki do obozu.

- Szukam znajomych, czy nie spotkała pani przypadkiem...?

Spojrzała na mnie przychylnie z figlarnym uśmiechem spod długich rzęs i odpowiedziała rzeczowo, że nikogo z wymienionych osób nie przypomina sobie. Sama pochodzi z wojskowej rodziny z Baranowicz i jest tutaj z matką. Ojciec zginął we wrześniu. Przypatrując się sobie wzajemnie rozmawialiśmy o tym, jakie dobre i jakie złe jest życie. Ludzie, którzy przechodzili koło nas, zaczęli zwracać na nas uwagę, czego oboje nie życzyliśmy sobie.

- Czy ma pani narzeczonego? - Wtrąciłem głupio do poważnej rozmowy i przejechałem się ostentacyjnie powłóczyстым spojrzeniem po jej zgrabnych nogach. Starsi koledzy nauczyli mnie, że jeżeli dziewczyna po takiej zagrywce odpowie, że ma, to nic straconego, a jak powie, że nie ma, to jeszcze lepiej.

- Narzeczonego?... roześmiała się, jakby nic takiego nie istniało na świecie. - Skądże, co pan?...

Zachowała się wzorowo, czym pokrzepiony wystąpiłem z

propozycja.

- Możebyśmy poszli gdzieś na spacer. Tutaj tyle ludzi, nie dają spokojnie porozmawiać... ..

- Po krótkim namyśle wyraziła zgodę.

- Dobrze, ale powiem matce.

Matki na ogół są mniej ostrożne, kiedy propozycje spacerów z nieznanymi dotyczą ich samych, niż wtedy, kiedy chodzi o ich córki. Sobie bardziej dowierzają, córkom mniej lub wcale. Czasami słusznie, często nie. Sprawdziłem to osobiście parę razy, zanim skończyła się wojna.

- Niech pan na mnie chwilę zaczeka: - Powiedziała Magda, bo tak miała na imię i poszła do mamy.

Odchyliła wejście do namiotu i chwilę po tym poprosiła mnie do środka. Jej rodzicielka nie miała nic wspólnego z surową polską matroną. Siedziała na złożonych kocach i odsłaniała wysoko amatorskie uda. Przyjrzała mi się z kokieteryjną ciekawością. -

- Napije się pan herbaty?

Zapatrzony w jej nogi i zapłoniony jak sztubak, nie umiałem zdobyć się na odpowiedź.

- Na pewno się pan napije - pomogła mi ze zniewalającym uśmiechem. - Magda, przyprowadziłaś gościa, to się rusz...

Magda wzięła czajnik i wyszła z namiotu. Wydało mi się, że niechętnie to zrobiła. Sam na sam z jej matką, zaniemówiłem do reszty. Ona bawiła się mną.

- Pan z podchorążówki?

- Tak - powiedziałem skrepowany tym, że nie jestem majorem.

- Z Kresów?

- Tak, z Podola...

Szelma poprawiła się na kocach, odsłaniając uda parę centymetrów wyżej. Nie mogłem pozostać obojętny na tę zaczepkę. Chciałem powiedzieć, że ma szampańskie nogi, ale w ostatniej chwili wydało mi się to zbyt śmiałe i przestałem na stwierdzeniu:

- Panie wcale nie wyglądają na matkę i córkę...

- Naprawdę? A na co wyglądamy?

- Na dwie siostry...

- Oj! Komplementarz z pana - pogroziła mi palcem. - Nie wierzę, ale miło mi było to usłyszeć.

Była rozbawiona i zarumieniona, kiedy wróciła Magda. Popijając herbatę śmiała się trochę do nas, trochę z nas. Robiłem co mogłem, żeby się jej przypodobać. Najpierw z myślą o Magdzie, później zgubiłem się w swoich uczuciach.

- Niech pan koniecznie wpada na herbatę, będzie nam bardzo miło...

Na pożegnanie pocałowałem ją w rękę namiętnie, jak stara dewotka biskupa, na co ona odpowiedziała spojrzeniem, od którego zakreśliło mi się w głowie. Przytrzymała moją rękę.

- Obiecuje pan?

Obiecałem. Magda bąknęła coś, że mnie odprowadzi, jej mama zbyła to żartem, że sam świetnie trafię, a we dwoje możemy zabłądzić.



- Jest już późno i nie wypada, żebyś wracała sama...

Słońce stało jeszcze wysoko, kiedy skołowany jak po pierwszym śledztwie NKWD wracałem do fabryki-koszar. Po drodze na próżno starałem się myśleć o Magdzie, nie umiałem się otrząsnąć z widoku wysoko odsłoniętych smukłych nóg jej matki. Z roztargnienia mało nie nadepnałem na parę kochanków która wykorzystując wąż osłone dołka, jakich było pełno na lotnisku, wykonywała ruchy, za które idzie się do piekła.

Borys Jakowlew, poleszук - prawnik z Pińska i mój główny doradca w sprawach płci i chorób wenerycznych, aż cmoknął z zachwytu, kiedy opowiedziałem mu o tym, co mi się przydarzyło.

- Wiesiu, natrafiłeś na żyłę złota, ale sam do tego złota się nie dokopiesz. Potrzebny ci jest współnik. Ja się zajmę mamą a ty córką...

Spółki bywają różne, dobrowolne i konieczne. Ta była konieczna, rozumiałem to, ale niby dlaczego Borys miał decydować o podziale, komu matka, komu córka. Przecież to ja je wynalazłem, były moim wianem wniesionym do spółki i do mnie należał wybór. W tym przekonaniu powiedziałem:

- Wybrałeś matkę, na łatwiznę idziesz?

Borys skrzywił się zgorzonym tym posądzeniem.

- Łatwo jest tylko pójść do kurwy, jak się ma pieniądze, tu potrzebna jest głowa, inaczej zegnaj dupo. Zamiast wtrącać swoje głupie uwagi słuchaj i ucz się... Jak mnie się uda z matką, to córka na złość matce puści się z tobą, a jak zaczniemy przystawiać się odwrotnie, ty

do matki, ja do córki, to skończy się na herbatce. W oczach Magdy wyjdiesz na alfonsa, a matka, żeby dać dobry przykład córce, pogoni nas obydwóch!

- Może masz rację.

- Mam rację i wiem co mówię. Kiedy ty biegałeś za piłką, ja... - Borysowi pojaśniały oczy jak głodnemu lisowi, który zobaczył padlinę - nie raz zastawiałem sidła na różne żony i matki z córkami, które w lecie przyjeżdżały nad Prypeć... Wpadały pojedynczo i parami. Te też wpadną, jak się mnie posłuchasz.

Nie wpadły.

Dwa dni później, odprowadzeni przez kolegów zazdrosnymi spojrzeniami - wiedzieli to i owo o celu naszej wyprawy - zastaliśmy w namiocie pań z Baranowicz nowych lokatorów, którzy nie wiedzieli o kogo nam chodzi i potraktowali nas przy tym opryskliwie. Nie poszczuli na nas psa tylko dlatego, że takowego nie mieli.

- A to pech - odezwałem się pierwszy.

Borys w milczeniu nad czymś się zastanawiał.

- Ale mamy cholerne szczęście... ponowiłem próbę nawiązania rozmowy.

- Mamy... - zgodził się, ale nikomu nic do tego. Pamiętaj, ani słowa jak było naprawdę - uśmiechnął się chytrze. - Ja wiem, że są tacy, którzy by się bardzo ucieszyli z tego, że nam nic nie wyszło, i rzecz w tym, żeby nie oni z nas mieli uciechę ale my z nich...

- Jak to zrobisz?

- To nic trudnego. Już jak ja im opowiem o tym, co się

działo w namiocie, to zobaczysz, zbledną, zżółkną i zzielenieją z zazdrości. Będzie ci ich żal. A teraz przejdźmy się trochę po lotnisku, żeby za wcześnie nie wrócić.

Borys perfidnie zepsuł krew niedoszłym szydercom. Kiedy skończył swoją opowieść, w której nogi i inne nieskromne części ciała naszych kochanek raz plugawił, raz uświęcał, większość słuchaczy poderwała się nerwowo na nogi i pewno ruszyłyby gromadnie na kurwy, gdyby im późna pora i puste kieszenie nie stanęły na przeszkodzie.

W dniu pierwszej wypłaty żołdu spotkała mnie miła niespodzianka. Wziąłem już swoje pieniądze w podchorążówce, kiedy przyszedł do mnie Raczkowski, kolega - sportowiec z kompanii sztabowej.

- Biegnij po pieniądze.

- Jakie? Już wziąłem.

- Gdzie wziąłeś?

- Gdzie? Tutaj!

- Ja też tutaj wziąłem. Więcej <sup>e</sup>nie chcesz?

- A kto wypłaca?

- Nie pytaj, tylko biegnij do sztabowej. Coś im się tam popieprzyło i mają nas wszystkich sportowców na swojej liście. Już tam byłem.

Zawsze uważałem się za człowieka uczciwego, ale niestety nie sprostąłem próbie, na którą mnie wystawił Raczkowski. Gorzej, ręka mi nawet drgnęła, kiedy przeliczałem czternastcie tumanów przy stole płatnika kompanii sztabowej. Strach, który tylu ludziom pomaga w

zachowaniu uczciwości, mnie nie przyszedł z pomocą. Żeby zmyć część winy, do której się poczuwałem, postanowiłem wydać te tumany w burdelu. Taki początek taki koniec, niech idą od złodzieja do kurwy. Cieszył mnie wtedy ten pomysł, który wydał mi się wcale oryginalny. Byłem naiwny i nie wiedziałem, że niczego nowego nie wymyśliłem i że świat jest pełny takich transakcji dokonywanych na drobne i większe sumy, choć oficjalnie słowa kurwa i złodziej rzadko im towarzyszą. Do burdelu zaprosiłem na swój koszt Józia. Ucieszył się szczerze i nazwał mnie swoim prawdziwym przyjacielem. Mieliśmy się tam udać następnego dnia. Ale po wypłacie Józio gdzieś się zawieruszył i przyszedł późno wieczorem bardzo przygnębiony.

- Możesz mi dać pięć tumanów? - Zapytał z miną skruszonego łotra.

- A co się stało?

- Nic takiego, mam dług honorowy, który muszę zaraz zapłacić. Przegrałem w oko, swoje i to, co przeznaczyłeś dla mnie na jutro...

W nieszczęściu Józio miał szczęście i nic nie stracił. Następnego dnia wstrzymali nam przepustki i wydali mundury tropikalne z korkowymi hełmami. Niebawem, w pierwszych dniach maja opuściliśmy Teheran. W słońcu, kurzu i pyłe, perskie ciężarówki podskakując na dziurach i kamieniach, dowiozły nas do granicy z Irakiem.

Z uczuciem ulgi pożegnaliśmy perskie ciężarówki i perskie drogi, zachowując w życzliwej pamięci tylko perskich kierowców, którzy nas do tego miejsca cało dowieźli. Granica między Persją i Irakiem była umowna. Stali na niej Anglicy, pilnując w tym miejscu interesów swojego króla. Mądry mógł im tego zazdrościć, głupi mógł mieć do nich o to pretensje. Józio był zazdrosny. -

- Cholera, to mi się podoba - powiedział kręcąc głową.

- A mówiłeś, że to złodzieje - przypomniałem mu.

- Pewnie, że są, ale ktoby nie chciał być takim złodziejem. Józio najwyraźniej chciał.

Noc mieliśmy wygodną pod namiotami, rano dostaliśmy śniadanie z angielską owsianką i kiedy podjechały po nas uzbrojone wojskowe pick-up'y, poczuliśmy się trochę jak na wojnie. Naszym wrogiem w tym kraju nie byli Niemcy, ale szczepy Kurdów, których przywódcy ciągle jeszcze nie mogli się zdecydować, kto jest ich większym wrogiem. Anglicy czy iracki rząd w Bagdadzie. Co trzeci samochód w kolumnie był uzbrojony w brena i nie było obawy, że otoczeni przez konnych Kurdów zginiemy jak amerykańscy pionierzy otoczeni przez Indian.

Późnym popołudniem wjechaliśmy do stolicy Iraku, którą znałem z filmu "Zebrak z Bagdadu". Józio też widział ten film, więc mogliśmy o Bagdadzie rozmawiać ze sobą swobodnie i ze znajomością rzeczy. Józio zauważył, że zebraków jest tutaj więcej niż było na filmie i że reszta, wyłączając samochody i z angielska umundurowanych miejscowych policjantów, jest taka sama. Do jego

spostrzeżeń dorzuciłem, że zapach bagdadzkiej ulicy różni się od zapachu żydowskiego kina, w którym obejrzałem film, ale że pchły tam skakały i tu skaczą tak samo. Za miastem skręciliśmy w pustynię, żeby po przejechaniu paru kilometrów, znaleźć się w lesie rozbitych na piasku namiotów.

Habbanija, bo taką nazwę przyjęły obóz i pobliska baza angielskiego lotnictwa od okolicznego jeziora, był punktem zbiorczo-tranzytowym. Mało który oddział zatrzymywał się tutaj na dzień lub dwa, przeciętna postojowa wynosiła kilkanaście dni. Miejscowy klimat był idealny dla ludzi cierpiących na reumatyzm. Wystarczyło zakopać się na parę godzin w piasku, żeby bezpowrotnie pozbyć się choroby, ale trzeba było uważać, bo przedawkowanie kuracji groziło upieczeniem. Temperatura w słońcu dochodziła do kilkudziesięciu stopni, w cieniu ... no właśnie, cienia nie było. Dostaliśmy rozkaz nie zdejmowania od wschodu do zachodu słońca korkowych hełmów i zakaz wychodzenia z namiotów od godziny 10 rano do 3 po południu. Noce były chłodniejsze, co wykorzystywały skorpiony na przechadzki między naszymi namiotami. Na siusiu nie należało zatem wychodzić boso. Nie było tutaj odpowiedniego miejsca do ćwiczenia kroku defiladowego. Wszędzie był sypki piasek i pierwsza próba przybijania zakończyła się ugrzeźnięciem kompanii, już po kilkunastu metrach marszu.

Po tym nieudanym eksperymencie porucznik Majewski zrezygnował z ćwiczeń na lądzie i z piasku przerzucił nas na wodę. Postanowił, że wszystkich podchorążych nauczy

sztuki pływania. Nie on sam, ale wyznaczony przez niego instruktor, w jeziorze, którego woda nie nadawała się zupełnie do picia, ale mogła służyć jako ciecz do nauki pływania. Pyskowałem bardzo dużo o tym, że Polska w mojej osobie straciła pewny złoty medal, który bez pudła przywiózłbym z Helsinek, gdyby ten sukinsyn z wąsikiem nie rozpoczął wojny na rok przed Olimpiadą. Nic więc dziwnego, że porucznik Majewski, do którego dotarła moja pływacka opinia, właśnie mnie wyznaczył na instruktora. Po paru dniach zajęć przeprowadzonych z kompanią na jeziorze, zostałem przez niego wezwany.

- Nieźle sobie radzicie i jestem z was zadowolony.

- Tak jest, panie poruczniku - zameldowałem służbowo, zadowolony z siebie i z tego co powiedział:

- Wezwałem was, bo zainteresował się wami dowódca dywizji.

- Tak jest, panie poruczniku.

Na twarzy porucznika Majewskiego pojawił się grymas zniecierpliwienia.

- Skończcie z tym "tak jest" i usiądźcie.

- Tak...

- Siadajcie do cholery i słuchajcie uważnie, co powiem. Pułkownik chce, żebyście specjalnie dla niego napisali instrukcję nauki pływania crawllem. Możecie się tego podjąć?

- Mogę, panie poruczniku.

- Doskonale. Przynieście mi dzisiaj tę instrukcję. Od jutra rozpoczniecie z pułkownikiem lekcje.

Lekcje z pułkownikiem, bagatela! Będę uczył pułkownika. Mniejsza o to czego. Liczy się sam fakt. Dowódca Dywizji pilnie przestudiuje moją instrukcję i będzie mnie słuchał. Odpowiedzialność grobowa ale satysfakcja większa niż ryzyko. Wielu kolegów widzi Boga już w poruczniku Majewskim i gdzie im do mnie. Ten ich Bóg byłby nie mniej ode mnie zadowolony, gdyby przypadła mu moja rola. Czy dam sobie radę? Betka. Pułkownik nie miał być moim pierwszym uczniem. W przeszłości pobierały ode mnie lekcje dziewczyny, moje koleżanki, które ćwicząc w ruchach do zabki i cawla starałem się jednocześnie uświadamiać, po co mają piersi, nogi itd... Były na ogół pojętne, chociaż nie przypominam sobie, żebym którąś naprawdę nauczył cawla. Ale tamto to była zabawa w naukę, teraz była wojna i byłem ja - instruktor nie jakiejś tam głupiej kozy, tylko dowódcy dywizji. Piszac instrukcję miałem tremę. Każdy śmiertelnik miałby tremę. Na moim miejscu swobodnie mógłby czuć się tylko generał, dla którego napisanie instrukcji przeznaczonej dla pułkownika jest czymś normalnym. Pozbyłem się częściowo nekającej mnie tremy, kiedy porucznik Majewski po przeczytaniu dwóch kartek papieru na których zmieściłem całą mądrość sztuki zatytułowanej "Nauka pływania cawlem", powiedział:

- Bardzo dobrze. Krótko, jasno i wyczerpująco. Jutro po zajęciach z kompanią poczekacie nad jeziorem na pułkownika. Zdaje się, że dołączy do niego jeszcze dwóch oficerów ze sztabu dywizji.

Moje akcje szły w górę. Zasłużenie. To były czasy, w



których pułkowników i ludzi umiejących pływać czałkiem było mało, a pułkownik, do tego dobrze pływający tym stylem, to już był biały kruk. Pułkownik z dwoma kolegami - których szarż nie rozpoznałem, bo byli w majtkach - przybył tak jak powiedział porucznik Majewski. Wypreżyłem się na baczność.

- Panie pułkowniku, podchorąży Brodziński melduje się na rozkaz.

- Spocznijcie kolego - tak właśnie powiedział: kolego - i nic mi tutaj nie meldujcie, tylko nauczcie mnie pływać.

Zachowałem się skromnie, w głowie nie powstała mi myśl, żeby odezwać się do grupki swoich uczniów per "słuchajcie koledzy".

- Przepraszam, ale zanim przystąpimy do lekcji, muszę to wiedzieć - zwróciłem się do całej trójki. - Czy któryś z panów pływa?

Zacząli przebąkiwać, że tak i nie, z czego wyciągnąłem wniosek, że nie umieją.

- Świetnie - powiedziałem, żeby ich zachęcić - zaczniemy od osławiania się z wodą. Proszę za mną.

Poszli odważnie, brnąć w grząskim bagnie przez śmierdzącą brudną pianę, która zebrała się przy brzegu jeziora. Dalej było trochę lepiej, woda przypominała wodę.

- Ćwiczmy wydechy w wodzie ustami, oczy cały czas proszę mieć otwarte.

Karnie prychnęli, kasłali, krztusili się... W końcu jeden zauważył nieśmiało:

- Może dosyć, panie podchorąży?

Zgodziłem się.

- Przejdziemy teraz do strzałki. Proszę położyć się na wodzie, ręce wyciągnięte na całą długość przed siebie, dłonie płasko, nogi w kolanach półsztywne. Ćwiczymy...

Na brzegu pułkownik roześmiał się, patrząc na swoich zmaltretowanych kolegów.

- Ale wam podchorąży dał w kość!

Trzecia kolejna lekcja nie udała się. Byliśmy jeszcze przy strzałce, w której pułkownik był najlepszy, i która, być może z tego powodu bardzo polubił. Popłynął pozostawiając za sobą kolegów i o zgrozo! Zobaczyłem to za późno: na falach jeziora, dokładnie na kierunku, w którym płynął, w odległości na wzięcie oddechu kołysało się gówno. Zamiast coś zrobić, z przerażenia otworzyłem gębę, jakbym chciał połknąć to paskudztwo i uratować w ten sposób pułkownika. Pułkownik wynurzył głowę z wody tuż, tuż... przed, a ponieważ nie był dalekowiedzem, od razu rozpoznał, że to nie zdechła ryba. Sciągnął groźnie swoje krzaczaste brwi i zaklął.

- A niech to jasna cholera!

Straciłem ucznia. Jego koledzy też zrezygnowali z pobierania u mnie nauk! Trudno im się było dziwić: w czasie prowadzonych przeze mnie lekcji wypili pół jeziora...

x x x

Tydzień potem, przez Transjordanie dojechaliśmy do Palestyny. Po drodze do obozu El Khassa witali nas Żydzi p<sup>o</sup> polsku: jak się macie rodacy? Cieszyli się z tego, że nas widzą, i my cieszyliśmy się wraz z nimi. Przynosili nam pomarańcze i pytali co słychać w Polsce. Wiedzieliśmy tyle co oni. Że są tam Niemcy. I oni i my nie wiedzieliśmy, że w naszym kraju są kominy, które dymią ludzkim dymem.

Obóz El Khassa mógł się podobać. Były tu przyzwoite prysznicze i latryny, w których siadało się na żerdziach pod osłoną daszków. Niemcy rozpanoszyli się w północnej Afryce, podeszli na odległość artyleryjskiego strzału pod Aleksandrię. Wrzeszczeli swoje Sieg Heil! Anglicy zachowywali zimną krew, a my nadal ćwiczyliśmy bez broni: baczność!. spocznij, kompania śpiewa...

Po kilkunastu dniach dostaliśmy dwa breny i instruktora z Karpackiej, który nas uczył, jak je rozkładać, składać i jak w nich usuwać zajęcia. Borys skojarzył sobie różne tam popychacze i komory brena z czymś zupełnie innym i urwał się do Haify. Nasz instruktor – karpatyczyk dał mu jakiś pożyteczny adres. Borys wrócił rozpromieniony. Opowiadał o młodej żonie bogatego kupca, patriotce rodem z Białegostoku, która obdarzyła go wszystkimi swoimi wdziękami z sentymentu do opuszczonej parę lat przed wojną ojczyzny. Plutonowy Żyłek, chojrak w tych sprawach, który mawiał: – tryper, syf, wszystko szczeniak, aby nie mendy, – kiedy Borys skończył, odezwał się obłudnie:

- To miałeś cholerne szczęście. Mnie to nigdy taka kurwa nie trafiła się.

Borys powiedział, że on, Zylek jest głupi, ale nie obraził się.

Niektórzy jeździli na dziewczynki do Haify i Jaffy, ale większość śpiewała:

"Żołnierskie życie  
 Żołnierski los  
 Pali i kusi jak ognia żar.  
 Dziś kto szaleje  
 Pieści do krwi.  
 Jutro świat kuli  
 I nie ma cie.  
 Pijemy rozkosz  
 Z pełnymi ustami  
 Z nami dziewczęta  
 Cały świat jest nasz  
 Do boju idziemy  
 Zgodnie jak maszyny  
 Książęta szczęścia  
 To my..."

I książęta szczęścia, niektóre tyse, niektóre siwe, książęta o gębach włóczęgów Północy, niektóre ufryzowane na paryskich apaszów, przybijały krok defiladowy na piaskach Palestyny z myślą o Nowym Świecie, dosłownie i w przenośni... warszawskim. Daleka była droga, dla wielu do nikąd.

W obozie El Khassa była dobrze zadopatrzona kantyna.

Pomarańcze, papierosy i napoje chłodzące sprzedawała zawsze uśmiechnięta blondyneczka "pani majorowa". Tak ją nazywaliśmy, bo żyła na kocia łapę z majorem i razem z nim ciągnęła z nas zyski. W Palestynie rodaczek było bardzo mało, co wykorzystywały i przebierały w gawiedzi żołnierskiej jak w ulegałkach. Liczyła się przede wszystkim szarża. Żaden tam wiek i jurność, tylko szarża, a ta zaczynała się od kapitana w górę. Młodsze w zalecaniu się do szarż szły o lepsze z leciwymi. Trochę to nas mierziło, ale nie za bardzo. Byliśmy za młodzi, żeby się tym przejmować. Borys pouczał nas, że kobiety to płochaczka, i że głupi jest ten, kto dopatruje się w ich postępowaniu czegoś tajemniczego, jakiejś nieodgadnionej duszy, czy czegoś tam, bo są tylko młode idiotki i stare idiotki gadał tak bez przekonania, po prostu w odwecie za swoje nieudane zaloty.

Józio miał po Rosji wybujały apetyt i po którymś swoim przodku żyłkę do hazardu. Przegrywał swoje pieniądze w karty i wieczorami, kiedy bywał głodny, przychodził do mnie po wsparcie.

- Wiesiek daj forszę, w kantynie są fajne konserwy. Pójdę i przyniosę.

Kieszenie miałem puste, dopiero następnego dnia mieli płacić żołd.

- Nie mam, ale idź i weź od pani majorowej na kredyt, powiedz, że jutro oddasz. - Robiliśmy tak nie raz.

Józio poszedł i wrócił bardzo wzburzony.

- Ta cholera nazwała mnie oszustem. Powiedziała, że

chcę na kredyt bo wiem, że jutro mnie tu nie będzie.

- Jak to? - zdziwiłem się.

- A tak, na pewno ten jej major ostrzegł ją, że jutro nas gdzieś przenoszą.

I w ten sposób, przez chytrych majora i jego kochanki, tajemnica wojskowa przestała być tajemnicą. Następnego dnia, a był to już koniec maja, rzeczywiście ruszyliśmy w dalszą drogę. Szczęście pani majorowej - jak się później dowiedzieliśmy - nie ma miało trwać długo. Jej ulubieniec wkrótce po naszym wyjeździe został zdemaskowany. Nie, nie jako jakiś tam szpieg, gorzej - jako kapral, który do swoich dwóch belek sam sobie dodał gwiazdkę. Jak to przeżyła jego nieślubna, która nosiła rodowy sygnet i do tego miała matkę, trudno powiedzieć.

x x x

Do Suez dojechaliśmy późnym wieczorem. Na peronach stacji, na których zatrzymywał się nasz pociąg, spacerowały w perkalowych sukienkach o papuzich kolorach Murzynki. Były białym uzębieniem i przyjaźnie kreśliły zadkami. Złęk z okna wagonu pokazywał owalnymi ruchami obu rąk tym czarnym mieszkankom Czarnego Łądu, że są piękne, z przodu wyżej pępka z tyłu niżej, i przybijał lewą dłoń dwoma palcami prawej ręki ze sprośnym uśmiechem. Jedne przerażone, kręcąc w zawrotnym tempie gałki oczu, uciekały zapominając o kręceniu zadkami, inne uśmiechały się do Witka, tego dziwnego człowieka Północy, który nie

szanował koloru swojej skóry, i odchodząc nagradzały go niemal klaskaniem póldupka o póldupek. Witkowi tak się to spodobało, że na którejś stacji oświadczył nam, że po wojnie zrzuci z siebie mundur, założy sutannę i przyjedzie tutaj jako misjonarz. Nawróci parę miejscowych poganek i odkupi grzechy, w które teraz wojna go wpędza.

Borys roześmiał się i powiedział, że zanim on, Witek - misjonarz, nawróci swoją pierwszą czarną duszę sposobem, który mu się pałęta po głowie, zostanie przez tubylców upieczony na rożnie i zjedzony na skraju dżungli. Witek odpowiedział, że ma na to radę, przekupi czarnuchów monopolówką, a parafiankami zajmie się na swój sposób. I czy to mu się podoba czy nie, nie zrezygnuje z misji, do której czuje powołanie. Borys był prawosławny i na nawracaniu Murzynów mało się znał, ale zgadzał się, że wódka może się Witkowi przydać bardziej niż święcona woda. Miał archireja w rodzinie, który dość wcześnie stracił wiarę w moc kropidła, ale nie w użyteczność nalewek, dzięki to którym doszedł do wysokiej godności kapłańskiej. Borys ładnie wypadł z tym archirejem, bo mieć kogoś takiego w rodzinie to żaden wstyd. Powiedziałem mu, że tak właśnie myślę, bo chodziłem do szkoły z Leną, śliczną dziewczyną z ojca też archireja, którego jedyną wadą było to, że zamiast zająć się, jak krewny Borysa, nalewkami, do przesady pilnował cnoty swojej córki, czym parokrotnie mi się naraził. Sprawa się wyjaśniła, kiedy Lena zdradziła mi tajemnicę rodzinną. Otóż jej świętobliwy ojciec swoim bieganiem za spódnicami zaprowadził na cmentarz jej matkę,

którą dopiero jako nieboszczkę docenił i szczerze pokochał. O nią jest zazdrosny bo jest bardzo podobna do matki.

I tak oto sobie gawędząc o duchownych, faunie afrykańskiej i wódce, dojechaliśmy wzdłuż zachodniego brzegu Kanału Sueskiego do portu, od którego kanał wziął swoją nazwę. Tym portem był Suez. Mieliśmy przed sobą noc pod płótnem namiotów, daleko za miastem. Zar dnia ustąpił trochę z zachodem słońca, ale niewiele to pomogło. Z nad pisaków dochodziły do nas słabe, ale uporczywe i gorące jak oddech rozpalonego pieca, podmuchy pustynnego wiatru. Mokre, ociekające wodą prześcieradła, w które nadzy owijaliśmy się, żeby zasnąć, po godzinie były suche jak pieprz. Wczesnie rano, po źle przespanej nocy, wyruszyliśmy marszem do portu. Na nadbrzeżu, na pierwszym planie stały różne statki handlowe, dalej na morzu kołysały się okręty wojenne. Błyskały raz po raz świetlnymi sygnałami prowadząc między sobą szyfrowane rozmowy. Idąc wzdłuż nabrzeża mineliśmy parę frachtowców i zbliżaliśmy się do jakiegoś kolosa, który górował nad portem swoim masywem i elegancką sylwetką.

- Kompania stój!

Na rufie statku, na wysokości kilku pieter powiewała nad nami brytyjska bandera.

- "Mauretania" - odczytaliśmy nazwę.

- Ale wielki drań! - Józio kręcił z podziwem zadartą głową - chyba dwa albo i trzy razy większy od "Batorego".

"Mauretania" należała do elity brytyjskich motorowców.



Wodowana w drugiej połowie lat trzydziestych, zdobyła parę miesięcy później błękitną wstęgę Oceanu Indyjskiego. Przejęta od armatora przez Admiralicję i przystosowana do przewozu transportów wojennych, przyjmowała na pokład jednorazowo dywizję wojska. Była udanym statkiem w latach pokoju chwalonym za komfort pomieszczeń i dobry serwis, w latach wojny za prędkość swoich dwudziestu paru węzłów, wobec której niemieckie i japońskie łodzie podwodne nie przestawały być groźne, ale częściej niż groźne bywały bezradne.

Pokłady statków są numerowane odwrotnie, niż piętra hoteli, z góry w dół. W hotelach ceny pokojów rosną w dół, na statkach ceny kabin w górę. Kiedy nie było wojny i trzeba było za przejazd płacić, "Mauretania" przyjmowała pasażerów według wykupionych przez nich biletów. Teraz, kiedy generalnie tak samo jak jego młodszy ranga kolega - szeregowiec, nic nie płacili, według szarż: wyższa szarża, wyższy pokład. Wynika z tego błędny wniosek, że w czasie pokoju liczy się pieniądź, w czasie wojny stopień wojskowy. Błędny, bowiem brak gwiazdek na naramiennikach w czasie wojny jest zdecydowanie mniej dokuczliwy, od braku pieniędzy w czasie pokoju. Potwierdzi to każdy bezrobotny eks-żołnierz.

Odczekaliśmy kwadrans przy burcie i po szerokim gangway'u wkroczyliśmy na pokład. Marynarz z załogi statku, korytarzami i schodami zaprowadził nas w dół do pomieszczenia, które miało nam służyć za jadalnię i sypialnię. Były w nim przyśrubowane do wyłożonej linoleum

podłogi długie stoły i ławy, schowki na hamaki, koce i pasy ratunkowe. Były też iluminatory, które wskazywały, że nasza messa znajduje się powyżej poziomu zanurzenia statku. Całość robiła dobre wrażenie, jak wszystko co czyste i jasne. W języku angielskim statek jest zawsze rodzaju żeńskiego "she" i pewno dlatego Anglicy starają się, żeby "one" były schludne i domyte. "Mauretania" była piękna i zadbana. Pachniała przyjemnie mieszanką farby, mydła, tytoniu, kawy i whisky.

Po południu odbył się próbny alarm. Kapitan "Mauretanii" obszedł stacje ratunkowe w asyście angielskiego dowódcy transportu i polskiego oficera łącznikowego. Inspekcja przeciągnęła się ponad godzinę. Stacja ratunkowa to było po prostu miejsce na pokładzie przy wyznaczonej szalupie, dokąd po ogłoszeniu alarmu należało się natychmiast udać i stać w gotowości do opuszczenia statku aż do odwołania. Do obsługi każdej szalupy było przydzielonych po dwóch marynarzy. "Mauretania" była uzbrojona w morskie działa średniego kalibru i wyrzutnie min głębinowych na rufie, oraz w działa przeciwlotnicze, ustawione na specjalnych nadbudówkach wzdłuż burt i na dziobie. Siłą ognia dorównywała chyba kontrtorpedowcowi średniej klasy. Przy swojej prędkości, za dnia była bardzo trudnym celem dla łodzi podwodnej. Noce, na przekór naszemu wyobrażeniu o tym, co na morzu jest bezpieczne a co nie, dawały podwodnemu przeciwnikowi większe szanse. Dostaliśmy kategoriyczny zakaz palenia papierosów na otwartych

pokładach po zachodzie słońca. Zapalona zapałka - jak nam wyjaśniono - w nocy jest na morzu widoczna na odległość kilku do kilkunastu mil, żarzący się papieros - a odległość skutecznego ataku torpedowego.

Nie chciałbym przez całe życie spać w hamaku, ale pierwsza noc na pokładzie "Mauretanii" wydała mi się szczytem rozkoszy. Zasnąłem w błogostanie cichego szumu wentylatorów i delikatnego drżenia, w jakie wprawiała kadłub statku maszynownia. Gdyby Ktoś chciał mnie trochę pobujać, czułbym się jak w raju. Ale i bez bujania obudziłem się w doskonałym nastroju. Byliśmy już na pełnym morzu. "Mauretania" rozpędzała się i kołysząc się łagodnie z burty na burtę płynęła zgrabnym zygzakiem na południe. Życie potrafi być piękne, jak chce. Józio na lądzie nie miał szczęścia i przegrywał. Z wyjściem w morze karta mu się odwróciła i przez pierwsze dwa dni wygrywał. Później co wygrał, przegrał.

Przekroczyliśmy równik i była ceremonia z Neptunem, jego świtą i ofiarami. Przed ceremonią nasz Neptun wyłonił się chyba nie z toni morskiej, ale z baru, bo był w świetnym usposobieniu. Mało mu było zabawy z tymi, których poddawał zabiegom równikowego chrztu. Najpierw uszczypnął w nogę siedzącą w pierwszym rzędzie młodą мамę, zamiast pobawić się z jej małą córką, potem polał z sikawki widzów, nie oszczędzając wysokich szarż. Dzieci z uciechy i strachu przed tym wesołym ale groźnym władcą głośno piszczały i sikały w majtki.

Rozrywką następnego popołudnia miał być boks. Nie

pamiętałbym o tym wydarzeniu po czterdziestu latach, gdyby nie to, że brałem w nim bezpośredni udział. Na zaimprovizowanym ringu stoczyłem trzyrundową walkę z kolegą z podchorążówki, Jurkiem Zagrajskim. Przed walką umówiliśmy się, że nie dopuścimy do młócki i że pokażemy boks techniczny. Dobrych chęci wystarczyło nam tylko na pierwszą rundę. W drugiej poniosły nas nerwy i zaczęliśmy wymianę ciosów, ty mnie w nos, ja ciebie w ucho. Na początku trzeciej paskudnie nadziałem się na parę silnych kontr, ale w końcówce byłem lepszy. Wyszły mi dwa czyste mocne sierpy na szczękę, po których Jurek był liczony na stojąco. Sędzia Anglik orzekł remis. Widownia pożegnała nas oklaskami. W drugiej parze w wadze ciężkiej wystąpił marynarz Anglik przeciw naszemu koledze kapralowi Swiderskiemu. Walka trwała nie całą minutę. Wyższy o głowę Anglik dążył do dystansu. Krępy i bardzo silny Swiderski poszedł ostro do przodu, oberwał parę ciosów, które nie zrobiły na nim wrażenia, i trafił przeciwnika piekielnie mocnym prawym sierpem, którym dosłownie zmiotł go z ringu.

Swiderski chciał się jeszcze z kimś zmierzyć. Nie zdejmując rękawic rzucił wyzwanie widowni, ale chętnych nie znalazł. Sędzia Anglik zaprosił nas, zawodników do swojego kasyna na piwo. W wojsku opłaca się być sportowcem, kiep kto o tym nie wie.

Próbnе alarmy towarzyszyły nam przez całą drogę. Jeden z nich na wysokości Madagaskaru był prawdziwy. Kilkadziesiąt mil od miejsca w którym znajdowała się wtedy "Mauretania", został storpedowany i zatopiony inny duży

transportowiec, mylnie zidentyfikowany przez załogę łodzi podwodnej wroga jako "Mauretania". To też zdziwiliśmy się bardzo, kiedy po wpłynięciu do portu w Durbanie pokazano nam miejscowe gazety donoszące o stracie "Mauretanii". Nie wiem jak to się stało, ale widocznie na sprostowaniu tej fałszywej informacji nie zależało Admiralicji Brytyjskiej - na wojnie są sytuacje, w których będąc żywym dobrze jest udać trupa...

Nazajutrz pożegnaliśmy się z "Mauretanią". Z żalem. To był bardzo dobry statek. Zeszliśmy na ląd, wsiedliśmy do pociągu i w dalszą drogę. Dokąd? Diabli wiedzą, blisko czy daleko, w każdym razie w głąb Czarnej Afryki. Pociąg jest europejski, zelektryfikowany, czysty i z miękkimi siedzeniami, więc po co się martwić, czy podróż potrwa godzinę czy ileś tam dni. Jest tutaj teraz zima, ale ta jest zielona, nie straszna. Przelatujemy przez tunele, nie zatrzymujemy się, zwalniamy dopiero przed sporym miastem. Miasto nazywa się Pietermaritzburg. Wsiadamy na bocznicę i maszerujemy do obozu pod namioty. Obóz jest olbrzymi, największy z tych w jakich byłem i najładniejszy. Są prysznice, przyzwoite ubikacje i zieleń. Tak więc oczy nam odpoczną na jakiś czas od oślepiającej bieli śniegu i żółtych piasków.

Od okolicy obóz jest odgradzony drutem, nie kolczastym, zwykłym. Za drutem rośnie trawa sucha i ostra, dalej są krzaki i nieużytki, jeszcze dalej tubylcza osada. Namioty, które nam przydzielono, stały rzędem na skraju obozu wzdłuż ogrodzenia. Do miasta nie było daleko.

Zaczynało się kilkaset metrów od głównej bramy obozu. Miało swoje niewielkie centrum, rozległe i bardzo piękne dzielnice willowe białych i część zamieszkała przez Murzynów. Z zamknięciem sklepów i urzędów centrum wymierało, Murzyni nie mieli tam czego szukać, białych przechodniów widziało się na ulicach nie więcej, niż w wieczór wigilijny w bawarskich miasteczkach. Murzyńska dzielnica żyła dłużej w noc. Jakie to życie było, z białych mieszkańców miasta wiedziała tylko policja. Innych to nie interesowało. Ale nie wszystkich, bo na przykład takiego Witka to bardzo interesowało. Nie odczuwał obawy przed Murzynami, bo już jako małe dziecko bawił się w popularną kiedyś grę "Boicie się czarnego luda??? Nie!!!", nic więc dziwnego, że już następnego dnia wieczorem przeskoczył bez przepustki druty obozu, żeby upewnić się, czy ci czarni nie robią w swojej dzielnicy czegoś, na co on ma ochotę. Nie był wyjątkiem i nie poszedł sam. Z wyprawy wrócili późno bardzo zadowoleni. Do burdelu, który łatwo znaleźli, właścicielka - stukilogramowa czarna matrona - początkowo nie chciała ich wpuścić, broniła się strachem przed policją, ale w końcu uległa, kiedy Witek wyjaśnił jej po angielsku kim jest.

- Black good, white no good, me white good, me white  
Warszawa.

Wywróciła białka oczu, jakby w niebie szukała usprawiedliwienia tego co robi, i powiedziała:

- Good...

Po tej konwersacji Witek postanowił, że zacznie się

uczyć angielskiego; bo stwierdził, że radzi sobie w tym języku nieźle, ale ma jeszcze braki. W Persji można się było dogadać po rosyjsku i niemiecku, w Palestynie po polsku, w Południowej Afryce po angielsku jak kto umiał, a nie umiał prawie nikt. Na parę tysięcy polskiego wojska, które zaległo w obozie w oczekiwaniu na dalszy transport, znalazł się jeden Żyd buchalter, który dobrze liczył po angielsku, drugi Żyd - kupiec, który znał się trochę na korespondencji handlowej z wyspiarzami, i paru chrześcijan, którzy bardzo polubili angielski, ale znali ten język raczej we własnym przekonaniu, niż w rzeczywistości. Takich, którzy znali biegle francuski i niemiecki, było sporo, ale co z tego kiedy wśród białych i czarnych mieszkańców Pietermaritzburga te języki były prawie nieznanne i niewiele bardziej przydatne od polskiego.

Żołnierze młodszy wiekiem w rozmowach z miejscową ludnością pomagali sobie gestykulacją. Ich rozmowy dotyczyły spraw w których to podobnym językiem posługiwali się ludzie, zanim zeszli z drzew: jeść, pić, ja ciebie lubię, idź do diabła... Nie mieli zatem przeszkód, żeby rozumieć i być zrozumianym. Sprawa miała się gorzej, kiedy dochodziło do rozmów na bardziej skomplikowane tematy między żołnierzami starszymi wiekiem i rangą, z miejscowymi poważnymi obywatelami. Wtedy, jeżeli pod ręką nie znalazł się jakiś tłumacz, rozmowa przypominała duet w tańcu Św. Wita w sztywnym wykonaniu. W takim duecie podobno wystąpił nasz dowódca dywizji z miejscowym

burmistrzem i widok był żaloszny.

Porucznik Majewski odszedł od nas w Palestynie. Kompanię przejął po nim kapitan marynarki wojennej, znany przed wojną pod pseudonimem Jim Poker, pisarz - marynista. Swoją przejściową funkcję traktował z przymurzeniem oka, jak dopust boży. Interesował się nami tyle, ile musiał. Właściwą władzę nad kompanią dzielił szef, starszy sierżant Mucha, z plutonowym podchorążym Szalukiem. Dwaj zawodowi żołnierze, jeden na szczycie, drugi u progu swoich życiowych karier. Szef kompanii, starszy sierżant Mucha, siusznego wzrostu i tuszy, łysawy i obdarzony tubalnym głosem, posiadał wszystkie zalety i wady potrzebne do piastowania tego stanowiska. Plutonowy podchorąży Szaluk człowiek raczej nikczemnej postury jak na przyszłego zawodowego oficera, był zarozumiały, złośliwy i żądny władzy. Był nielubiany i wiedział o tym. Po paru dniach ćwiczeń prowadzonych przez Szaluka staliśmy się pośmiewiskiem okolicznych Murzynów. Na ich oczach kazał nam się czołgać po rżyskach, przez kałuże, przez błoto, wrzeszczał przy tym i pieniał się. Tubylcy przypatrywali się temu co Szaluk z nami wyrabia, początkowo ze strachem, później z niedowierzaniem, w końcu ze śmiechem. Na afrykańskie pola, gdzie nas Szaluk wyprowadzał, przychodzili jak do cyrku i niebawem zaczęli nas sobie pokazywać palcami. Wydawali z siebie jakieś okrzyki, które pewno oznaczały:

- O jest ten twój ryży, siwy, gruby...

Któregoś dnia podchorąży plutonowy Szaluk przeliczył



się. Odmówiliśmy wykonania rozkazu, kiedy kazał nam czołgać się na drodze pełnej ostrych kamieni i kałuż brudnej wody.

- Co to bunt? Ja wam pokażę! - ryknął poczerwieniały na twarzy.

- Niech pan podchorąży pokaże lekarzowi, my się na tym nie znamy - powiedział ktoś z szeregu i wszyscy parsknęli śmiechem.

- Kompania śpiewa! - wrzasnął żeby śpiewem uporządkować swój zbuntowany oddział. To, co usłyszał, wprawiło go w ostateczną wściekłość, po której pozostaje tylko mord.

"Mucha czałem pływa w zupie,

My Szaluka mamy w dupie..."

- Bacność!!! Z nerwów zapiał dyszkantem.

Wojsko w marszu na bacność nie śpiewa i Szaluk myślał, że tą komendą przerwie nam pieśń o samym sobie. Nie przerwał, nie przybijaliśmy kroku, śpiewaliśmy cały czas aż do bramy obozu tę skomponowaną ad hoc pieśń na jego, Szaluka, cześć i sławę. Za bramą samowolnie rozeszliśmy się, każdy w swoją stronę. Szaluk wyszedł z obozu z wojskiem, wrócił bez i zaraz pobiegł do kapitana na skargę. Kapitan, który bardzo sobie cenił spokój, nie był zachwycony sprawą, z którą przyszedł do niego Szaluk. Nie wysłuchał go do końca i odprawił krótko poleceniem sporządzenia raportu na piśmie. Sprawy nie mogliśmy zaniedbać i my. Do kapitana poszła więc nasza delegacja w składzie: burmistrz, prawnik i inżynier, która została

przyjęta lepiej od naszego prześladowcy. Szaluk nie zdążył jeszcze napisać swojego raportu, kiedy my już wiedzieliśmy, że ten kretyn więcej z nami na ćwiczenia nie pójdzie. I tak to właśnie Murzyni stracili rozrywkę.

Życie kompanii zmieniło się na lepsze, moje stało się prawie sielanka. Zawdzięczałem to – jak wszystko dobre, co mnie w wojsku spotkało – swoim uzdolnieniem w różnych dziedzinach sportu.

Parę dni po naszym przybyciu do obozu, burmistrz Pietermaritzburga podyktował swojej sekretarce pismo, w którym zawiadamiał nasze dowództwo o swojej decyzji zarezerwowania dwóch miejskich kortów tenisowych do prywatnego użytku Polaków. Żaden z oficerów w tenisa grać nie umiał i pismo, które nie wyszło poza kasyno oficerskie, pozostało bez odpowiedzi. Uparty burmistrz podyktował więc drugie, w którym nadmienił, że jest mu przykro, ale on nie wiedział, że w Polsce tenis jest nieznany, i wobec tego jest skłonny oddać korty z powrotem do użytku publicznego.

Sprawa stała się poważna. Nie chodziło przecież o palanta, ale o sport prestiżowy. Co sobie mógł taki burmistrz pomyśleć o Polakach?

Na porannym apelu starszy sierżant Mucha, zaopatrzony w odpowiednie instrukcje, zapytał:

– Czy ktoś z was umie grać w tego... no jak mu tam... tenisa?

Wystąpiło kilku. Nie tenisistom Mucha kazał się rozejść, tenisistom pozostać.

- Będziecie codziennie chodzili grać. Ale żeby mi tam nie było jakiegoś gzicia się z babami. To są zajęcia służbowe. Rozumiecie?

- A czy pan, panie starszy sierżancie, będzie z nami chodził? - zapytał jeden z tenisistów.

Mucha spojrział na nas groźnie.

- Ja na głupoty nie mam czasu i was też bym zapędził do czego innego, ale rozkaz w wojsku rzecz święta. I pamiętać mi, żadnego gzicia się z babami, to są zajęcia służbowe.

- Tak jest, panie starszy sierżancie - odpowiedzieliśmy ciekawi, jakie to baby nasz szef wypatrzył na kortach. Musiały być niezgorsze, skoro Mucha, który wydawał wszystkie swoje pieniądze na prezenty dla żony w Polsce, tak je zapamiętał.

I były. Ładne, zgrabne, młode i uśmiechnięte. Pamela była piękna urodą, o której jej rodacy mówią "simple english beauty". Miała siedemnaście lat, jako dziecko przyjechała z rodzicami prosto z Londynu i podkreślała to, że jest Angielką. Rodzicami jej koleżanki Betsy było mieszane małżeństwo holendersko-irlandzkie. Sama Betsy mówiła, że jest narodowości południowo-afrykańskiej. Do tych dwóch bab - jak je nazwał Mucha - dołączyłem z Goldbergiem i razem utworzyliśmy partie miksta: Goldberg z Betsy, ja z Pamelą. Tak się nami podzieliły, z czego, przyznam, nie byłem niezadowolony. Pamela była najładniejszą dziewczyną na kortach, a może i w całym mieście. Goldberg był starszy ode mnie, prawie łysy, za to

na torsie bujnie owłosiony, pochodził z Warszawy z mieszanej polsko-żydowskiej rodziny. Wyglądał na mężczyznę, który wie, dlaczego nosi spodnie, ale rękę przekór temu z kobietami był bardzo nieśmiały. Tym najbardziej zaciekawił Betsy.

Przy kortach były zarośnięte zielenią dwie altanki, kiosk z napojami i przystanek autobusowy. Czas upływał nam na grze w tenisa, przesiadywaniu po altankach i pożegnaniach na przystanku. Robiliśmy szybkie postępy w angielskim. Nasze partnerki uczyły nas, ze sporym zaangażowaniem, poprawnej wymowy różnych wyrazów. Po paru dniach umieliśmy już z oxfordzkim akcentem powiedzieć: kot, pies, dziewczyna, chłopiec, ja ciebie kocham, pocałuj mnie... Wszystko to było bardzo młode i niewinne, chociaż gdyby starszy sierżant Mucha podpatrzył nas, to kto wie, czy tego, co robiliśmy w tych altankach, nie uznałby za wykroczenie na służbie, przed którym nas ostrzegał.

Famela była pierwszą Angielką jaką poznałem, a dom jej rodziców pierwszym angielskim domem. Z kortów zabrała nas samochodem jej starsza siostra. Wjechała przez okratowaną bramę w kamiennym murze z otworami, które przypominały strzelnice, i zatrzymała się przed przeszklonym holem pięknej rezydencji. Przypomniała mi się bajka o Czerwonym Kapturku i zdanie, wypowiedziane przez Kapturka: "Babciu, ale dlaczego masz takie wielkie zęby?". Wsiadając z samochodu wskazałem ręką na umocnienie obronne domu rodziców Fameli.

- Na tygrysy?...

Roześmiały się obie.

- Nie, na Murzynów, żeby nie proszeni tutaj nie przychodzili.

Rozjaśniło mi się w głowie. Oni mieli tutaj Murzynów, tak jak my na Dzikich Polach, za Jeremiego Wiśniowieckiego, Tatarów i Kozaków, przed którymi wywieszka "zły pies" nie broniła zbyt skutecznie. Machając ogonem przybiegł pies Pameli, radosny na jej widok czarny szkocki terier. Wzięła go za ręce i weszliśmy do holu. Pies wabił się Whisky i whisky zaproponował ojciec Pameli, raczej powściągliwy niż wylewny gentelman w średnim wieku. Matka Pameli, wyglądająca na starszą siostrę swoich córek, ubrana z wyszukanie skromną elegancją, posadziła mnie na fotelu przy palącym się kominku koło Pameli. "Whisky" - pies poczuł do mnie sympatię i wskoczył na kolana. Zaczęła się rozmowa, w której całą uwagę skupiłem na tym, żeby we właściwych miejscach odpowiadać: tak lub nie. Kiedy nie rozumiałem pytania z pomocą przychodziła mi Pamela. Na kortach wprowadziłem ją trochę w swój życiorys i teraz to się bardzo przydało. Odpowiadała za mnie czasami jednym, czasami paroma zdaniami, a ja potakiwałem głową, że właśnie to co mówi Pamela, sam chciałem powiedzieć.

- Córka mi mówiła, że pan był w Rosji - zagadnął pan domu.

- Tak.

- To wielki kraj i dużo teraz od Rosji zależy...

- Tak - zgodziłem się.

- A dlaczego pan stamtąd wyjechał? - milczałem

zaskoczony tym pytaniem. Pamela wyjaśniła mu powód mojego wyjazdu.

- O...! - zdziwiła się matka z przestraczem. - To pan był tam w więzieniu?

- Tak...

- A za co pana Rosjanie aresztowali? - wtrącił się ojciec. Odpowiedziała za mnie Pamela.

- Za przestępstwo polityczne? - zdziwił się szczerze.

- Nie rozumiem, co pan w swoim wieku mógł mieć wspólnego z polityką?

Nie rozumiał co dla NKWD było oczywiste. Nie pomyślał o tym, że gdybym był zwykłym złodziejem, to nie byłbym w podchorążówce i nie grałbym z jego córką w tenisa. Nie uwierzyłyby, że w Rosji wystarcza ukończenie dwunastego roku życia, żeby to życie stracić z wyroku sądu za przestępstwo polityczne i że, jak na tamtejszego polityka, jestem w pełni dorosły. Argumentów miałem w zanadru dość, ale z braku znajomości angielskiego nie mogłem się nimi posłużyć. Z pomocą pośpieszyła mi Pamela. Z moich nieskładnych zwierzeń na kortach w altance wiedziała o mnie więcej, niż jej ojciec. O mnie i przy okazji o Rosji. Dzielna dziewczyna stanęła za mną murem. Z obrzydzeniem wymawiała słowa: Stalin, komunizm, NKWD, Mołotow... Ojciec z pobłażliwym ale przyjaznym uśmiechem zwrócił się do mnie:

- Widzę, że pan nie lubi Stalina.

- Nie lubię!

- I myśli pan, że Niemcy wygrają wojnę? Zajmą Rosję?

- Nie. Niemcy wojnę przegrali. Wygraliby, gdyby zajęli Rosję, ale nie zajmą. - Powtórzyłem to za Stiepanem Siergiejewiczem z więzienia w Złatouście.

- Też tak myślę...

"Whisky" znudzony zasnął mi na kolanach. Matka Faneli poradziła mi, żebym go strząsnął na dywan, bo zaprasza do stołu. Pies warknął. Poglaskałem go. - Dobry piesek - powiedziałem po polsku, co jakby zrozumiał i pomerdał ogonem.

- Miał pan psa? - zapytała matka Faneli.

- Miałem...

- A co się z nim stało?

- Nie wiem wzruszyłem ramionami - nie wiem, czy jeszcze w ogóle żyje.

Po wojnie dowiedziałem się, że mój Remi obszczekiwał Niemców jadących przez Krzemieniec na wschód i że załoga któregoś czołgu wzięła go ze sobą i ślad po nim zaginął.

- To bardzo przykre, ale proszę niech pan bierze to, co jest na stole i nie krępuje się...

Przy stole byłem dyskretnie obserwowany. Może mi się wydawało, ale chyba obserwowano mnie, bo wszyscy byli ciekawi jak też ten przybysz z egzotycznej Polski, kraju niedźwiedzi i Chopina, zachowa się przy jedzeniu. Czy będzie mlaskał, siorbał i jadł palcami. Ale Fanela, nie musiała się wstydzić moich manier. Jak na kogoś, kto przez dwa lata posługiwał się drewnianą łyżką i blaszanym kociołkiem i nie siedział ani razu przy czysto nakrytym stole, wypadłem raczej dobrze.

Przy pożegnaniu ojciec Pameli podał mi rękę i powiedział, że jego dom jest dla mnie otwarty, i że gdybym po wojnie miał jakieś trudności z osiedleniem się we własnym kraju, mogę liczyć na jego pomoc w Południowej Afryce, gdzie on ma coś nie coś do powiedzenia. Powrót do obozu miałem pluszowy. Siedziałem z tyłu z Pamelą, szoferowała jej starsza siostra. Było już zupełnie ciemno, z przepustki na koryty byłem dawno spóźniony. Należało więc albo podjechać pod druty gdzieś w miejscu niewidocznym z bramy, albo... Parę dni wcześniej nasza podchorążówka została wyznaczona do służby wartowniczej. Stałem wtedy na głównej bramie jako pomoc wąsatego wachmistrza obozowej zandarmerii, który przy bramie kontrolował dokumenty. Wtedy to wachmistrz wydał mi rozkaz.



- Nie będzie mnie przez godzinę. Jak by przyjechała samochodem taka wiecie panna i powiedziała po angielsku - porucznik Kawa, to macie ją wpuścić... Zrozumieliście?

- Tak jest, panie wachmistrzu

Przyjechała, powiedziała, wpuściłem. Była raczej stara i brzydka, to też teraz pomyślałem sobie, że nie wyrządze krzywdy porucznikowi Kawie, jak się na niego powołają dwie młode i bardzo ładne dziewczyny. Pamela usiadła na przednim siedzeniu przy siostrze i przez ostatni kilometr drogi uczyła się głośno tego, co ma powiedzieć, ja ukryłem się z tyłu. Podjechaliśmy do bramy i usłyszałem pytanie wachmistrza:

- A panienka to dokąd? - był podejrzliwy.

- P... p... po... porucznik... Ka...Kawa.

- A, porucznik Kawa ucieszył się i głos mu pojaśniał - proszę, proszę...

Za bramą obie siostry wybuchnęły śmiechem.

- How exciting... Wisiek, that was wonderful, just something I would not miss for life...

Po słońcu jest deszcz. Gdyby było inaczej, życie byłoby nudne. Nasza, tenisistów, sielanka trwała już prawie miesiąc i był początek sierpnia, kiedy na porannej zbiórce starszy sierżant Mucha pojawił się niespodziewanie w towarzystwie obozowego fryzjera. Po sprawdzeniu, czy wszyscy są, wskazał ręką fryzjera, odchrząknął i dobitnym głosem, żeby wszyscy słyszeli, powiedział:

- Rozkazem dowództwa podchorążówka będzie miała dzisiaj ostrzyżone włosy!

W szeregach podniósł się narastający szmer.

- Cisza mi tam! - ryknął - to jest rozkaz, milczeć i słuchać!

Kiedy się trochę uciszyło, zaczął od początku.

Rozkazem dowództwa, podchorążówka będzie miała dzisiaj obcięte włosy. Byliście jedynym oddziałem w całym zgrupowaniu, który miał włosy, a to było niesprawiedliwe i inne oddziały zaczęły się buntować. Żeby była równość, wszyscy będą mieli ostrzyżone głowy. Jednakowo.

Zawrzało od nowa. Odezwały się gwizdy.

- Cisza! - zaryczał Mucha o ton wyżej i zwrócił się do fryzjera: - Panie Klajman, śmiało! Niech pan zaczyna!

Mucha popychaniem zaczął zachęcać opierającego się ze strachu fryzjera.

- Niech pan zaczyna od pierwszej trójki. Śmiało, mówię, śmiało!

W pierwszej trójce pierwszym do strzyżenia był kapral Swiderski. Ten sam, który wygrał przed czasem walkę na ringu "Mauretanii". Miał piękną czarną czuprynę i dziewczynę w mieście. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu, co zrobi. Swiderski wbił w Klajmana wzrok sycylijskiego bandyty.

- Czego? - warknął dziko.

- Ja... ja... panu kapralowi - jękał się śmiertelnie przerażony Klajman - tylko zrobię taką drogę przez głowę... nic więcej nie zrobię... Ja mówię prawdę... A później, jak pan kapral będzie chciał, to pan kapral sam do mnie przyjdzie na poprawkę.

Klajman przestępował z nogi na nogę i stał w miejscu. Swiderski zacisnął kwadratowe szczęki, wycedził przez zęby groźbę, której by się przestraszył najodważniejszy.

- Nie podchodź, bo łeb stracę!

Klajman zaczął się cofać. - Panie szefie, niech pan weźmie ode mnie tę maszynkę, ja jej nie chcę! Czy ja muszę być fryzjerem?

Mucha zaryczał na tej zbiórce trzeci raz:

- Co to, bunt? Ja was do jasnej cholery nauczę, co to wojsko i rozkaz. Zbuntowani rozejść się, reszta zostać.

Została połowa. Po południu opornych wezwał kapitan Jim Poker.

- Zapewniam was, że to nie mój pomysł - zaczął jak przyjaciel nie zwierzchnik. - Może to i głupi rozkaz, ale pamiętajcie, że wojny wygrywa się wypełniając rozkazy głupie i mądre. Jest tutaj teraz zima i porażenia słonecznego nikt nie dostanie dlatego, że dał sobie ostrzyć głowę, a opór może będzie równoznaczny z usunięciem ze szkoły. Radzę, żeby wszyscy dobrowolnie poszli do fryzjera. Jutro na zbiórce chcę was widzieć ostrzyżonych!

W grupie opornych byli wszyscy tenisiści. Goldberga i inżyniera Wodzickiego ten rozkaz bardziej rozśmieszył niż zmartwił. Po włosach zostały im tylko wspomnienia, obaj świecili prawie łysymi czaszkami. Talarski miał włosy, które po namyśle postanowił poświęcić dla kariery wojskowej. Był usprawiedliwiony. Nie miał specjalnego powodzenia u dziewczyn na kortach, miał natomiast ojca,

majora zawodowego, któremu nie chciał zrobić przykrości. Było jeszcze paru innych wahających się, którzy początkowo byli oporni, ale zmiękli i haniebnie ustawili się w kolejce do Klajmana. Opór słabł z godziny na godzinę, tak że następnego dnia z porannej zbiórki do aresztu poszło nas tylko dwóch. Kapral Swiderski i ja. Dostaliśmy po 14 dni paki z pozbawieniem żołdu i z pogrózką, że pierwszy i ostatni raz zostaliśmy potraktowani tak łagodnie. Areszt mieścił się w namiocie pilnowanym, na zmianę, przez żołnierzy, którzy za drobne przewinienia byli wyznaczani za karę do tej służby. Swiderski już na drugi dzień wszedł w układ z wartownikami.

- Janek, ty mnie wypuść na noc, rano wrócę i przyniosę tobie flachę. No jak?

Janek nie był służbistą.

- Idź, tylko wróć przed szóstą.

Swiderski przynosił, nie miał pieniędzy ale przynosił. Po paru dniach jego kochanka zaczęła kupować gin w hurcie, żeby było taniej. Po tygodniu odwiedził mnie Goldberg.

- Wiesiek, Pamela ciągle dopytuje się o ciebie. Powiedziałem jej, że jesteś chory, w co nie uwierzyła, a teraz mówi, że ja coś kręcę. Ona chce się z tobą koniecznie zobaczyć. Co mam zrobić?

Chciałem być oficerem, ale nie za każdą cenę.

- Stary, masz forse?

- Mam, ile?

- Na butelkę ginu.

- Starczy.

- Pożyczysz?

- Oczywiście.

- Dobrze, daj forszę i powiedz Pamelii, że jutro przyjdę na korty.

- Jak to zrobisz?

- Moja głowa, forszę zwróce, nie tak prędko.

- Nieważne, potrzebujesz coś jeszcze?

- Tak. Powiedz Józiowi, żeby do mnie wpadł. Pozdrów Betsy.

- Zrobione.

- Cześć.

- Cześć.

Do Józia nie miałem żadnej sprawy, po prostu stęskniłem się za jego towarzystwem, żartami i swadą. Józio przyszedł do aresztu jak przystoi z butelką, która musieliśmy się podzielić z wartownikiem. Bez tego drań nie chciał go wpuścić. Ostatnio Józiowi szła karta i zaznaczył z góry, że się nie wykosztował.

- Ty wiesz, co mówią? - powiedział po pierwszym łyku z menażki.

- Co?

- Że to skurwysyny.

- Kto?

- Jak to kto? Siedzisz tutaj i nic nie wiesz!

Józio odpowiadał mi o plotkach, które drażyły kompanię jak kret ziemię. Według tych plotek, nie było w dywizji oddziału, który z powodu włosów na głowach podchorążych podniósł bunt. W ogóle nie było żadnego

buntu. Włosy podchorążych nie spodobały się niektórym bywalcom kasyna oficerskiego. Podpili dowódcę i namówili go, żeby wydał taki rozkaz. Chcieli się pozbyć konkurencji do dziewczyn w mieście. Łyknęliśmy. Pokręciłem głową z niedowierzaniem.

- To chyba tylko plotki...

- Zastanów się. Żadnego buntu nie było, a rozkaz pochodzi na pewno z kasyna oficerskiego.

Kiedy Józio poszedł, przypomniałem sobie, że któregoś dnia Pamela przyniosła na korty aparat fotograficzny, i że robiliśmy sobie zdjęcia w pozach, które mogły wzburzyć dwóch oficerów obserwujących nas przez drucianą siatkę odgradzającą korty od ulicy. Może to oni wpadli przy barze kasyna na pomysł tych postrzyżyn. Zasypiając, nie po raz pierwszy pomyślałem, że życie jest pełne zasadzek. W areszcie byłem sam, Świdorski poszedł do miasta zapracować na butelkę ginu dla wartownika. Świdorski żył nocnym życiem. Jego wyjścia i powroty wypadały przed i po kontroli obecności aresztantów. W uregulowany sposób wychodził o zmierzchu i wracał przed świtem. Sam byłem w trudniejszej sytuacji. Gin musiałem kupić za własne pieniądze, wyjść w południe i wrócić przed zachodem słońca. Księżyc, ten sprzymierzeniec zakochanych i złodziei, nie miał być mi przychylny. Wartownik, któremu wypadła służba tego dnia, początkowo nie dawał się przekupić.

- A co powiem jak przyjdzie inspekcja?

Plutonowy Cygan, zastępca szefa kompanii starszego

sierżanta Muchy, był tym, którego obawiał się wartownik. Cygan, człowiek sprawiedliwy, w nocy spał dobrze, ale za dnia czasami się nudził i przychodził do aresztu nie z sympatii do więźniów, ale na kontrolę.

- Czego się boisz? Powiesz, że wyszedłem do latryny i nie wróciłem, a ty nie mogłeś opuścić posterunku, bo żołnierzowi tego nie wolno. Daje flachę, czy nie daje?

Moje przywitanie z Famelą wypadło dobrze, pożegnanie mogło wypaść lepiej. Przyznałem się, że zbiegłem z aresztu, żeby się z nią zobaczyć, za co wynagrodziła mnie namiętnym pocałunkiem. Umówiliśmy się, że będziemy się nadal spotykali jak wyjdę z aresztu.

Nie spotkaliśmy się więcej...

Zostało mi jeszcze parę dni odsiatki, kiedy do namiotu - aresztu wszedł starszy sierżant Mucha.

- Zbierajcie się!

x x x

Godzinę później byliśmy w drodze do Durbanu. Tymczasem podchorążówka zmieniła wodza. Był marynarz, teraz mieliśmy lotnika. Fajnego faceta, porucznika Zbigniewa Groszka, wychowanka szkoły w Dęblinie. Takiego o którym w wojsku mówi się: przystojniak i pistolet. Włosy miał bujne, ale od jednej trzeciej czaszki, mógł się jednak pokusić o najładniejsze dziewczyny, co robił z dużym powodzeniem. Zawieźli nas do portu, tam gdzie już byliśmy. Nasz nowy statek nazywał się "Laconia". Kolega, ongiś wysoki

urzędnik pocztowy, lwowiak Stasio Tokarski, na nazwę statku powiedział:

- Ta u nas, we Lwowi był zakład pogrzebowy i nazywał się "Concordia", coś mi ta "Laconia" śmierdzi "Concordią". Roześmialiśmy się jak z żartu, Nie wiedzieliśmy, że to duże ale stare pudło przejdzie do historii drugiej wojny światowej i że sam admirał Doenitz będzie się tłumaczył przed sądem w Norymberdze z wydanego przez siebie rozkazu, który nazwał "Laconia Befehl". Na przejazd "Laconią" mieliśmy zapracować. Przed nami zaokrętowali tutaj Włosi, jeńcy wojenni wzięci w Afryce Północnej, a było ich, chyba że dwa tysiące. Mieliśmy ich pilnować, na statku, odgradzonych kratami. Posterunków przy Włochach było dziesięć. Dostaliśmy karabiny bardzo starego typu, bez amunicji ale z bagnietami, którymi mieliśmy rozkaz klóć swoich więźniów w razie, gdyby ci okazali się nieposłuszni. Następnego dnia załadowaliśmy na statek ileś tam małych, ale bardzo ciężkich, skrzynek z towarem, którego Anglicy ze znanych sobie powodów nie chcieli powierzyć zawodowym dokerom - Murzynom. Nie wiedząc o tym, nosiliśmy czyste złoto, którego pewnikiem starczyłoby na odzyskanie od Krzyżaków całych Prus Wschodnich bez rozlewu krwi. Kiedy po południu tego dnia odpoczywaliśmy na pokładzie, do portu w Durbanie wpłynął statek. Zaczumował za rufą "Laconii", Nazywał się m/s "Sobieski". Wszedł, jak wystrojona panna. Zgrabny jak cholera, doczyszczony, domyty, z biało-czerowną banderą.

W tym dniu spotkała nas jeszcze jedna niespodzianka.



Na pokładzie słonecznym "Laconii" sterczało lufą w niebo działo przeciwlotnicze. I stała by sobie ta armata spokojnie, gdyby ktoś nie odczytał jej metryki fabrycznej. "Państwowe Zakłady Zbrojeniowe, Radom, rok produkcji 1938". Kiedy ta wiadomość się rozeszła, do armaty zaczęły się pielgrzymki, jak do świętego obrazu. Każdy chciał ten kawałek Polski, tu na brytyjskim statku, w podzwrotnikowej Afryce, obejrzeć i pogłaskać.

Nasza messa nie różniła się prawie od tej, jaką zajmowaliśmy na "Mauretanii". Stoły, ławy, podłoga wyłożona linoleum, hamaki i iluminatory. Byliśmy z metr nad wodą. "Laconia" była silnie uzbrojona, ale z jej prędkością nie było najlepiej. Dwudziestoletnia, jeszcze nie utykająca staruszka, ale już nie zwawa miódka, zagrożona jakimś gwałtem mogła uciekać z prędkością nie większą niż szesnaście węzłów, nie długo, do pierwszej zadyszki swoich maszyn. W tym rejsie chyba nic jej nie groziło. Miała na pokładzie z pół dywizji włoskich jeńców. Miała ale Józio powiedział, że czułby się pewniej z jednym tylko zakładnikiem, gdyby nim był na przykład Goring. Tylko skąd takiego wziąć?...

W trzecim dniu pobytu na "Laconii" dostaliśmy przepustki na ląd. Poszliśmy razem. Ogiński, Józio i ja. Ogiński był przed wojną studentem Politechniki Lwowskiej i był rodzinnie związany z Kanałem Ogińskiego, który wybudował jego przodek. Z tradycją rodzinną budowy kanałów nie zerwał w łagrze; tam to wyznaczyli go do łopaty, która mieszała błoto, żeby osuszyć kawałek tajgi.

Nie mieliśmy pieniędzy. Na trzech zebraliśmy ze dwa szylingi, co wystarczało na trzy małe piwa. Postanowiliśmy, że wypijemy piwo i pójdziemy do jakiegoś miejscowego muzeum. Przy bramie oddzielającej port od miasta, usłyszeliśmy za sobą rozmowę prowadzoną w znanym nam języku. Nieznajomi cywile, widząc na naszych ramionach naszywki "Poland", bardzo się ucieszyli.

- Polacy?

- Tak.

- Z "Laconii"?

- Jak by pan zgadł.

- Dokąd idziecie?

- Do muzeum...

- Franek - powiedział niższy z dwóch cywili - jak Boga kocham, to jakieś zgrywusy. Mówią, że idą do muzeum i chcą, żebym ja im uwierzył. - Franek, krępy człowiek morza z tych, którym lepiej jest nie wchodzić w drogę, spojrzał na nas rozbawiony.

- Panowie, zarty na bok, dokąd idziecie?

- Do muzeum! - upierał się Ogiński.

- A po jaką cholere? Nie lepiej coś przełknąć, pomacać coś żywego, nie jakieś tam zasuszone mumie?

- Nie mamy forsy - przyznaliśmy się ze wstydem.

- A kto się was pyta o forse. Wy nie macie, ale my mamy. Idziemy razem, towarzystwo się liczy nie forsa.

W pierwszej knajpie wypiliśmy kilka kolejek, żeby się poznać. W drugiej przeszliśmy na ty, w trzeciej Franek już nieźle podpity, powiedział:

- No chłopcy z wodą przerwa, idziemy na dziwki.

- Nie - odezwałem się rezolutnie - dziękujemy za zaproszenie, ale przepustki nam się kończą i musimy wracać na statek.

- Co wy kolesie? powiedział Franek zgorszony odmowa - łajba na was poczeka. Wyjdziecie w rejs i szlak was może trafić, a my wiemy, gdzie tutaj pójść... Prawda, że czarne jak zaraza, ale jaka to różnica, póki żyjesz bracie, trzeba brać co jest.

Ogiński i Józio niebezpiecznie nie wtrącali się do rozmowy.

- Podłapać to i tamto można - powiedziałem, jak stary praktyk znający się na rzeczy.

- Czego trefisz koleś? - Podłapiesz i co z tego? Patrz na mnie: jeden młody syf i siedem razy tryper. I co?

Nie poszliśmy. Franek swoim młodym syfem nas wypłoszył. Po powrocie na "Laconię" dowiedzieliśmy się, że kapitan "Sobieskiego" otworzył dla podchorążówki bar i wszyscy koledzy, wolni od warty, już tam są. Kiep by nie poszedł. M/s "Sobieski" to był piękny statek. Kursował w tym czasie przeważnie po Oceanie Indyjskim, woził wojsko, ładunek nie wiele lepszy od małp. Pomimo to lśnił czystością i zadbaniem.

Przy barze było radośnie i tłoczno. Po tym, co wypilem z fundy Mariana i Franka, łatwo włączyłem się do gości kapitana m/s "Sobieski", bez skrępowania, onieśmielającego trzeźwych, którzy wdepną w towarzystwo podpitych. Barman nie udawał, że nalewa, polewał z sercem. Stałem i

popijałem jak inni i wtedy przypomniało mi się, że o naszym aktualnym wodzu, poruczniku Zbigniewie Groszku, usłyszałem od kogoś, że ma w dowództwie lotnictwa w Londynie jakiegoś wpływowego krewnego, czy innego tam pociotka. Byłem raczej podпиты, ale nie na tyle, żeby nie zadbać o swoją przyszłość w wojsku. Porucznik stał z napełnioną szklanką i robił wrażenie, że czuje się na m/s "Sobieski" nie gorzej, niż król Jan III po wiktorii wiedeńskiej. Chwila była stosowna. Podeszedłem do niego.

- Panie poruczniku...

- Tak, słucham.

- Ja chcę do lotnictwa.

- Teraz? - roześmiał się.

- Nie teraz... w ogóle.

- To co ja mam zrobić?

- Nie wiem, panie poruczniku.

- Więcej was takich w oddziale?

- Znajdzie się paru.

- Dobra, przypominajcie mi o tym jeszcze. Co będą mogli, zrobię.

- Dziękuję, powiem kolegom.

- Nie dziękujcie, nie jestem królem Syjamu, da się - zrobię, nie da się - trudno. To pan jest tym tenisistą z aresztu? - zagadnął.

- Tak jest, panie poruczniku.

- No to na zdrowie! - roześmiał się. - Postaram się.

Ta rozmowa przy barze miała ciąg dalszy.

Narazie, m/s "Sobieski" był po polsku gościnnie i

mieliśmy szczęście, że do "Laconii" było bardzo blisko, bo tym razem bez rozkazu plutonowego podchorążego Szaluka, większość z nas posuwała się w pozycji, w której on tak lubił oglądać swój oddział czołgający się i pełznący na przemian.

Rano odbiliśmy od mola i wyszliśmy w morze. Z Włochami, złotem i nadzieją, że tam dokąd płyniemy, zacznie się dla nas prawdziwa wojna. Był początek września i Niemcy byli przekonani, że wojnę wygrają. W Afryce, pod Stalingradem, wszędzie.

x     x     x

Przylądek Dobrej Nadziei nie bez powodu nazywał się kiedyś Przylądkiem Burz. Ocean rzucał "Laconią" na boki, w dół i w górę, omiatał białymi grzebieniami piany najwyższe pokłady, a z niższych zmywał posiłki pasażerów, którzy zdążyli je przełknąć, ale nie zdążyli strawić. Po czterech dniach przebijania się przez wysoką, czasami sztormową falę, wschodni brzeg Afryki się skończył i zawinęliśmy do portu Capetown. Dostaliśmy przepustki na ląd. Nie było tu z nami Mariana i Franka, więc poszliśmy grzecznie na zwiedzanie miasta. Wróciliśmy nieprzyzwoicie wcześnie. Wjazd na Górę Stołową i spacer po ogrodzie botanicznym nie zajęły nam zbyt dużo czasu. Obejrzeliśmy pobieżnie tropikalne kwiaty i krzaki i opuściliśmy ogród ku zadowoleniu sióstr zakonnych, oprowadzających grupy podrostków pici żeńskiej w szkolnych mundurkach.

Zakonnice, kiedy spostrzegły, że przyglądamy się ich wychowankom z większym zainteresowaniem niż roślinom, zaczęły się w stosunku do nas zachowywać nieprzyjaźnie. Kazały panienkom zmniejszyć odstęp między dwójkami i zaczęły nas obrzucać spojrzeniami, w których nie było nic z miłości bliźniego. Panienki zachowywały się raczej beztrosko, czym po powrocie do zamkniętego internatu zasłużyły sobie pewno na wykład cnotliwych sióstr o tym, że każdy żołnierz w ogrodzie botanicznym, jeżeli nie jest to rekonwalescent o kulach podpierany przez pielęgniarkę, to zwierzę, którego należy unikać pod groźbą wszystkich nieszczęść tego świata i wiecznego potępienia.

Trzy dni trwał postój "Laconii" w Capetown i popłynęliśmy. Najpierw na zachód, potem na północ.

Posterunki przy Włochach były różne, lepsze i gorsze. W wypadku zaatakowania statku, bardziej i mniej niebezpieczne. Nad wodą, gdzie dziura od torpedy w burcie nie groziła natychmiastową kąpielą, i na niżej położonych poziomach, gdzie o kąpiel było znacznie łatwiej. Starszy sierżant Mucha nie miał kłopotu z wyznaczaniem wartowników na gorsze i lepsze posterunki. Byli tacy, którzy uważali niebezpieczne posterunki za lepsze. Wcale nie z bohaterstwa. Z lenistwa. Do pomieszczeń na dnie "Laconii", gdzie przebywała większość jeńców, rzadko docierały inspekcje wart. Trzeba było tam zejść, a potem wyjść po sznurowej siatce, parę metrów w dół i w górę. Nikt nie udaje linoskoczka, kiedy naprawdę nie musi, i pewno dlatego kontrole nie były tam częste, albo nie było ich

wcale. Można się było przespać na tych posterunkach i dać więźniom karabin do zabawy, żeby się nie nudzili, albo, co widzieli chętniej, przynieść im czekoladę, za którą śpiewali piękne pieśni neapolitańskie. Chodziłem na te niebezpieczne posterunki. Nie z lenistwa, Nigdy nie lubiłem oglądania ludzi i zwierząt przez kraty. Pies w kagańcu do dziś mnie razi. Na posterunkach sześć, siedem i osiem nie musiałem, najeżony głupim bagnetem, sąsiadować przez kraty z tymi, których pilnowałem. Byłem wśród nich. Włosi, z małymi wyjątkami, odnosili się do nas przyjaźnie. Po paru dniach znali nasze imiona i cieszyli się, że jest Wiesiek a po nim przyjdzie Kazik. Większość naszych więźniów uważała swój udział w wojnie za nieporozumienie, a niewolę u Anglików za opatrność losu.

"Laconia", to był dziwny transportowiec. Było od początku wiadomo, że jak statek przedziurawia torpedy, to łodzi ratunkowych nie starczy nawet dla połowy pasażerów. Płynęliśmy bez konwoju, Samotni, gdzieś na równikowym Atlantyku, zdawałoby się, że daleko od Niemców i wojny. Niby bezpieczni. Któregoś dnia rano stałem na posterunku numer dwa czy trzy, takim, do którego docierały inspekcje, kiedy odezwały się dzwonki alarmowe i zaraz potem ryknęły działa. Włosi podbiegli do krat. Byłem tak samo przestraszony jak oni. Tak jak oni, nie wiedziałem, czy alarm jest próbny czy prawdziwy. Nie wiedziałem, chociaż powinienem być uprzedzony. To naprawdę były ćwiczenia w strzelaniu do podpalonej beczki z ropą, wyrzuconej za burtę "Laconii". Beczka rozleciała się po drugiej czy

trzeciej salwie, moi Włosi uspokoiili się ostatecznie, kiedy zobaczyli przez kraty, że nic się nie wydarzyło, bo właśnie idzie inspekcja, która chce się upewnić, czy wartownik stoi na posterunku, i czy przypadkiem nie uciekł. Inspekcja w pełnej gali. Kapitan statku, angielski pułkownik dowódca transportu, porucznik z wywiadu, kontrwywiadu, czy innej specjalnej angielskiej służby, który biegle posługiwał się językiem rosyjskich aliantów, i najmniej liczący się w tym towarzystwie porucznik Zbigniew Groszek.

- Czy są pytania! - zapytał angielski pułkownik dowódca transportu, zatrzymując się przy moim posterunku.

Pytanie przetłumaczył na rosyjski "inteligent" z wywiadu, kontrwywiadu, czy innej służby, porucznikowi Groszkowi a on powtórzył po polsku:

- Czy są jakieś pytania?

Pytań miałem parę, ale ograniczyłem się do jednego:

- Co mamy robić my, wartownicy, na wypadek storpedowania "Laconii"?

Tym zdawałoby się prostym pytaniem zaskoczyłem pułkownika. Nie wątpię, że znał odpowiedzi na wszystkie pytania zadawane w wojsku, bo inaczej nie byłby pułkownikiem, ale z odpowiedzią na moje miał jakby kłopot. Furpurowiał na twarzy, aż wreszcie palnął:

- Wszyscy zostają na swoich miejscach!

Zrozumiałem to już po angielsku, po rosyjsku było "wsie astajutsa na swoich miestach", po polsku porucznik Groszek ze wzrokiem, którym mi tłumaczył "zamknij pysk



idioto i tak zrobisz co będziesz uważał", powiedział surowo:

- Wszyscy stoja na wyznaczonych posterunkach do odwołania wart!

- Tak jest, panie poruczniku! - Zameldowałem jak napoleoński wiarus.

Pułkownik, uspokojony moją karną postawą, zadowolony z siebie, dał znak ręką, że wszystko jest w porządku, i inspekcja poszła dalej.

Józio przegrywał w karty, a nas, jak się niebawem okazało, nie prowadziła żadna tam szczęśliwa gwiazda, tylko iskrówki niemieckich łodzi podwodnych - z chęcią mordu w peryskopie. Tak widocznie było zapisane w niebie, że wieczorem o ósmej z minutami w dniu dwunastego września "Laconia" pójdzie pod wodę, żeby przejść do historii za sprawą wielkiego admirała Karla Donitza i jego rozkazu, znanego pod nazwą "Laconia Befehl".

Gieniek Startek obejmował po mnie wartę na drugim czy trzecim posterunku. Idąc na wartę zapomniał wziąć pas ratunkowy. Dałem mu swój. Była chyba ósma pięć, w messie, do której zdążyłem wrócić, Józio wyciągnął do mnie rękę.

- Wiesiek daj forszę, w kantynie sprzedają...

Co sprzedają już nie usłyszałem. W ułamku sekundy zdarzyło się wszystko. Huk, wstrząs, prysznic wody z wywalonych iluminatorów. Zaczęliśmy podnosić się z podłogi, ale znów huk, wstrząs, prysznic i zapach siarki. Ktoś krzyknął. Coś spadło mi na głowę. Ocknąłem się pod ścianą messy. Byłem w wodzie. Tej wody nie było dużo, tyle

ile wlało się przez iluminatory, kiedy wybuchła pierwsza torpeda. Ale co to? Podłoga jakos dziwnie sterczy w góre. Przy wyjściu pali się fioletowa żarówka "emergency", dzwonki alarmowe nie dzwonią, maszynownia milczy - zupełnie milczy martwą ciszą. Rozejrzałem się. Byłem sam. Podłoga wyłożona linoleum i spryskana wodą jest bardzo śliska. Pochylona jest jak szklana góra. Zerwałem się i ruszyłem do wyjścia. Dwa kroki, leżę jak długi i jadę na brzuchu pod ścianę. Druga i trzecia próba kończy się tak samo. A więc trzeba się czołgać, wypełznąć z tej pułapki. Że też nie przyszło mi to od razu do głowy. Ale ta podłoga jest diabelnie śliska. Zsuwam się, raz i drugi. Panika, największy wróg ludzi w niebezpieczeństwie, jest tuż obok. Przenika mnie gorącą falą, od której mętnieje świadomość. Jak przez czerwoną mgłę widzę porzucony przez kogoś bagnet. Leży pod ścianą w zasięgu mojej ręki. Bagnet jest lepszy niż zęby i paznokcie. Wbijam go w linoleum i do góry. Idzie mi dobrze. Teraz wydostanę się na korytarz. Jest! Jego pochylona ściana daje dobre oparcie. Do przodu, do schodów i na pokład, na otwartą przestrzeń. Korytarz się kończy i kończy się oparcie o jego ścianę. Schody są w prawo. Okalają główną winde "Laconii". Ale uwaga!!! Żeby się do nich dostać, trzeba zrobić parę kroków bez oparcia z lewej strony, a tam pod burta, w tym miejscu otwierana na przyjęcie pasażerów, woda po pas z kłębowskiem ludzi. W fioletowej poświacie wyją, szarpia się, topią jeden drugiego, szczerzą zęby z obłędnym wyrazem oczu... Kto da się zepchnąć do burty, nie ma szansy na ratunek, kto już

podpełza do schodów, jest ścigany przez tych, którzy zostali w wodzie.

Uciekaj stąd!!! Oni są już w piekle. Fałszywy krok do schodów, zwalisz się do nich i po tobie. Tędy nie przejdiesz. Cofaj się. Z korytarza jest wejście na żelazne schodki. Znasz je. Wyjdiesz nimi na górę. Schodki kręca się spirala. Prędej! W dole szum wody, która zalewa przyległą maszynownię. Spiesz się! Na drodze przeszkoda. Trup. Jest miękki jakby zmiażdżony, zajmuje całą szerokość schodków, muszę przejść po nim. Rzekomy trup chwyta mnie za nogę i coś rzezi. Uciekam. Już niedaleko... W ciemności natrafiam na drzwi. Dalej jest otwarty pokład. Fociągam kłamek do siebie. Drzwi nie ustępują. Mocniej! mocniej! Nic z tego. Zamknięte. Koniec drogi. Czas płynie bez zatrzymania. Rób coś! Szarp, szarp! muszą puścić. Nie, nic z tego. Bykiem w nie... Przewracając się o próg, wylatuje na pokład jak z procy. Drzwi nie były zamknięte, ale szarpaniem do siebie nikt by ich nie otworzył. Trzeba było je pchnąć. Zamiast otworzyć je łatwo, jak człowiek, staranowałem przeszkodę łbem jak baran.

Z rozbitym o pokład nosem zacząłem się rozglądać. Za ludźmi. Nie było tutaj nikogo. Byłem na najwyższym pokładzie słonecznym, a życie należało sobie ratować dwa poziomy niżej, z pokładu łodziowego. Przechylił "Laconii" dochodził już chyba do trzydziestu stopni. Zbiegłem po schodach międzypokładowych w dół, wprost na kolegów. Witek, kapral Jarema i Chlebek stali po pochylonej stronie "Laconii", oparci o fałszburkę.

- Co robicie? - wpadłem na nich jak bomba z zapalonym lontem.

- Nic... Na łódź ratunkową się nie dostaniesz. Anglicy nie puszczają...

- Próbowaliście?

- Tak, grozili bronią, nie wejdiesz.

- Gdzie są te łodzie?

- Wszystkie, które nadawały się do opuszczenia na wodę, już odpływały.

- To do diabła z nimi, są tratwy! - pokazałem ręką. Były obok. Zbite z drewnianych desek, pomalowanych na olejno, z linowymi uchwytami. Ułożone jedna na drugiej, stały w czworoboku obok skrzyni z pasami ratunkowymi.

- No to co, że są?

- Jak to co? - traciłem cierpliwość. - Musimy się ratować, przecież do cholery ten statek tonie!

Chlebek stracił ochotę do rozmowy ze mną. Jarema i Witek milczeli od początku.

"Laconia" jak chory, który na chwilę przed śmiercią odzyskuje przytomność, zaczęła podnosić się z przechyłu.

- Patrzcie! Nie utonie, prostuje się! - Witek powiedział coś bardzo głupiego, z czego nie zdawał sobie sprawy. Przecież to już zaczynała się agonia. Tyle podpowiadał mi instynkt nie wiedza, co robi Atlantyk ze statkami, które zamierza przełknąć.

- Chłopcy, kto mi pomoże? Bierzmy się za tratwę, sam nie dam rady!

- Dobrze... namyślili się. - W wodzie są rekiny -

powiedzieli prawie razem a później każdy z osobna: - Nie umiem pływać...

- Nikt nie pływa?

Chlebek poprawił się, że trochę pływa, ale za pływaniem nie przepada.

- Nie szkodzi! Dociągnijcie pasy ratunkowe. Ja skoczę pierwszy i w wodzie wam pomogę.

Do wody było parę metrów. Wyrzuciliśmy tratwę. Spadła obok burty i, słabo widoczna, zaczęła się kołysać na falach. W lewo i w prawo. Teraz zrozumiałem: moi koledzy bali się przekroczyć burty, bo za nią była woda, a oni nie umieli pływać. Z łodzi desantowej, do wody głębokiej po pas, pewno skoczyliby śmiało, ale tutaj woda nie była taka płytka, było jej pod nami parę tysięcy metrów i to ich zniechęcało. Rekiny mniej ich straszyły, niż umoczenie dupy w takiej głębokiej wodzie. Przynajmniej wtedy, kiedy stali jeszcze bezradnie na pokładzie statku. Później więcej uwagi poświęcili rekinom.

Na chwilę przed opuszczeniem statku mamy jeszcze niepowtarzalne widowisko. Z pompą, godną zmierzającej do zwycięstwa Trzeciej Rzeszy. Niemcy wiedzą, że "Laconia" tonie i że przy jej działach nikogo nie ma. Nie kryją się. Wynurzają się z wody i zapalają pokładowe światła. Załoga preży się i skanduje: Sieg heil! Sieg heil!

Może nie wiedzą, że właśnie dwa tysiące ich aliantów idzie pod wodę, może... Cieszą się, bo angielskim sklepikarzom, z którymi wkrótce zrobią porządek, utopili towar... Jaki by nie był. Sieg Heil.

Kapitan "Laconii" nie zszedł z posterunku. Stał na swoim mostku z zapaloną fajką. O czym myślał? Może o zemście, a może o żonie i dzieciach, których nie zobaczy...

Noc była ciemna. Wiał lekki wiatr, który podnosił długą falę. Z pokładu ocean nie wyglądał groźnie. Nie pieniał się, huśtał się łagodnie, jakby zapraszał do nocnej kąpieli. Skoczyłem głową w dół. Do wody było dalej niż myślałem. Lot w ciemność i gwiazdy w oczach. W chwili zderzenia nie byłem pewny czy trzasnąłem głową o wodę czy w tratwę. Sekundy i jestem na powierzchni, wszystko w porządku, trafiłem dobrze, w wodę, głowę mam całą. Jest i tratwa, kołysze się obok. Trzymam się jej i wrzeszczę do kolegów:

- Skaczcie! - Ich ciemne sylwetki rysują się przy fałszburcie.

- Jak? - Witek chce i boi się. To jego pierwszy skok do wody w życiu.

- Na głowę, albo na nogi, wszystko jedno. Skaczcie! - wydzieram się, jak mogę najgłośniej.

Ktoś oderwał się od statku, leci i wpada do wody kilka metrów ode mnie. Ale to jakiś Włoch podpływa do tratwy i mówi coś, czego nie rozumiem.

- Skaczcie do cholery!!! - krzyczę do swoich.

Nareszcie. Pierwszy decyduje się Chlebek, po nim Jarema, spada też Witek. Rąbie w wodę z hukiem, który by ogłuszył wszystkie ryby w stawie. Podpływam do niego i łapię go za kołnierz koszuli. Chcę go doholować do tratwy.

Witek nie wie, co się dzieje. Krztusi się wodą. - Nie top mnie - prosi - dlaczego mnie topisz? - Przyciągnięty do tratwy, ściska kurczowo linowy uchwyt, uśmiecha się.

Niech to cholera... Nigdy nie miałem ciagot do przewodzenia innym. To, że teraz zachowywałem się przemądrzale wynikało chyba z tego, że nie bałem się wody. Naiwnie nie bałem się oceanu. Nie wiedziałem, czym jest...

- Panowie, odbijamy od statku, musimy być kilkadziesiąt metrów stąd, zanim zatonie.

- Może on wcale nie zatonie? - Witek ciągle jeszcze ma nadzieję.

- Zatonie, a my z nim, jak stąd nie spieprzymy. Nie ma na co czekać. Popychamy tratwę przed sobą, uważajcie co powiem. Po przejściu grzbietu fali, odbijcie nogami jak do żabki, potem czekamy na następną falę i to samo.

Ale do kogo ja to mówiłem. Witek i Jarema zaczęli wierzgać nogami jak dzikie ogiery złapane na łąso i w rezultacie ich pomocy staliśmy w miejscu. Włoch i Chlebek wiedzieli o co chodzi ale tamci dwaj byli do niczego. Wyłączyłem ich.

- Wy nic nie róbcie, tylko trzymajcie się tratwy.

Czas ponaglał. Od wybuchu torped upłynęło już kilkanaście minut. "Laconia" nieuchronnie tonała. Odbicie od burty poszło nam opornie, potem ocean zaczął nas jakby wciągać z fali na falę. Zaczęliśmy się oddalać. Ocean szumiał, na pokładach "Laconii" błyskały latarki, dochodziły do nas okrzyki i nawoływania ludzi, którzy tam jeszcze pozostali. Milczeliśmy. Nagle "Laconia" zaczęła

unosić się rufą w górę. Wyżej, coraz wyżej. Krzyk ludzki zamienił się w wycie. Ocean pochłaniał swoją ofiarę, teraz już bardzo szybko. Z sekundy na sekundę. Mostek kapitański, komin, rufe... I nie było nic. Jeszcze chwila i błysk pod wodą, potem przeciągły, ponury pomruk. To rozerwały się kotły. I zupełna cisza. Noc, pustka i szum oceanu. Tratwa kołysze się w dół i w górę. Nikt się nie odzywa. Witek doś do siebie szepce, Każdy z nas też robi w duchu swój rachunek sumienia. Potem Witek zwraca na siebie uwagę tym, że bije się w piersi jak grzesznik na zakończenie spowiedzi, i biorąc nas jakby na świadków, zaczyna głośne obietnice.

- Panie Boże, jeżeli się uratuję, to więcej na kurwy nie pójdę, kaplicę w Polsce wystawię. Na wódkę nie spojrzę.

Jeżeli był ktoś, kto śmiał się wtedy z obietnic Witka, to był nim chyba sam Pan Bóg. I może właśnie za to, że go tak rozweselił, podarował mu życie.

Na morzu w nocy odległość i czas są mało wymierne. Witek miał zegarek, ale ten, zamoczony stanął. Byliśmy na tratwie, może godzinę, może dłużej. Woda początkowo wydała się nam ciepła, teraz zaczynała być zimna. Buty nasiąkły wodą, były ciężkie i przeszkadzały. Zdjąłem je i wyrzuciłem. Jeden zatonął od razu, drugi utrzymywał się na falach.

- But nie tonie, to właściciel też nie utonie... - powiedziałem ni w pięć ni w dziesięć.

- A dlaczego ty zdjąłeś buty? - zaniepokoił się



Jarema. - W czym będziesz chodził na lądzie?

- W butach. Wykombinuję inne. W wodzie buty są niepotrzebne. Widziałeś ty rybę w butach? - wysiliłem się na żart. Nikt się nie śmiał.

O tym, gdzie jesteśmy mieliśmy bardzo mgliste wyobrażenie. Domyślaliśmy się, że gdzieś na środkowym Atlantyku, między Afryką i Ameryką setki mil od lądu. Osamotnieni na tratwie, nie mieliśmy szans przeżycia tej wojennej przygody. Nie byliśmy tu jednak zupełnie samotni, ale to pogarszało tylko naszą sytuację. W tej słonej i żrącej wodzie były żywe istoty. Podłużne, większe i mniejsze, z ostrymi zębami. Jedna taka uczepiła się nogi Chlebka. Krzyknął, że rekin, i momentalnie chciał się wydostać z wody na tratwę. On i wszyscy. Podeszła fala, przeciążona z jednej strony tratwa wykonała na jej grzbiecie salto i spadając zahaczyła o moją głowę. Uderzenie, jasność, ciemność i powrót do świadomości, ze smakiem soli w ustach. Byłem sam i była noc. Potem nadszedł świt. Wydał mi się jakiś mglisty, w białych oparach, słońce nierealne, trupio blade. Z godziny na godzinę traciłem przytomność. Z coraz większym wysiłkiem utrzymywałem głowę nad wodą, pomagając sobie ruchami rąk, z coraz bardziej zanikającą świadomością, po co to robie.

Było jeszcze widno, kiedy jak przez sen usłyszałem ludzkie głosy i poczułem, że czyjeś ręce windują mnie do góry. Ktoś wlał mi w usta wodę, ktoś czymś mnie nakrył. Gdzie ja jestem? Jest jakaś biała postać. Kto zacz? Anioł czy zjawa? Oglupiały jak noworodek, tylko co wydany na

świat, nie wiedziałem, gdzie i po co tu jestem. Nie byłem w niebie, ale na łodzi ratunkowej, a białą postacią był nie anioł, ale kucharz z "Laconii", który zrejterował od rondli tak jak stał, w swoim białym przyodziewku. Na łodzi byli moi dwaj koledzy Gwidzki i Rej. Dostali się tutaj suchą nogą wprost z pokładu "Laconii". Zamieniliśmy parę słów na odległość. Byliśmy rozdzieleni długością łodzi. Oni byli na dziobie, ja na rufie. Był też znany mi z widzenia porucznik brytyjski mówiący po rosyjsku, trzech Włochów razem czterdziestu paru rozbitków.

Zapadła nagle równikowa noc. Wiatr podniósł fale i przesłonił niebo ciemnymi chmurami. Siedziałem z kolanami pod brodą na dnie łodzi, trząsłem się z zimna i wymiotowałem żółcią. Łódź była przeładowana, ocieżała i raz po raz ocean wlewał do jej wnętrza strugi wody. Bawił się z nami, jak gigantyczny kot z maleńką myszką. I tak mi nie uciekniesz, teraz się z tobą trochę pobawię, a jak przyjdzie mi na to ochota, to cie połknę... Zabawa silnego ze słabym zawsze tak wygląda. W ciągu tej nocy uodporniłem się całkowicie na żółtaczkę - wyrzygałem swoją żółć do ostatniej kropli. Rano przyjęliśmy defiladę trupów. Na pasach ratunkowych hulały po falach, obgryzione przez rekiny. Rekiny lubią wojnę. "Laconia" dała im niegorszy żer. Na tych wodach były ich dziesiątki albo setki i żaden, nawet ślepy, głodny nie odpłynął. Heil Hitler! W defiladzie trupów wzięli udział sami Włosi!...

Na tratwie, do czasu kiedy dostałem nią w łeb, byłem czymś w rodzaju suma między płótkami, tutaj wypadłem z

roli suma i zamieniłem się w płoć. Sumy siedziały na rufie i rządziły łodzią. Było ich trzech. Zawodowi marynarze z floty królewskiej, którzy opuścili już w tej wojnie parę pokładów tonących okrętów, i statków i którzy mieli dużą wprawę w ratowaniu na morzu życia, bynajmniej nie cudzego ale własnego. Po części bandyci, po trosze zwykli ludzie, których wojna doprowadziła do zdziczenia i zbrodni. Kiedy mogli sobie na to pozwolić, tolerowali innych. Po swojemu. Żyj sobie frajerze, ale dostaniesz połowę tej wody, którą ja wypiję, bo ja, nie ty, tę wodę będę dzielił. Widzisz, albo domyślasz się, że niesprawiedliwie dzielę, i nie podoba ci się to. Więc wyskocz za burłę i po kłopotcie naszym wspólnym - twoim i moim. Sumienie i moralność? Żarty! Można się w to czasami zabawić, ale nie ma łodzi ratunkowej, gdzie stawką jest życie a Bogiem ocean. Uzbrojeni w noże i rewolwer zajęli miejsce na rufie, gdzie mieścił się zbiornik z wodą. Kradli, co zauważyłem pierwszej nocy, ale udałem, że nie widzę. Tygrys, który kradnie, nie jest złodziejem i lepiej się go nie czepiać.

Pogoda psuła się. Ocean pokryły białe grzywy wysokiej, dokuczliwej fali. Postawiony rano żagiel, po południu trzeba było ściągnąć do połowy masztu, a przed nadejściem nocy do końca zrefować. Ocean chlustał zimną wodą, wynosił łożę po parę metrów w górę, syczał pianą na wierzchołkach fal i rzucał w czarną otchłań. Chciał się z nas otrząsnąć na zawsze i był zły, że mu się to nie udaje. Przez całą noc wylewaliśmy wodę za burłę. Rano na rufie odbyła się narada. Narada czy też sąd, który wydał wyrok wcześniej.

Karę śmierci dla trzech Włochów. Egzekucje przeprowadza się za pomocą stryczka, broni palnej, w różny sposób. Co wymyślili ci na rufie, okazało się niebawem. Zaczęli od podstępu. Ten wymyślony przez nich wymagał współnika, znającego język włoski. Wybór był żaden, mogli się zwrócić o pomoc tylko do jednej osoby. Była nią młoda kobieta, która zajmowała z małym dzieckiem miejsce na dziobie łodzi, w schowku - kabinie. Zgodziła się. Nie wiem, czy chętnie, i nie wiem, czy poinformowana o tym, w czym weźmie udział. Była zdenerwowana i pomagała sobie gestami rąk. Jej zadaniem było przekonanie Włochów, że łódź jest przeciążona, zagrożona zatonięciem i że oni muszą wyjść z niej do wody. Nikt nie chce zrobić im krzywdy, będą mogli trzymać się zaczepów i płynąć przy burcie. Jak tylko pogoda się poprawi, wejdą z powrotem do środka.

Włosi zaczęli protestować, że jest ich tylko trzech i że łódź nie zatoni z ich powodu. Pokazywali na wodę, mówili coś o rekinach. Na próżno. Zbyto ich wzruszeniem ramion. Wtedy zaczęli rozglądać się po łodzi i wzrokiem szukać poparcia innych. Też na próżno. Ci inni patrzyli na niego wrogo, albo obojętnie, albo ze wstydem. Wyszli za burzę. Podejrzewali coś, ale nie mieli pewności. Na to czekali ci z rufy. Jeden z nich, z kroplami potu na łysym czerepie i z rozbieganymi z podniecenia świńskimi oczkami, wyciągnął nóż. Błysnął nim przed oczami Włochów.

- Get loss you bastards! - zaskrzeczał i przejechał ostrzem po zaciśniętych na burcie łodzi palcach pierwszego Włocha. Dramat rozegrał się błyskawicznie. Włosi nie mieli

jak i czym się bronić. Po chwili trzy głowy oddaliły się i zginęły wśród fal.

Oprawcy pochowali noże i przeszli na rufę na papierosa. Wszyscy milczeli, a oni rozmawiali ze sobą swobodnie, tak jakby się nic nie wydarzyło. Spojrzałem na Swiderskiego i Reja. Zrozumieliśmy się bez słowa. To była lekcja, którą należało dobrze zapamiętać. Nikt z nas nie miał wątpliwości, że będziemy następnymi. To że na nas się nie skończy, też było pewne. - Rozbitkowie z rufy zarezerwowali sobie na tej łodzi prawo do przeżycia wszystkich. W tym, co myślałem, utwierdził mnie porucznik z "Intelligence". Zapamiętał mnie z "Laconii" jako wartownika, który nie wiedział, co ma robić jak storpedują statek i swoim głupim pytaniem zepsuł humor pułkownikowi. Rozmawialiśmy po rosyjsku.

- Musicie bardzo uważać - powiedział - to są bandyci. Mają na łodzi tylko paru zwolenników, ale to, że większość jest przeciwna, nie ma znaczenia. Tylko oni mają broń i są zdecydowani na wszystko. Włochów pozbyli się, widzieliście jak, z wami spróbują prowokacji. Macie tutaj sprzymierzeńców, ale jak kto się zachowa, kiedy do czegoś dojdzie, nie wiem: Ja się tutaj nie liczę. Jestem dla nich bubkiem z Intelligence Service, i nikim więcej. Nie dajcie się sprowokować!

Porucznik z "Intelligence" był mi życzliwy, a jego rada dobra, ale... Do awantury doszło już w nocy, parę godzin po tej rozmowie. Płynęliśmy na rozpiętym żaglu na wschód, w kierunku Afryki. Przy sterze czuwał łysy nożownik.

Spałem na dnie, wciśnięty między podłużną obudowę motoru łodzi i ławę ciągnącą się wzdłuż burty. Siedzący na ławie trzymali nogi nade mną, oparte o obudowę motoru. Moje legowisko było wąskie, chlupała w nim woda zmieszana z ropą, ale miało tę zaletę, że można w nim było wyciągnąć się na całą długość, nie zajmując miejsca innym. Obudziłem się, kiedy ktoś siedzący nade mną oparł nogi na mojej twarzy. Uniosłem te nogi ręką i oparłem nad sobą. Pomyślałem, że ten ktoś rozespany zrobił to nieumyślnie. Ale myliłem się, nogi natychmiast powędrowały z powrotem tam gdzie były, na moją twarz. Energiczniej odstawiłem je na obudowę motoru. Nie poskutkowało. Jakiś natręt zaczął mi deptać po twarzy. Trzasnąłem go pięścią po kopytach i poderwałem się.

- Czego skurwysynu? - zapomniałem o przestrozach porucznika z "Intelligence". No bo co mogłem zrobić? Nie wiem, czy może być coś bardziej obrzydliwego, niż dotyk na twarzy zimnych, oślizgłych i śmierdzących nóg.

Wysoki i cienki jak glista blondynek zapiszczał agresywnie:

- Jak się tobie nie podoba, to wynoś się za burte! Z siłą, którą daje desperacja, potrząsałem nim jak pies flakiem.

- Sam wypieprzaj! - pokazałem mu gdzie. - Do wody, śmierdzieliu...

Łysy nozownik, którego się obawiałem zachował się niezrozumiale. Wcale nie pospieszył swojemu rodakowi z pomocą. Warknął tylko głośno od steru;

- Wy dwaj, spokój tam, bo zrobię z wami porządek i będziecie sorry...

Byłem zaskoczony. Czyżby duch Szparagi z kryminału krzemienieckiego jeszcze czuwał nade mną i przemówił przez tego nożownika z rufy? Byli trochę do siebie podobni i on, podobnie jak tamtem, poczuł do mnie sympatię, dziwną jakąś, ale w sytuacji, w jakiej się znalazłem, bez wątpienia pożyteczną.

Wróciłem na swoje miejsce. Przez resztę nocy blondynek nie opuścił na mnie swoich cholernych, śmierdzących kończyn.

Świt rozjaśnił noc i przyniósł niespodziankę. Na horyzoncie pojawił się jakiś okręt i płynął w naszym kierunku. Obecni marynarze, obeznani z sylwetkami okrętów Jego Królewskiej Mości, zaczęli się sprzeczać.

- Płynie do nas kontrtorpedowiec klasy "Hunt"...

- Nie! To na pewno fregata klasy "Flower".

Było się z czego cieszyć do czasu, kiedy ten okręt był jeszcze daleko. Kiedy podpłynął bliżej, nastąpiło ogólne rozczarowanie. To nie był ani kontrtorpedowiec ani fregata. Zbliżała się do nas łódź podwodna. Niemiecka? Nie, gorzej, włoska!

Radość prysła. To spotkanie nie było pożądane przez nikogo. Przez winnych i niewinnych. Dla jednych i drugich mogło się skończyć źle. Włosi podpłynęli do nas, rzucili cumę i kazali ją przejąć.

- Czy na łodzi ktoś mówi po włosku? - zapytał kapitan.

- Tak, ja mówię - odezwała się młoda matka.

- Czy są na łodzi Włosi? - padło następne pytanie. Kapitan nie robił wrażenia człowieka, który domaga się krwi. Był zmęczony i smutny.

- Nie, nie ma - odpowiedziała młoda matka - widzieliśmy łodzie z uratowanymi Włochami, są niedaleko stąd. Jeżeli pan kapitan popłynie w tym kierunku - pokazała pierwszy lepszy - to pan ich znajdzie.

Kapitan podziękował. Dostaliśmy parę butelek wina i trochę wody.

- Mam dla was dobrą wiadomość. Pomoc jest w drodze, będzie za dwa dni. Nie odpływajcie stąd daleko. - Kapitan pożegnał nas skinieniem ręki, rzuciliśmy cumę i łódź podwodna oddaliła się w kierunku, gdzie rzekomo byli Włosi.

Wino zostało podzielone na rufie, ze śmiechem i żartami. Dostałem małą miarkę. Łysy nożownik, który sobie trochę podpił, patrzył na mnie jak na syna. Jak Szparaga, kiedy wróciłem po pierwszym śledztwie z NKWD. Znowu spodobałem się bandycie. Jakies piętno kazamatów szło za mną z Rosji, przez Atlantyk i Bóg wie dokąd.

Szóstego dnia zapowiedziana radość. Na horyzoncie jest okręt. Płynie w kierunku naszej łodzi. Dymi. Duży jakiś. Znawcy na odległość wiedzą, co to za okręt. To nic innego jak krążownik "Enterprise". Pomyłka. Okręt, który podpływa, jest krążownikiem, ale nazywa się "Gloire" i jest od tych Francuzów, którzy mają trudności z wyborem, kto lepszy: Niemcy czy alianci. Wprawdzie po cichu woła aliantów, ale nie cenią ich sobie aż tak bardzo, żeby na



Niemców wypiąć tyłek. "Gloire", ostatni krzyk mody wśród okrętów swojej klasy, powiewa banderą France Vichy, a nie France de Gaulle'a. Więc pójdziemy pewno gdzieś za druty. Fala jest wysoka i niebezpiecznie tłucze naszą łodzią o burzę "Gloire". Wyczekuję na dogodny moment, czepiam się liny spuszczonej z pokładu i wspinam się w górę. Potem uchwyt marynarskich rąk i stoję na pokładzie. Jako pierwszy. Marynarze patrzą na mnie trochę zdziwieni tym, że tak łatwo poradziłem sobie z wejściem na pokład. Pytają się o coś po francusku. Nie rozumiem, domyślam się tylko, że chodzi im o to, czy jestem Anglikiem.

- Pologne. - mówię.

Są zadowoleni z mojej odpowiedzi. Śmieją się i poklepują mnie. Mówię coś do siebie. Jeden odchodzi i zaraz wraca z kolegą z załogi. Ten przyprowadzony pyta się po polsku.

- Pan Polak?

- Tak.

- Ja też Polak - mówi. - Tu u nas jest kilka Polaków.

A Pan sam?

- Nie, jest nas trzech.

- A gdzie oni?

Rozglądam się. Rej i Swiderski, otoczeni przez marynarzy, już pociągają coś z butelki.

- Tam! - wskazuje ręką.

- O psia krew - skrobie się po głowie - niech pan poczeka, ja zaraz coś przyniosę, wrócił z butelkami.

- Niech się pan napije.

Nigdy wino nie smakowało mi tak jak wtedy i nigdy z takim skutkiem. Nie skończyłem nawet pierwszej butelki, kiedy pokład "Gloire" zobaczyłem nad sobą. Marynarze wyciągali na noszach ostatnich rozbitków z mojej łodzi, kiedy ja spałem smacznie w pralni okrętowej na posłaniu z worków i koców. Spałem kilkanaście godzin. Obudziłem się następnego dnia rano. Przespałem odnalezienie przez "Gloire" innych rozbitków. Francuzi od początku rozdzielali nas z Anglikami. Utykali po okręcie osobno ich i nas, gdzie się dało. Ktoś tu powiedział, że łodzie ratunkowe z "Laconii" nie były miejscem, gdzie Anglicy i Polacy umocnili swoją sympatię i przyjaźń. Zgodnie z prawdą. Na niektórych łodziach doszło do mordów, na innych skończyło się na scenach z piekła rodem. "Laconia", wspólny grób Włochów, Anglików i Polaków leży na dnie oceanu już prawie 50 lat. I nie czas teraz na eshumację i dochodzenie prawdy, kto był winien, a kto nie. Teraz i później. Zawiniła wojna i jej anonimowi sprawcy z za pleców malarza z wąsikiem. Już nie żyjący. Teraz wypada tylko ich pilnować, żeby nie zmartwychwstali. Bo próba przyjaźni białych, czarnych i żółtych, na łodzi ratunkowej, nawet zbratanych stu kongresami i festiwalami pokoju, nie uda się. Daję na to słowo honoru.

"Gloire" przeczesywał a ocean w rejonie storpedowania "Laconii" jeszcze dwa dni, potem wzięła kurs na północny wschód. Nie wiedzieliśmy, dokąd płyniemy. Tak czy inaczej, Anglia i porty alianckie nie wchodziły w grę. "Gloire" zacumowała na jeden dzień w Dakarze, uzupełniła paliwo i

prowiant i skierowała się na północ. Gdzie teraz? Cholera wie, bliżej Anglii, bo na północ. Kierunek dobry, ale po drodze gdzieś wysiadziemy. To jest pewne. Na jak długo, to się dopiero okaże. Wsiadamy w Casablance. Pierwsi po trapie schodzą Anglicy. Nie ma ich, kiedy my stajemy na nabrzeżu. Plutonowy Cygan, zastępca szefa kompanii, każe nam ustawić się w dwuszeregu i obliczyć. Jego zwierzchnik, starszy sierżant Mucha, jest nieobecny. Odliczamy. Bez mała połowy nie ma. Zbiórka jest równocześnie jakby apelem poległych. Dużo ich. Brakuje i Muchy i Wodzickiego i Ogińskiego i Szaluka i kilkadziesiątu innych.

- Baczność! - Stukamy jedni obcasami butów, inni gołymi piętami.

- W prawo zwrot! Naprzód marsz!

Idziemy. Za nami biegną wygłodniałe marokańskie psy. Tylko one odprowadzają nas na rampę kolejową. Kurwy w tym kraju są zamknięte w burdelach. Do rampy nie jest daleko. Wsiadamy do pociągu pod eskortą dwóch czy trzech żołnierzy francuskich. I w drogę. Na wschód. Gdzie - zobaczy się. Ale nie ma czym się przejmować, bo każda droga gdzieś się kończy. Tym końcem dla nas jest miejscowość Oued-Zem. Nieduża, jak Swider pod Warszawą, też na piaskach, tyle że większych.

Ze stacji kolejowej Oued-Zem idziemy drogą po ostrych kamieniach. Dla mnie bez butów to tortura. Józio pociesza mnie.

- Terpy brat, atamanom będziesz - i dodaje - a po co, idioto, wyrzuciłeś buty?

Dochodzimy do bramy z wartownikiem i wchodzimy na teren ogrodzony kolczastym drutem. Józio mruczy pod nosem:

- Kto to paskudstwo wynalazł? - Wtedy nie wiedziałem i dziś nie wiem. Encyklopedie tego kogoś się wstydzą.

Z Francuzami połączył nas kiedyś Napoleon. Byliśmy u jego boku czymś w rodzaju wojsk zaciężnych. I może nie bez związku z historią, Francuzi umieścili nas w dawnych koszarach Legii Cudzoziemskiej. Romantycznie, ale trochę niewygodnie. W barakach, na zgrzebnych drewnianych pryzkach. Plutonowy Cygan podał nam wiadomość, która pochodziła od francuskiego kapitana dowódcy obozu, przez tłumacza i porucznika Groszka, że staniecie bosą nogą na podłogę grozi kalectwem lub śmiercią. A to z przyczyny innych mieszkańców baraków, takich jak żmije i węże pustynne i różnych tam mniejszych rozmiarem, ale równie jadowitych stworzeniach, które wszystkie bardzo nie lubią, jak ktoś na nie nadeptnie.

Następnego dnia rozpoczęliśmy życie aliantów, internowanych przez władze francuskie podległe rządowi, na którego czele stał marszałek Petain. Gdyby władza nad nami kończyła się na nim, pewno po namyśle kazałby nas wypuścić. Ale do tego było tak daleko, jak z Vichy do Berlina. I trzeba było ułożyć sobie życie w dawnych koszarach Legii Cudzoziemskiej, w arabskiej miejscowości Qued-Zem. Było tutaj paru rezydentów, którzy trafili do obozu przed nami. Kilku Anglików, jeden Belg, jeden Holender i były wolnościowy oficer carskiej armii, emerytowany sierżant Legii Cudzoziemskiej, który nazywał

się Gromow. Nie musiał tu siedzieć, ale był. Znikał wtedy, kiedy wziął swoje należne za służbę w Legii, potem wracał i mówił. - Ot tak, wezmę pieniądze pójdę ja na kurwy, zapłacę jak trzeba i cały burdel mój. Rozbiore parę dziewczynek a potem... wiecie, co, potem. Zbieram okurki, i takie moje życie. Skończy się wojna i da Bóg wrócicie do domu. Ja nie mam dokąd wracać...

Belg od rana rozkładał sobie koc i ćwiczył dla zachowania kondycji. Co robił Holender nie pamiętam, bo jakoś niczym się nie wyróżniał. Anglicy tęsknili do angielskiej owsianki i piwa. Tutaj podstawą naszego pożywienia była soja i czerwone wino, które było dwa razy dziennie, po cynowym kubku do obiadu i kolacji. Kłopot był z wodą. Tej było bardzo mało. Sączyła się z kranów, kiedy słońce wschodziło i zachodziło, w ciągu dnia nie było jej wcale. Po tygodniu czas zaczął nam się dłużyć. Na świecie była wojna i była Polska. Jak stąd zwać? Wzięliśmy na spytki Gromowa. Borys Jakowlew, Semczyszyn i ja.

- Gaspada - powiedział Gromow - najbliżej macie do Gibraltaru, ale zapomnijcie o tym. Złapią was w pół drogi albo wcześniej. Każdy Arab was wyda. Lepiej siedźcie tu, gdzie jesteście.

Gromow nas nie zachęcił, ale o ucieczce nie przestaliśmy myśleć. Nasze plany trochę zneutralizował kilka dni później komendant obozu. Zrobił nam zbiorke i powiedział:

- Odpowiadam za to, żebyście tutaj byli. Może mi się to nie podoba, ale po to tu jestem. Robię dla was co mogę.